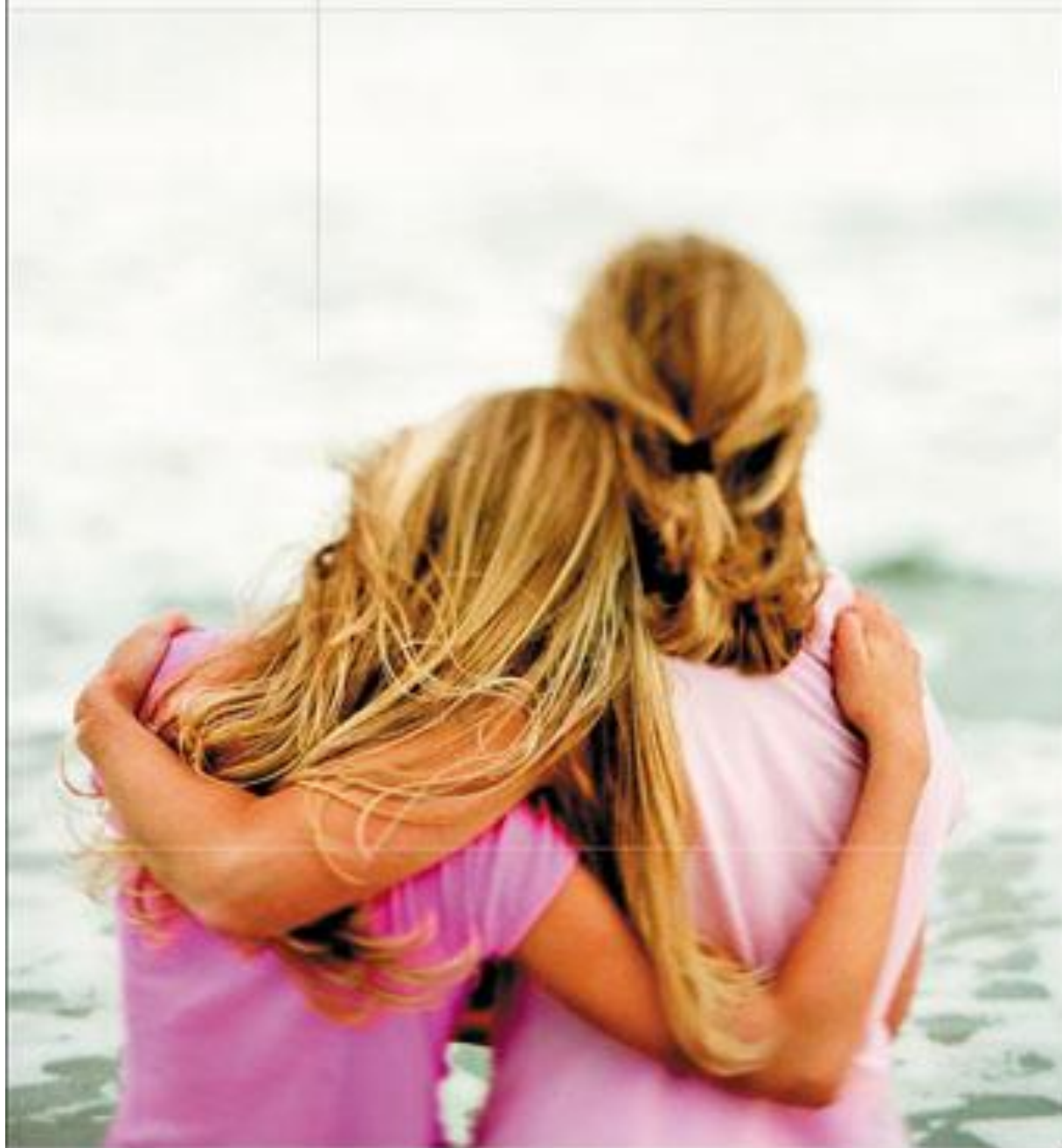


 terytoria
skandynawii

Marie Hermanson

Plaża muszli



Marie Hermanson

Plaża Muszli

Musselstranden

Przełożyła
Bratumiła Pawłowska



Mary Read

KRISTINA

Świat, który przemierza, jest szary. Słońce jeszcze nie wzeszło. Kocha ten świat, gdzie nie ma ani światła, ani ciemności. Świat bez cieni, bez kolorów. Niczego dobrze nie widać, nic się na dobre nie skryło, wszystko jest domysłem, niedopowiedzeniem.

Ucichły dźwięki nocy - szum wiatru, chrapliwy ryk rogacza, trzepot ćmy - a inne, dźwięki dnia, jeszcze się nie obudziły. Wkrótce się odezwą. Najpierw poranna bryza w koronach drzew, potem krzyk mew, szczebiot małych ptaków i w końcu kakofonia ludzkich głosów, silników i muzyki.

Ale na razie jest cicho. Świat odpoczywa w przerwie między dwiema zmianami. I właśnie do tego odpoczywającego świata sunie po morzu, bezwietrznym i spokojnym jak jezioro jaskiniowe. Kajak przemieszcza się wzdłuż dobrze znanego wybrzeża, stromych granitowych skał, ocienionych plaż, liże je jak zwinny wąski język.

Woda się otwiera, szeroki szlak wije się między wysepkami aż po horyzont. Po zewnętrznej stronie tych osłaniających wysp, daleko na otwartym morzu wyłania się kilka skalistych wysepek. Zostawia za sobą wybrzeże i płynie ku szkierom.

Morze musi być spokojne, jeżeli ma się jej udać. W pobliżu lądu rzadko wieje, dopiero na otwartym morzu pojawiają się duże fale. Wtedy musi zawrócić.

Ale dzisiaj nie ma się czego obawiać. Morze wygląda tak, jakby nie dało się po nim przesuwać, wydaje się jej takie zwarte i nieruchome, a ona z zaskoczeniem patrzy, jak kajak przecina powierzchnię.

Oddycha i wiosłuje w tym samym rytmie, mięśnie ramion napinają się od siły i woli. Jest syreną. Jedyne górną część ciała ma ludzką. Dolna sunie pod nią biernie, ukryta w ciemnej komorze kajaka. Ta część należy do morza.

Zanim dociera na miejsce, dostrzegają ją ptaki. Rozkrzyczaną chmurą wylatują ponad szkierami. Ich białe pióra lśnią własnym blaskiem w szarym powietrzu. Wylatują jej na spotkanie, otaczają ją, a ona wślizguje się w ten krzyk i pomiędzy wirujące stworzenia.

Ulrika

Nie było furtki. Ogród tak samo jak kiedyś stał otworem, łatwo dostępny. Mimo to wahałam się, czy wejść. Niezdecydowana znieruchomiałam przy wejściu.

Nieprawda, nie była tak łatwo dostępna, jak się wydawało. Coś bronilo do niej dostępu. Choć kiedyś była dla mnie prawie jak dom, teraz nadal czułam tamtą dawną niepewność. Tamtą tęsknotę, by być jej częścią, tamto powątpiewanie, czy właściwie w ogóle należę do tego miejsca.

Wszystko wyglądało tak samo. Pagórkowata, skalista działka porośnięta dębami wydawała mi się równie magiczna jak wtedy, gdy jako dziecko znalazłam się tu po raz pierwszy. Pagórkowata, dzika, zarośnięta. Oczywiście zniknął już trapez, sznurowa drabinka, huśtawka i liany, podobnie jak szafas i statek piracki, ale pozostał nastrój przygody.

Nie wiedziałam, kto jest teraz właścicielem posiadłości. Może wciąż rodzina Gattmanów.

Przeszłam powoli w kierunku brązowego domu po schodach z drewnianych bali. Kończył się wrzesień, więc nie podejrzewałam, że ktoś tu będzie. Przed wejściem nie dostrzegłam żadnego samochodu. Dodało mi to odwagi.

Obeszłam budynek i stanęłam na werandzie. Morze było intensywnie granatowe, takie jak zdarza się tylko wiosną lub jesienią. Jakby unosił się w nim gęsty atrament.

Stanęłam na palcach i zajrzałam przez okno.

Przez chwilę znajdowałam się w absurdalnym śnie. Zaglądałam do własnego domu! Naróżne kanapy obite materiałem w szerokie biało-niebieskie pasy, nad nimi obraz przedstawiający statek. Okrągły rozkładany stół z dziwacznymi zawiasami, krzesła o krzywych nogach i zaokrąglonych oparciach. Wisząca na łańcuchu secesyjna lampa. Skrzynia marynarska. Biały fotel bujany z poduszką w orientalny wzór i mały podglówek z frędzlami. Pod sufitem okalająca pokój półka zastawiona bibelotami...

Wszystko to do złudzenia przypominało mój duży pokój. Kiedy minął pierwszy szok, dostrzegłam różnice, ale i tak podobieństwo było niezwykle. Gdyby ktoś mnie poprosił, żebym opisała ten pokój w domu Gattmanów, nie potrafiłabym. Bardzo dobrze pamiętałam, jak wygląda kuchnia i, oczywiście, pokój Anne-Marie na poddaszu, ale wspomnienie tego pomieszczenia miałam mętne. Widziałam je zatopione w żółtawym półmroku, za zaciągniętymi roletami.

Mój duży pokój powstawał stopniowo, latami i nie przyszłoby mi do głowy, że

urządzałam go według jakiegoś wzoru. Musiałam zachować to pomieszczenie w pamięci ze wszystkimi detalami i nieświadomie umeblowałam tak samo własny dom. A myślałam, że wszystko sama wymyśliłam. Byłam dumna z tego połączenia nowego i starego, z tego, że pokój ma nietuzinkowy styl. Podobał mi się zwłaszcza pomysł z półką wokół pokoju.

Za plecami usłyszałam wbiegających na werandę chłopców.

- Zobaczcie - powiedziałam i podniosłam najpierw jednego, potem drugiego, by mogli zajrzeć do środka. - Nie opierajcie się o szybę. Widzicie?

Kiwnęli bez entuzjazmu głowami i pobiegli dalej. Nie zauważyli podobieństwa do własnego domu. Może chłopcy nie dostrzegają takich rzeczy.

Ja wciąż gapiłam się przez okno. Miałam wrażenie, że od dwudziestu czterech lat nic się tu nie zmieniło. Zupełnie jakbym patrzyła prosto w przeszłość.

Podeszłam do drzwi werandy i zajrzałam do kuchni. Drzwiczki szafek wciąż miały niebieski kolor, ale nie ten, który zapamiętałam. Przemalowano je na inny odcień. Brakowało doniczek z geranium. Poza tym wszystko pozostało jak dawniej.

Chłopcy nagle zaczęli hałasować i zaniepokoiłam się, że coś zniszczą. Zeszłam z werandy i okrążyłam dom. Jonatan miał ze sobą wędkę, którą zostawił pod jednym z dębów.

- Mieliśmy łowić ryby - przypomniał zniecierpliwiony.

- Okej - odpowiedziałam. - Idziemy na ryby. Znam dobre miejsce.

Pomyślałam o Plaży Muszli, o wielkich dorszach, które wylawiał Jens, i tych rzadkich wspaniałych chwilach, gdy na haczyku rzucała się troć. Czegoś takiego życzyłam Jonatanowi.

Zeszliśmy na drogę, pokonaliśmy jakieś sto metrów, a ja zastanawiałam się, w którym miejscu musimy skręcić. Dawniej przecinało się łąkę, ale teraz łąki zniknęły. Nikt nie potrzebował siana. Nie pasły się ani krowy, ani konie. Krajobraz zmienił się nie do poznania. Tam, gdzie nie wzniesiono zabudowań, rosły chaszczce albo dzika róża. Było ciasno, ciemno. Jak w pokoju starego człowieka, w którym stoi za dużo mebli. Znikły otwarte przestrzenie zabaw dzieciństwa.

Wreszcie znalazłam to miejsce i mogliśmy się przecisnąć przez zarośla. Co chwilę zatrzymywaliśmy się, by wyplatać z gałęzi haczyk Jonatana. Odczepiłam go z żyłki, a mały włożył go do pudełka.

Odnalazłam mur, który należało pokonać. Ruszyłam wzdłuż niego w poszukiwaniu zawalonego odcinka, tworzącego przejście. Takich odcinków zresztą przybyło. Zawaliła się już większa część ogrodzenia. Przeskoczyliśmy w pierwszym lepszym miejscu, wyszliśmy z lasu i trafiliśmy na porośnięte wrzosem skały.

Zdawałam sobie sprawę, że za bardzo zboczyliśmy na zachód. Ale teraz, mając wolne

pole widzenia, wiedziałam już, gdzie jestem. Pagórki wyglądały tak samo jak kiedyś. Tu nic się nie zmieniło. Wiał silny wiatr.

Znów ogarnęło mnie to cudowne uczucie, jak wtedy, gdy w butach na gumowej podeszwie chodziłam po górach. Szacowanie odległości przed skokiem. I ten triumf, gdy ląduje się dokładnie tam, gdzie się chciało, gdy podeszwa przywiera do skały, jest wystarczająco twarda, by chronić przed uderzeniem i dostatecznie miękka, by dało się wyczuć fakturę podłoża. Oczy, które wypatrują. Mózg, który przez cały czas obmyśla trasę, wybory i decyzje. Ciało, które jest idealnie posłuszne, wspina się, skacze, wygina, rozciąga.

Dla moich synów to oczywiste sprawy. Codziennie bawią się na skałkach. Biegli daleko przede mną, widziałam tylko ich czerwone czapeczki na tle nieba, gdy od czasu do czasu zatrzymywali się na wzniesieniu i odwracali głowy w moją stronę, żebym mogła wskazać im drogę ramieniem ułożonym jak semafor.

Nie tak dawno temu to ja na nich czekałam. To ja samotnie schodziłam ze stromego wzgórza, odwracałam się, brałam ich w ramiona, jednego po drugim, i przenosiłam ponad przeszkodami.

Tutejszy krajobraz został uformowany przez lodowiec. Skały są poprzecinane wąskimi dolinami i szczelinami, raz płytkimi, raz przepastnymi, co widać dopiero, gdy stanie się na krawędzi szczeliny. Widziane z daleka porastające ją młode półmetrowe dęby, z bliska okazują się czubkami wysokich na dziesięć, dwadzieścia metrów drzew i w ostatniej chwili trzeba powstrzymać planowany skok.

Takie rozpadliny porasta różnego typu roślinność i każda może być osobnym światem. Na ogół są to młode dęby. Ale można znaleźć w nich również trzęsawiska i kępy turzycy, karłowate sosny i wełniankę. W innych szczelinach znajdują się miniaturki świata z obrazów Bruno Liljeforsa z ciemnym lasem świerkowym, prehistorycznym krajobrazem z paprociami albo zbitą masą splątanych krzaków jałowca. Wydaje się, że każdy z tych światów spadł prosto z nieba, by potem, wtulony w skałę, mógł się rozwijać i doskonalić swoją oryginalność w zupełnej izolacji od otoczenia.

Taką właśnie szczeliną dociera się do Plaży Muszli. Tylko tą drogą można się tam dostać od strony lądu. Wpatrywałam się w skalisty krajobraz, by zobaczyć ten dach z rozmaitych zieleni. Ale znajdowaliśmy się wciąż jeszcze za bardzo na zachód.

Nagle przypomniałam sobie o jednym ze światów w szczelinie. Porośniętym delikatną zieloną trawą i sosnami. Anne-Marie i ja zakopałyśmy tam kiedyś skarb. Puskę po herbacie, do której włożyłyśmy różne przedmioty.

Nagle poczułam ogromną chęć, żeby go odnaleźć. Dogoniłam chłopców i

przedstawiłam im nowy plan.

- Poszukamy skarbu - oznajmiłam.

Trochę nieufnie, ale zgodzili się pomóc mi w poszukiwaniach.

- W miejscu ukrycia skarbu rosną sosny - wyjaśniłam. - Sosny i zielona trawa. I wiśnia.

- Pokaż jeszcze raz, które to są sosny - poprosił Max.

Właściwie nie wiedziałam, gdzie dokładnie znajduje się tamta szczelina. Sosny, zielona trawa i dzika czereśnia to wszystko, co zapamiętałam. Szybko zdałam sobie sprawę, że nie uda mi się odnaleźć tego miejsca. Odwołałam akcję poszukiwania skarbu i ruszyliśmy dalej na wschód, w stronę Plaży Muszli. Tej szczeliny nie sposób nie zauważyć. Trzeba tylko podążać wzdłuż linii brzegowej, by w końcu na nią trafić. Ale nie można iść zbyt blisko morza, bo skały urywają się pionowo nad wodą. Bacznie obserwowałam więc chłopców.

W końcu znaleźliśmy właściwe miejsce i w kucki zjechaliśmy na podeszwach po zboczu, wpadając na szeleszczący dywan zeszłorocznych liści. Wyschnięte koryto strumienia. Dąb, jarzębina i czarny bez. Wiekowe olchy o popękanej korze, pokryte szarym porostem. Pnącza wiciokrzewu oplatające gałęzie z taką siłą, że pozostawiły ślady na korze.

Max pisnął. Jonatan przypadkiem uderzył go w twarz gałęzią. Chciałam go przytulić, ale się wykręcił.

- Pewnie morza też tu nie ma - syknął, patrząc na mnie swoimi dużymi oczami sześciolatka. Sceptyczny, podejrzliwy, trochę przestraszony. Czy jego mama oszalała? Zaglądała przez cudze okno. Kazała mu szukać skarbu, którego nie ma. Powiedziała, że pojedą nad morze łowić ryby, a teraz prowadzi go coraz głębiej w gęstwinę złowrogo splątanych, smagających po twarzy gałęzi.

- Zaraz będziemy na miejscu - powiedziałam i włożyłam mu na głowę czapkę, którą zgubił, gdy uderzył o gałąź. Daszkiem do tyłu, tak jak lubi, ale on od razu ją zdjął, westchnął i włożył po swojemu.

- Okej - odparł. - Pójdziemy wreszcie dalej?

Dotarliśmy do muru z jałowców i tarniny. Stojąc w tym miejscu, człowiek ma wrażenie, że jest oddalony o całe kilometry od morza, uwięziony w głębokim lesie.

A to tylko ta ściana, nieprzenikniona, pozbawiona szczelin, przez które sączyłoby się światło. Odgradza od plaży i morza, choć czuć już zapach soli, słyszeć chłupot fal, szum wiatru, mimo że stoi się w zupełnie bezwietrznym miejscu.

Kiedyś można się było przedostać tuż przy biegnącej z lewej strony skalnej ścianie. Okazało się, że przejście nadal istnieje. Przecisnęliśmy się, rozchylając kłujące gałęzie iglaków, i wyszliśmy wprost w oślepiające światło.

Chłopcy ruszyli biegiem w stronę maleńkiej plaży, rozgniatając stopami muszle. Woda była krystalicznie czysta. Piaszczyste dno lśniło między koloniami skorupiaków jak białe wysepki. Jako dziecko często przychodziłam tu z rodzeństwem Gattmanów zbierać dobrze odżywione mule i natychmiast je przyrządzić na plaży nad ogniskiem w wypełnionej morską wodą puszcze.

Jonatan chciał od razu łowić ryby, pokazałam mu więc duży sześcienny blok skalny w na końcu plaży, gdzie robi się głęboko.

Dno jest tu niezwykle. Przy samym brzegu rozciąga się płycizna w kształcie wachlarza. Dalej dno gwałtownie się obniża, tak że kąpiącemu się w jednym miejscu woda sięga kolan, a o krok dalej do piersi. Dziecko nie ma tu gruntu pod stopami. To niebezpieczne miejsce dla kogoś, kto nie potrafi pływać. W swoich badaniach natknęłam się na wiele krążących w tych okolicach legend o potworze morskim w kobiecej postaci, mieszkającym w zatoce i wciągającym ludzi pod wodę. To mogłaby być ta zatoka. Można sobie wyobrazić, jak ktoś brodzi w wodzie, zbierając muszle, nagle trafia na głębinę i tonie. Obserwator stojący na plaży nie potrafiłby tego zrozumieć.

Nie znam się na geologii, ale wydaje mi się, że ta drastyczna różnica poziomów ma coś wspólnego z ogromnymi blokami skalnymi, które leżą w stosie wzdłuż skały, a dalej schodzą na plażę i do wody. To efekt działania lądolodu. Prawdopodobnie pod zmieszonym z muszlami piaskiem znajdują się zwalone głazy, które wypełniają zatokę, a nagły spadek przebiega po ich krawędzi.

Chłopcy wspinali się po blokach skalnych. Zawołałam, by uważali. Głazy wyglądają tak, jakby znów miały się potoczyć. Właściwie to dziwne, że tkwią tak w tym ostrym pochyleniu. Zupełnie jakby jakieś czarodziejskie zaklęcie zatrzymało w ruchu lawinę. Wszystko to leży oczywiście stabilnie od tysięcy lat. Ale bloki są nierówne i wystarczy jeden źle postawiony krok, a ciemne przestrzenie między nimi bez trudu pochłoną dziecięce ciało.

Moje ostrzeżenia spływały po nich jak woda. Biegali, jakby stąpali po posadzce w kuchni, więc odetchnęłam z ulgą, gdy w końcu dotarli do sześciennej skały, którą wskazałam im jako miejsce do wędkowania.

Jonatan założył haczyk, zarzucił wędkę i zaczął nawijać. Rok wcześniej dostał w prezencie sprzęt do wędkowania. Jeszcze nigdy niczego nie złapał, choć modłę się, aby w końcu złowił jakąś rybę.

Max kopał i deptał leżące na plaży muszle. Jego zachowanie wzbudzało we mnie mieszane uczucia. Rozumiałam, że podoba mu się chrzęst zgniatanych skorupki, ale niepokoiła mnie zarazem jego chęć niszczenia. To przecież śliczne, matowe, niebiesko-białe

muszle! Zastanawiałam się, czy zaserwować mu jedno z moich niezliczonych upomnień, czy też odwrócić wzrok. Wybrałam to drugie. Zauważyłam, że błystka z wędki Jonatana zaczęła się na dnie. Podeszłam mu pomóc, ale po długich zmaganiach i szarpaniu wędki musiałam przeciąć żyłkę i założyć nową błystkę.

Gdy z powrotem zesłam na plażę, Max zniknął. Niewiele było miejsc, gdzie mógłby pójść. Nie widziałam go na blokach skalnych. Na pewno nie wszedłby o tej porze roku do wody, a może...? Musiałabym to jednak zauważyć. Zawołałam go, ale nie odpowiedział.

- Widziałeś Maxa? - zapytałam Jonatana.

- Przed chwilą - odparł. - Tam. - Wskazał na głazy.

Jeszcze raz zawołałam.

Gdy po raz piąty czy szósty wykrzyczałam jego imię, wysoko w trudno dostępnym miejscu w jakiejś rozpadlinie pojawiła się czerwona czapeczka. Zmiana w moim głosie, ostry ton paniki sprawiły, że w końcu się pokazał.

Widok jego promiennej twarzy tak mnie rozradował, że nie zwróciłam uwagi na miejsce, w którym się znajduje, daleko na najwyższej skale.

- Tam jesteś! - krzyknęłam, a w głowie zakręciło mi się od matczynej miłości.

- Jak tam wszedłeś? - zawołał trzeźwiej myślący Jonatan.

Max tylko się zaśmiał.

I ponownie zniknął za olbrzymimi kamieniami. Jego nieobecność się przedłużała, więc mój niepokój powrócił.

Jonatan odłożył wędkę i ruszył tam, gdzie przed chwilą stał Max. Szybko musiał zrezygnować. Znaczne różnice poziomów między głazami uniemożliwiły mu wspinaczkę. Ale jeśli dziewięcioletni Jonatan nie dał rady wejść do góry, to jak udało się to jego sześciolletniemu bratu?

- Max! - krzyknęłam. - Przestań się wygłupiać i zjedź na dół! Niebezpiecznie chodzić po tych skałach! Max!

W tej samej chwili tuż obok usłyszałam chichot. Max siedział przy mnie wśród skorupki muszli i skręcał się ze śmiechu, sypiąc naokoło piaskiem. Patrzyłam na niego w osłupieniu. Jego pojawienie się było niemal nadnaturalne.

- Jak tu zszedłeś? - zapytałam.

Jonatan, który widział już wiele filmów przygodowych, szybko zorientował się w sytuacji.

- Znalazłeś grotę! Z plaży jest wejście do grotty, która prowadzi na górę. Poczekaj, też tam idę.

- Tu nie ma żadnej groty - powiedziałam.

Bawiłam się tutaj w dzieciństwie. Znałam to miejsce jak własną kieszeń. I nie był to jedynie teren zabaw. O wyjątkowości tego miejsca decydują też inne kwestie. Właśnie tu, na Plaży Muszli znaleźliśmy młodszą siostrę Anne-Marie, Maję, która zaginęła latem 1972 roku. Po jej zniknięciu nigdy już tu nie przyszliśmy, ale wcześniej bywaliśmy na tyle często, że znałam każdy tutejszy kamień, każdą szczelinę, każdy odcień mchu.

Max wspiął się na najbliższą skałę, a następnie wcisnął w wąską szczelinę. Jonatan pobiął za nim.

- Mamo, chodź, zobacz - zawołał gdzieś z dołu. - Pod spodem jest długie przejście. Można wczołgać się pod skałę. Pod kamienie. Można patrzeć w górę. Widzę niebo. Ale fajnie.

Słyszałam ich głosy dobiegające spod zawałonych głazów i starałam się zachować spokój. Znowu musiałam tłumaczyć sobie, że bloki skalne są zaklinowane i stabilne. Leżą tak od tysięcy lat, więc może nic się nie zmieni w tej krótkiej chwili, gdy są tu moi synowie.

Obecność masy kamienia nad głowami chłopców wydawała się przerażająca. Odetchnęłam więc z ulgą, kiedy w końcu zobaczyłam ich wychodzących z groty i machających do mnie z wysokiego, niedostępnego miejsca, w którym poprzednio pokazał się Max.

Chłopcy kilka razy przeciskali się tam i z powrotem. Ja sama położyłam się na brzuchu na głazie przy plaży i patrzyłam w dół na szeroką szczelinę otwierającą przejście. Widziałam skorupki muszli, zmierzwione pióro mewy i piasek. I ciemną przestrzeń pod skalnym blokiem. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy czołgać się czy schodzić wąską szczeliną w dół. Panicznie boję się ciasnych pomieszczeń.

Jonatan nie miał racji, to nie była grota. Raczej przestrzeń pod głazami, powstała dzięki podtrzymującym je mniejszym kamieniom.

Ale dlaczego Anne-Marie lub ja w czasie naszych niezliczonych wizyt na plaży nigdy nie odkryliśmy tego niezwykłego miejsca, które moi chłopcy znaleźli po piętnastu minutach?

Dlatego, że żadnej z nas nie przyszło do głowy wskakiwać do takiej szczeliny. Może nie byliśmy dość odważne albo dość ciekawskie, albo dość głupie, by wystawiać się na takie niebezpieczeństwa.

Zastanawiające, ile można się nauczyć od dzieci. Często wydaje mi się, że uczę się od nich więcej niż one ode mnie.

W miejscu, gdzie znajdowali się chłopcy, powstało nagle ogromne poruszenie. Przez otwory w skale usłyszałam ich głosy.

- Mamo! Znaleźliśmy jaskiniowca! Szkielet!

- To pewnie jakieś zwierzę - odparłam. - Może norka. Tu się od nich roi.

- Sama zobacz! - usłyszałam z głębi głos Jonatana.

Spojrzałam w górę na bloki skalne. Z niedostępnego miejsca znów wystawała głowa.

Tym razem jednak nie zobaczyłam śmiejącej się zza głązów jasnej główki chłopca w czerwonej czapeczce, tylko brązowo-żółtą ludzką czaszkę o pustych oczodołach.

Nowy samochód policjantów sunął miękko i cicho. Siedziałam z przodu.

- Czym się pani zajmuje? - zapytał funkcjonariusz siedzący z tyłu.

Mieliśmy spory kawałek z posterunku do Tångevik i w tym czasie trzeba było o czymś rozmawiać. Jechaliśmy zwykłym autem, a nie radiowozem. Policjanci byli w cywilu i mówili z akcentem z Bohuslän.

- Jestem asystentem. Prowadzę badania w instytucie etnologii - odparłam.

- A co pani bada?

- Mit o porwanych przez trolla. Wiecie, kiedyś wysyłano dziewczyny na pustkowie, żeby wypasły krowy. Jeżeli któraś zniknęła, mówiło się, że porwał ją troll i uwięził w górze. Albo kiedy ktoś cierpiał na psychozę i zmieniała się jego osobowość, wierzono, że porwały go trolle, a psychoza to rzucony nań czar.

Mówiłam gorączkowo. Kiedy nie wiem, o czym rozmawiać z nieznanymi, zawsze opowiadam o swoich badaniach. Większość słuchaczy okazuje zainteresowanie. Opowiadałam już współpasażerom w pociągu, sąsiadom przy stole na przyjęciach, znajomym dzieci. Historia o porwaniu przez trolle zawsze wciąga.

- Mit o porwaniu przez tajemnicze istoty funkcjonuje w wielu kulturach - kontynuowałam. - Ale w każdym miejscu na świecie wygląda inaczej. W Szwecji i Norwegii ludzie giną wśród skał. W Anglii na wzgórzach. A zamiast trolli porywają nimfy.

- W dzisiejszych czasach chyba nikt w to nie wierzy? - zapytał policjant za kółkiem.

- Nie, ale niektórzy ludzie opowiadają o tym, jak zostali porwani przez istoty pozaziemskie na pokład statku kosmicznego. To współczesna wersja tego samego mitu. Model się nie zmienia. Te obce istoty wykorzystywały porwanych, przeprowadzały na nich eksperymenty medyczne i tak dalej. Pojawiają się wątki seksualne. Ofiary mogą otrzymać coś w zamian, ale odbiera im się coś ważnego. Ich duszę, ich osobowość. Te stworzenia nie są ani dobre, ani złe, tylko nieczułe, patrzą na ludzi jak na przedmioty. Po porwaniu człowiek się zmienia. Często traci pamięć. Poprzez sny, hipnozę albo terapię może sobie przypomnieć, przez co przeszedł. W Stanach niektórzy terapeuci specjalizują się w pracy z ofiarami takich

porwać. Krytycy uważają, że to właśnie oni zaszczepiają w ofierze te wspomnienia.

- Boże, tylu jest czubków - jęknął policjant z tylnego siedzenia.

- Nie wierzy im pan? - spytałam prowokująco.

Ci, którzy nie dają się uwieść temu mitowi, zazwyczaj się irytują. Niektórzy ludzie nie znoszą irracjonalnych wyjaśnień.

- A co pani o tym myśli? - zapytał kierowca.

Odpowiedziałam jak zwykle:

- Nic nie myślę. Badam ten mit. To moja praca.

- Też byśmy tak chcieli - rzeki spokojnie policjant prowadzący auto. - Jan-Erik, pomyśl, jakbyśmy się za to zabrali. Bandyci opowiadają swoje historyjki, a my je sobie spokojnie badamy?

Policjant na tylnym siedzeniu zaśmiał się, a ja w głowie rozwijałam jego myśl. „Kłamstwo podczas przesłuchania. Ileż kłamstw musi być w ich aktach. Taka skarbnica fantazji, wymysłów, różnych form przejawu ludzkiej kreatywności. Jak się kłamie? Każdy chce oczywiście uchodzić za niewinnego, ale jaką wybiera metodę? Pomniejszać własną osobę czy jej bronić? Ubarwiać małymi, wiarygodnymi szczegółami czy wręcz przeciwnie: być jak najbardziej zwięzłym i ogólnikowym, by się samemu nie zaplątać? Czy pewne historie powracają, czy policja rozpoznaje standardowe kłamstwa? Czy istnieje ich stały repertuar, czy też powstają spontanicznie?

Dotarliśmy do Tångevik i zaparkowaliśmy na skraju drogi. Podczas wędrowki do Plaży Muszli kilkakrotnie pytali, czy to naprawdę jedyna droga.

- Można też dotrzeć wodą. Ale to jedyna droga od strony lądu.

Kiedy zjechaliśmy po urwisku do przypominającego dżunglę zagajnika w szczelinie, jeszcze raz zapytali: „Czy to na pewno właściwa droga?”. Spojrzeli na mnie tak samo nieufnie jak chłopcy, a ja czytałam w ich myślach: „Trolle, kosmici i szkielet. No tak, w tym fachu spotyka się różnych ludzi”.

Na plaży wiało silniej niż ostatnio. Stałam, marznąc, podczas gdy jeden z policjantów wczołgał się pod skalne bloki. To on prowadził. Był młodszy i wyglądał na bardziej wysportowanego. Drugi pozostał na miejscu i niecierpliwie rozdeptywał muszle.

- Niczego nie ruszaliśmy. Mój syn odłożył czaszkę dokładnie tam, gdzie leżała - powiedziałam.

Przypomniałam sobie o Człowieku z lodowca znalezionym w Alpach i o tym, jak nieostrożnie się z nim obeszli, więc Jonatan otrzymał surowe polecenie, żeby niczego więcej nie dotykać.

Policjant w milczeniu skinął głową. Młodszy wracał już korytarzem. Słysząc było, jak klnie, uderzając głową o sklepienie. Pojawił się za najniższym blokiem skalnym, wyczołgał się w naszą stronę na plażę. Trochę sapał po tym wysiłku.

- Zgadza się - powiedział do kolegi. - Miała rację. Coś tam jest.

Potem odwrócił się w moją stronę, wskazał na rumowisko kamieni i rzeki:

- W to wierzę. Tego porwały trolle.

- Nie zabierzecie go ze sobą? - zapytałam.

Młodszy pokręcił głową.

- Następnym razem. Ale wtedy przypląniemy łodzią.

W dużym ogrodzie dwurodzinnej willi, stojąc na drabinie, Åse zbierała jabłka, ubrana w robiony na drutach sweter i chustkę w czerwony wzór, zawiązaną na czole jak opaska. Owoce leżały na trawie w dwóch stosach, jednym z egzemplarzami zdrowymi, o drugim z robaczywymi. Hedda, dwuletnia córka Åsy i Andersa, stała przy drabinie, brała jabłka od mamy i ostrożnie odkładała je na właściwą stronę. Po cichu miło ze sobą gawędziły. Na grządce lśniły żółte i rdzawoczerwone astry oraz rzędy główek kapusty o pomarszczonych liściach.

Gdy byliśmy z Andersem małżeństwem, uważaliśmy willę za niedostępny luksus. Czy raczej ja uważałam. Już na samą myśl, że musiałabym spłacić milion kredytu, przechodziły mnie dreszcze. Chociaż wiem, że to złe podejście. Åse i Anders na pewno nie mają dochodów wyższych niż my wtedy. Mimo to mieszkają w tym bajkowym ogrodzie i starodawnej willi - przynajmniej w jej połowie. A my tłoczyliśmy się w klitce w Majorna. Mieszkam tam nadal z synami.

Chłopcy popędzili w kierunku Heddy i zaczęli ją podnosić, łobuzować i żartować. Uwielbiają swoją przyrodnią siostrę.

- Cześć - przywitałam się, stawiając na ziemi sportową torbę z rzeczami synów. - Domyśliłam się, że tu jesteście. Dzwoniłam do drzwi, ale nikt nie otwierał.

- Anders jest na treningu. Wróci lada chwila - powiedziała Åse i zeszła z drabiny. - Postanowiliśmy zająć się owocami, zanim przyjdą mrozy. Obrodziły w tym roku. Nie wiemy, co z tym zrobimy. Pewnie ugotujemy mus. - Wskazała na stos gorszych owoców.

Jacy „my”? - pomyślałam. Nie wmówi mi, że Andersa obchodzi zbieranie jabłek.

W tym momencie usłyszałyśmy cofający się na podjeździe garażowym samochód, a po chwili między drzewkami pojawił się sam Anders. Odkąd rok temu zaczął chodzić na siłownię, przybyło mu mięśni. Włosy, zebrane w długi ogon, który teraz nosił, były wciąż

mokre po kąpieli pod prysznicem. Zatrzymał się i tym dobrze znanym gestem włożył sobie snus pod górną wargę. Przez bardzo krótką chwilę poczułam ukłucie miłości, tęsknoty, zazdrości. Czy rozstanie było błędem? Czy nie dostrzegłam w nim czegoś, jakiejś cechy, którą z kolei zauważyła Åse?

Ten atrakcyjny, umięśniony mężczyzna z kitkiem mógł być nadal mój, powinien być mój, w pewnym sensie na zawsze jest mój.

Ale gdy podszedł bliżej, przywitał się, zaczął mówić, wrażenie pierzchło. To był tylko ten sam stary, zwyczajny Anders. Nie, niczego nie żałowałam.

Zaczął grać z Jonatanem w badminton, odbijał twarde jak kamień lotki, których ten nie był w stanie przyjąć. Gdy Jonatan zmarkotniał, chwycił dla odmiany Maxa i trzymając go za stopy, odwrócił głowę w dół. Jak zwykle zbyt brutalnie, zbyt gwałtownie. Kiedyś, gdy tak robił, Max zwymiotował, innym razem Jonatan uderzył głową o podłogę. Zapomnieli już o tym, zarówno chłopcy, jak i Anders. Jonatan też chciał, żeby go podnieść za stopy. Chłopcy skłaniali się to do płaczu, to do śmiechu. Kochają go mocno, to duże, ciamajdowate dziecko, które jest ich ojcem.

- Okej. To ja lecę. Gdybyście szli na basen, kąpielówki są w torbie. Bawcie się dobrze, chłopcy. Do zobaczenia w poniedziałek.

Ucałowałam ich na pożegnanie, wyszłam przez ogród na ulicę i pojechałam do miasta. Słońce stało nisko, drzewa uginały się od owoców. Na zewnątrz wciąż było ciepło, bardziej letnio niż jesienią. Po długich poszukiwaniach znalazłam miejsce parkingowe dwie przecznice od mojego domu. Weszłam po schodach i otworzyłam drzwi do pustego mieszkania. Rozpoczął się mój weekend.

Ustaliliśmy, że chłopcy są u Andersa co trzeci tydzień od piątku po południu do poniedziałku rano.

Tuż po rozwodzie tęskniłam za tymi weekendami tylko dla siebie. Gdy byłam mężatką, wydawało mi się, że poza małżeństwem czeka na mnie wielka cudowna kraina wolności. Mój związek należał do nudnych. Anders i ja byliśmy dla siebie jak brat i siostra. Uprawialiśmy seks, ale zawsze mówiliśmy o nim dziarskim tonem: „Czas spełnić małżeńskie obowiązki”. Brr, ależ nuda. Często zakochiwałam się w innych mężczyznach, upajałam niewinnymi flirtami z w pracy, na szkoleniach lub imprezach. Że też, cholera, jestem mężatką, myślałam. Bo zdrady absolutnie sobie nie wyobrażałam. Anders od razu by to po mnie poznał. Zupełnie nie potrafię go okłamywać. Chyba nie byłby zazdrosny, ale zgodnie ze swoim dziecięcym wyobrażeniem o sprawiedliwości powiedziałby: „To ja też to zrobię”. A tego bym nie zniosła.

Rozwód to natomiast co innego.

Początkowo upajałam się swoimi samotnymi weekendami. Zażywałam długich kąpieli w wannie z połyskującymi perłowo kulkami do kąpiel, przy ustawionym na skraju umywalki świeczniku. Kupowałam mnóstwo ubrań i chodziłam z przyjaciółkami po knajpach. W końcu byłam gotowa wkroczyć do świata wyuzdanych namiętności, które, jak sądziłam, czekały poza granicami małżeństwa. I odkryłam, że one nie istnieją. Zdałam sobie sprawę, że flirt to flirt i nic poza tym, a mężczyźni, którzy kusili mnie, gdy byłam mężatką, są tak samo związani, jak ja wtedy, i mają równie znikomą jak ja wtedy chęć na zdradę. Teraz w nikim się nie zakochiwałam. Z wyjątkiem dwóch przypadkowych, nudnych i zenujących historii, które przytrafiły mi się w pierwszych miesiącach po rozwodzie (jedna z kolegą z pracy, druga z obcym mężczyzną na promie do Danii), żyłam bez mężczyzn. Na początku traktowałam to jak przerwę, ale wkrótce zdałam sobie sprawę, że może tak już zostanie, i ku swemu zaskoczeniu stwierdziłam, że nie mam nic przeciwko temu.

Namiętności się więc nie doczekałam. Pozytywne w rozwodzie było coś innego, coś znacznie bardziej banalnego, ale ważniejszego, niż mi się wydawało. To, że nie musiałam już sprzątać po Andersie, przekonywać, zrzędzić, namawiać, zawierać kompromisów. Zrozumiałam, ile czasu i energii mi to zabierało. Całe to niepotrzebne głędzenie - nie kłótnie, ale głędzenie - do późnej nocy, tak że następnego dnia byłam śmiertelnie zmęczona.

Jeśli nie głędziliśmy, oglądaliśmy telewizję. Skończyłam z tym po wyprowadzce Andersa. Gdy chłopcy idą spać, czytam albo krzątam się po domu, słuchając radia. Zmieniłam też dietę. Odkryłam, że właściwie nigdy nie przepadałam za pieczenią wołową ani klopsikami, za to lubię kuchnię wegetariańską i orientalną. Przez krótki czas przeżywałam także upajające uczucie fizycznej przestrzeni. Rozkoszowałam się przestronnymi powierzchniami, które pozostały po jego biurku, półkach na książki i brzydkim zestawie kanapowym. Zapełniły się ponownie szybciej, niż przypuszczałam.

Zdziwienie. Tym zareagował Anders, gdy zaproponowałam rozwód. Nie było przecież aż tak źle, myślał. Ale skoro tego chcę. Największy problem polegał na tym, że musiał sobie znaleźć mieszkanie. Pamiętał, z jakim trudem zdobyliśmy nasze, które teraz zatrzymywałam, bo chłopcy mieli mieszkać ze mną. Ale dopisało mu szczęście. Bardzo szybko załatwił sobie nowe mieszkanie w dzielnicy obok i równie szybko załatwił sobie nową kobietę. Po prostu odwrócił się, a ona tam stała. Dokładnie tak mi to opisał. „Po prostu się odwróciłem, a ona tam stała”.

Wydarzyło się to u niego w pracy, w Muzeum Etnograficznym. Stał w sklepiku z pamiątkami, czegoś szukał. Nagle odwrócił się, a tam stała ona i wykładała na stojak kartki z

indiańskimi maskami. Była ich nową pracownicą przyslaną z urzędu pracy, trzydzieści dwa lata, zdrowy wygląd, norweski akcent, krótkie brązowe włosy, w jednym uchu indiańska ozdoba z piórka. W jego życiu miejsce dla kobiety było puste, odwrócił się i miejsce się zappełniło. (Pamiętam, że w podobnej sytuacji znajdował się, gdy spotkaliśmy się na stacji w Falköping. Wracał do domu od dziewczyny, z którą właśnie zerwał. Był wolny dopiero od kilku godzin, gdy pojawiłam się ja).

Åse opowiadała mi, jak to się zaczęło. Dowiedziała się od astrologa, że przed końcem roku spotka mężczyznę swojego życia, co ją bardzo ucieszyło.

Po okresie wolnej i wędrowniej egzystencji pragnęła się usatkwować i urodzić dziecko.

Gdy w swoim nowym miejscu pracy wykładała pocztówki z indiańskimi maskami, był 19 grudnia i do końca roku nie pozostało już wiele czasu, Åse zaś obserwowała każdą istotę męską z pełnym napięciem oczekiwaniem. Kiedy więc weszła do pomieszczenia, od razu zwróciła uwagę na mężczyznę w czarnej skórzanej kamizelce, który schylony grzebał w szufladzie pod ladą. Obserwowała go przez cały czas kątem oka i gdy się wyprostował i odwrócił nieco poirytowany, napotkała jego spojrzenie.

Anders podobno od razu poczuł, że coś jest inaczej. (Przypuszczam, że od tego oczekiwania miała rozszerzone źrenice i zarumienione policzki, naturalna zachęta do tańca godowego). Właśnie miał zapytać, gdzie jest to, czego szukał w szufladzie pod ladą, ale nagle zapomniał, co to było. Usłyszał jej norweski, ładny akcent i że będzie tam pracować. Ujął jej wyciągniętą dłoń i w tej samej chwili usłyszał słaby, lecz wyraźny dźwięk opisywany przez króla Karola XVI Gustawa jako „klik”. Z tego określenia Anders wcześniej śmiał się szyderczo, a teraz uznał je za niesamowicie trafne. „Właśnie tak - stwierdził, gdy opowiadał mi o wszystkim przy moim stole kuchennym - dokładnie tak było. Po prostu klik. Niemal to słyszałem”.

Jak dwa pasujące do siebie klocki lego. Puzel trafiający na swoje miejsce. Zamykający się zatrzask. Dźwięk spełnienia. Klik.

Znikło dziwne uczucie pustki. Znów miał kobietę. Chciała z nim założyć rodzinę, kupić dom, urodzić dziecko. A on nie miał nic przeciwko temu. Taki był porządek natury.

Wzięłam prysznic. Z kąpielami dawno już skończyłam, z myciem wanny jest tyle zachodu. Ubrana w swój szlafrok frotte, usiadłam na sofie z filiżanką herbaty i przewracałam papiery. Wieczorem miałam w bibliotece miejskiej wygłosić referat i zastanawiałam się, które historie o porwaniu przez trolle przedstawię. „Ślady paznokci na parapecie” zaczynam zazwyczaj, gdy słuchaczami są kobiety, czyli niemal zawsze przy takich okazjach. „Górnika” opowiadam, gdy wśród publiczności widzę jakichś mężczyzn.

Przeszłam do komputera i sprawdziłam kilka rzeczy. Mam sześć różnych plików, w których gromadzę informacje: „Kto został porwany?”, „Kto porywa?”, „Urowadzenie”, „Czas między skałami”, „Uwolnienie” oraz „Potem”. Następnie zapisałam swój referat w formie haseł, włączyłam drukarkę i otworzyłam drzwi do szafy z ubraniami.

Na co dzień chodzę w spódnicach ze sklepu indyjskiego i dzierganych wzorzystych swetrach, ale przy takich okazjach unikam ubrań o charakterze etnicznym. Podczas gdy drukarka wypluwała mój referat, ja przymierzałam kostium w trudnym do określenia odcieniu między brązem a zielenią, przez ekspedientkę z jakiegoś dziwnego powodu nazywanego „krecim”, i od razu przebrałam się w czarne spodnie, czerwony golf oraz cienką czarną kurtkę skórzaną. Wysuszyłam suszarką włosy i związałam je w luźny ogon, który miał stwarzać profesjonalne, a zarazem kobiece wrażenie. Spakowałam teczkę, pomalowałam usta, włożyłam płaszcz oraz buty do kostek i wyszłam.

„Mity o uprowadzeniu człowieka przez istotę nadprzyrodzoną i przetrzymywaniu go w niedostępnym miejscu funkcjonują na całym świecie.

W grece istnieje określenie «porwany przez nimfę», które można porównać z naszym porwaniem przez trolla, ale może też ono oznaczać zamroczenie umysłu albo stan ekstazy. W Azji występuje pojęcie «porwany na pustynię»; w tym wypadku złe dziny, demony porywają człowieka. Niemcy mają wyrażenie *bergentückt*, ale u nich można je odnaleźć głównie w starych sagach o królewskich córkach, przetrzymywanych przez olbrzymów i uwalnianych przez śmiałków. Mit o porwaniu przez trolle w postaci, w której go znamy, należy do kultury nordyckiej i celtyckiej.

O uprowadzonych mówimy *bergtagen*, czyli «wchłonięci w skałę», «zabrani przez górę». Tym określeniem opisywało się także choroby psychiczne. Dziś używa się go jako odpowiednik słowa „oczarowany”, „zafascynowany”.

Nie miałam licznej publiczności, ale i tak nie było najgorzej jak na piątkowy wieczór. Sama wiem, jak ciężko po powrocie z pracy wyjść znowu w jesienną ciemność, po kolacji, gdy człowiek już padł na kanapę, najedzony i zadowolony. Nie chce mu się. Wiele było odczytów, na które miałam zamiar się wybrać, ale gdy nadchodziła ich pora, nigdzie się nie ruszałam.

Publiczność składała się przede wszystkim z tych samych co zwykle dwóch kategorii: młodych dziewczyn gustujących w New Age i starszych pań zainteresowanych swoim regionem.

- Kto bywa porywany? - zapytałam retorycznie. - Niebezpieczeństwo grozi młodym

kobietom i małym dziewczynkom. W pewnych okresach życia kobieta jest szczególnie narażona. Można powiedzieć, że znajduje się w strefie zagrożenia tuż przed religijnym rytuałem: przed chrztem, przed konfirmacją, przed ślubem i przed powtórным przyjęciem do wspólnoty po urodzeniu dziecka. Jeżeli już poddała się któremuś z tych rytuałów, ma silną ochronę i może być przez jakiś czas spokojna. Ale - przerwałam i zawiesiłam wzrok na jednym z nielicznych facetów na sali - także mężczyźni mogą zostać porwani.

I opowiedziałam o górniku z kopalni Persbergsgruvan w Wermlandii. Za tą historią naprawdę przepadam:

- Przed zejściem do kopalni robotnicy zawsze zabierali z kuźni świeżo naostrzone wiertła. Jeden z nich zwykle zostawał tam dłużej. Kiedy jednak koledzy docierali na dół, on już tam był. Zdali sobie sprawę, że musi znać skrót z kuźni, ale mimo poszukiwań nie odnaleźli żadnej innej drogi. Któregoś dnia postanowili podpatrzeć, jak to robi. Zajrzeli przez okno do kuźni i zobaczyli, jak mężczyzna zapada się pod podłogę, prosto w skałę. Wtedy zrozumieli, że rzucono na niego urok. Gdy zapytali go o to, przyznał, że pracując kiedyś w kopalni, został porwany przez trolle. Znalazł się w jakimś miejscu głęboko w skale, gdzie były piękne kobiety i ładna muzyka. Potem pozwolono mu powrócić i jak dawniej pracować w kopalni. Ale jasne było, że istoty z gór wciąż miały nad nim władzę. Wiele razy widziano go idącego po tafli jeziora. Wezwano wiedźmę, by zdjęła zaklęcie. Udało jej się sprawić, że mężczyzna nie chodził już po powierzchni wody, lecz zapadał się w nią po kolana, tak że brodził jak w głębokim śniegu. Według sztygara opowiadającego tę historię wyglądało to bardzo dziwnie. Ale nie zdarzyło się to wiele razy. Niedługo potem mężczyzna ruszył przez jezioro i nigdy nie wrócił.

(Uwielbiam ten fragment o brodzeniu. Jakby zaczarowano go w połowie. I że ten stan był bardzo niezadowolający, a on wołał już na dobre powrócić do trolli. Widzę go, jak brnie przez wodę pluskającą wokół jego nóg w jeziorze, po którego powierzchni jeszcze niedawno z taką łatwością spacerował).

- Istnieją także przypadki porwania całych grup ludzi - ciągnęłam. - Na przykład historie o orszakach weselnych. W drodze do kościoła uprowadzony zostaje nie tylko pan czy panna młoda, ale cały orszak z ludźmi, końmi i wozami. Ponoć w Mösseberg uprowadzono kiedyś cały pułk. Ale tego typu masowe uprowadzenia należą do rzadkości. Poza tym porywa się nie tylko ludzi. Góry podobno pełne są krów, cielaków, wołów, owiec i kóz porwanych przez trolle.

Pani w trzecim rzędzie energicznie dała ręką znak, że zada pytanie. Chociaż właściwie nie chciała o nic pytać, chciała coś opowiedzieć. Tak jest zawsze podczas moich wykładów o

uprowadzeniu. Ludzie sami chcą opowiadać. Starsi słyszeli takie historie w swoich rodzinnych stronach, a ponieważ są one często podobne do siebie, jedna prowadzi do kolejnej. „To mi przypomina” i tak dalej. Opowiedziała historię o porwanym cielaku. Pozwoliłam jej mówić przez chwilę, potem jej przerwałam - może trochę brutalnie - podsumowałam jej historię w kilku zdaniach i wplotłam w kolejną część referatu, dotyczącą samego przebiegu uprowadzeń.

- To na ogół niejasna strona historii - mówiłam. - Porwani, którzy powrócili, nie umieją opowiedzieć, co się wydarzyło. W jednej chwili tu, w kolejnej tam. Żadnego opisu drogi w tamtą stronę. Chodzi bardziej o inny wymiar, odmienny stan niż miejsce.

Potem mówiłam o uwolnieniu, udało mi się tu nawet nawiązać do cielaka, o którym opowiadała pani z trzeciego rzędu. Wyglądała na zadowoloną, ale część publiczności była trochę rozkojarzona, więc pomyślałam, że nadszedł czas na „Ślady paznokci”. To osobny gatunek w mitologii uprowadzeń: Opowieści o bigamii.

- W parafii Berg żyło sobie małżeństwo - zaczęłam, odgarniając kosmyk włosów, który wysunął się z kitki. - Żona urodziła dziecko. Pewnego dnia poszła po krowy, a wtedy z lasu wyszedł troll i ją porwał. Gdy mężczyzna wrócił do domu, znalazł w kołysce płaczące i głodne maleństwo, nigdzie jednak nie widział żony. Czekał, ale nie przyszła ani tego dnia, ani następnego. Gdy minął rok, a kobieta wciąż nie wracała, ponownie się ożenił.

Pewnego wieczora mężczyzna, dziecko i nowa żona jedli kolację. Wtem rozległo się pukanie w okno. - Zrobiłam krótką przerwę. - Gdy mężczyzna spojrział w tamtą stronę, zobaczył swoją pierwszą żonę. „Wpuść mnie szybko! Uciekłam od trolla!” - krzychała. Mężczyzna wstał, by ją wpuścić, ale nowa żona chwyciła go i zatrzymała. On usiłował się wyrwać, a z zewnątrz dochodziły hałasy. „Idą, idą! Pośpiesz się i otwieraj!” - krzychała pierwsza żona. Mężczyzna nie podszedł jednak do drzwi, bo nowa żona uwiesiła mu się na szyi, a on nie mógł się uwolnić. Nagle usłyszał potworny huk i łomot. Pierwsza żona coś krzyknęła, cała chata się zatrzęsała.

Nie odważył się wyjść z domu aż do następnego dnia. Na parapecie znalazł ślady krwi i dziesięć rys po paznokciach. Kobieta próbowała się przytrzymać, ale troll siłą ją oderwał i zabrał ze sobą. Nigdy nie wróciła. Ślady paznokci wciąż jeszcze widać na parapecie.

Historia wywołała zamierzony efekt. Większość słuchaczy się ocknęła. Wśród publiczności rozległy się poszeptywania.

Istnieją bardziej soczyste warianty. Kałuże krwi za oknem i strugi krwi prowadzące do skały. Ale ja najbardziej lubię ten ze śladami paznokci.

Następnie mówiłam o tym, co „Potem”, o porwanych, którym udało się powrócić z

niewoli:

- Osoba taka jest często opisywana jako chwiejna, dziwaczna, pomieszana. Niektórzy doznają fizycznych krzywd, takich jak utykanie, głuchota, niemota, zez albo tiki. Inni wydają się nie mieć obrażeń i powracają do codziennego życia, ale niedługo potem zapadają na nieznaną chorobę i umierają. Przypadki, gdy porwani nie doznają uszczerbku, dotyczą najczęściej dzieci. Uprowadzone zwierzęta chudną, a krowy jałowieją. Ale bywa też na odwrót - skinęłam głową w stronę pani w trzecim rzędzie - utuczone cielaki i krowy, które dają dziesięć razy więcej mleka.

Tym razem zgłosił się młody mężczyzna we flanelowej koszuli.

- Tak?

- Ludzie w to wierzyli? To znaczy tak naprawdę? - zastanawiał się.

- Dobre pytanie. Wydaje mi się, że trochę wierzyli, a trochę nie. Że zniknięcia można było wyjaśnić na różne sposoby, magiczne i realistyczne, i że w pewnych wypadkach, gdy realne wyjaśnienie wydawało się zbyt bolesne, wybierało się to mityczne. Świadomie czy też nieświadomie.

- Co ma pani na myśli? - zapytał ten we flaneli.

- Proszę sobie wyobrazić matkę kilkorga dzieci. Zbiera w lesie jagody, są z nią najmłodsze dzieci, ona nie ma ich z kim zostawić. Jest zajęta, musi nazbierać jak najwięcej, zanim zrobi się ciemno, a gdy podnosi wzrok, stwierdza, że nie ma jednego z dzieci. Szuka, inni szukają, ale maluch się nie odnajduje. Myśl, że zablądził i umarł z głodu w lesie, bo go nie dopilnowała, wywołałaby w matce zbyt silne poczucie winy. Łatwiej przyjąć wyjaśnienie, że dziecko porwała jakaś obca istota. Ta wersja broni się także, gdy dziecko się odnajduje, osłabione i majaczące z głodu i szoku.

Większość zaginięć jest na tyle tragiczna i obciążona tak silnym poczuciem winy, że ludzie są gotowi zaakceptować każde wyjaśnienie, byle nie to prawdziwe. Ciężarne, niezamężne kobiety, które się topią, maltretowana służba uciekająca do lasu, porzucane dzieci. Ujawnienie prawdziwego wyjaśnienia nie leży w niczyim interesie. Rozbiłoby wiejską wspólnotę. Lepiej winić obce siły, trolle.

Zerknęłam na zegarek, który zdjęłam i położyłam na mównicy obok maszynopisu. Zostało mi dziesięć minut. Właściwie zamierzałam zakończyć odtworzeniem nagrania przeprowadzonego przeze mnie wywiadu. Ale pani w trzecim rzędzie znów z zapalem pomachała ręką, postanowiłam zakończyć pytaniami z sali.

Pani z trzeciego rzędu i tym razem mnie zwiodła.

- Chciałam zapytać, jak to właściwie jest z porwanymi zwierzętami. Bo tam, gdzie

mieszkałam, była jedna świnia... - I już opowiadała historię, która niepostrzeżenie i sprytnie przeszła w trzy, cztery inne, wszystkie o zwierzętach. Pozwoliłam jej kontynuować, wdzięczna za to lekkie zakończenie mojego referatu, który zrobił się bardziej mroczny, niż chciałam. Przekroczyła czas o kilka minut, podziękowałam jej i zakończyłam.

Gdy szłam przez puste, lekko pochyłe audytorium w kierunku wyjścia, zobaczyłam, że jakiś mężczyzna pozostał na miejscu. Siedział z tyłu, w pobliżu drzwi. Miał na sobie intensywnie niebieską kurtkę i wyglądał inaczej niż większość moich słuchaczy. Skinął w moją stronę, jakby mnie znał, i wtedy zobaczyłam, kto to: policjant, który siedział na tylnym siedzeniu, gdy jechaliśmy do Tångevik, żeby pokazać, gdzie leży szkielet.

Wstał i podszedł do mnie, wyciągając jednocześnie rękę. Przełożyłam teczkę do lewej dłoni i przywitałam się.

- Jan-Erik Liljegren, z policji, przypomina mnie sobie pani? Można się z pani wykładu wiele nowego dowiedzieć - rzekł.

- Przyszedł pan mnie przesłuchać? - zapytałam.

Właściwie wydało mi się to trochę dziwne, że policjanci się ze mną nie skontaktowali. Sądziłam, że będą chcieli zadać mi kilka pytań. Nie dlatego, że miałam dużo więcej do opowiedzenia, ale w końcu ja - czy raczej mój syn - znaleźliśmy szkielet człowieka. Kiedy im go wskazałam, nawet mi nie podziękowali i potem już się nie odezwali. A teraz zjawia się na moim wykładzie ten Jan-Erik Liljegren jak jakiś Colombo.

- Mógł pan mnie znaleźć pod adresem domowym - dodałam nieco oschle.

- Przesłuchać? - roześmiał się. - Nie, do licha, nie jestem w pracy. Byłem akurat na mieście, zajrzałem tu, żeby poczytać gazety i zobaczyłem na afiszu, że będzie pani miała wykład. Ostatnio trochę pani o tym opowiadała. Ciekawe.

- Czy wie pan coś więcej o tym szkielecie? - zapytałam.

- Może trochę. Ale tutaj już chyba zamykają. Nie moglibyśmy iść gdzieś i porozmawiać? Chyba że się pani spieszy do domu, do dzieci?

- Dzisiaj nie. Są u swojego taty.

- Aha. To chodźmy do Mickey's Inn.

- Co to takiego?

- Lokal. Zawsze tam chodzę, gdy tu jestem. Tanie piwo. Tu się już chyba niecierpliwią. Chodźmy.

Wzięłam płaszcz i wyszliśmy w jesienny mrok. Jak zwykle w piątkowy wieczór pełno młodych ludzi przetaczało się tam i z powrotem przez ulicę Avenyn. Dudniąca muzyka wylewała się z przemykających samochodów z opuszczonymi szybami. Po dwudziestu

minutach znaleźliśmy się w Mickey's Inn, knajpie z poważnymi zaburzeniami tożsamości. Nie mogła się zdecydować, czy chce przypominać angielską wiejską kuchnię, chatę w Alpach Szwajcarskich czy szopę rybacką w Bohuslän. Ale piwo było rzeczywiście tanie. Zamówiliśmy po jednym dużym i usiedliśmy przy oknie. Jan-Erik Liljegren opowiadał, że mieszka na wyspie Tjörn, ale od czasu do czasu przyjeżdża do Göteborga.

- Chętnie bym się tu przeprowadził, ale żona z małym mieszkają przecież tam i nie chcę być tak daleko od nich - powiedział Jan-Erik Liljegren. - Rodzina, nie ma nic ważniejszego niż własna rodzina. Wracać z pracy do domu, widzieć ich, przytulać ukochaną, jeść z nimi kolację, słyszeć ich oddech, kiedy śpią. - Westchnął głęboko.

- To rozumiałe, że chce pan mieszkać z bliskimi - powiedziałam ze zdziwieniem. - Dlaczego miałby pan nie mieszkać?

- Bo mnie wyrzuciła. Wie pani, mieliśmy przypadek faceta, który został tak wysiudany. Wie pani, co zrobił? Nie, nie wie pani, bo w gazetach nie pisali o tym ani słowa. Całkiem zwyczajny facet, przedsiębiorca, trenował młodzież w siatkówce. Przez jedenaście dni siedział sam w domku na wsi. Zaopatrzył się w jedzenie i piwo i całkiem się odizolował. Potem wziął sztucer na łosie, pojechał do domu i wszystkich wystrzelał. Najpierw dzieci w łóżkach, potem starą na piętrze, a na końcu siebie. W życiu nie widziałem czegoś tak straszego. Wtedy nic z tego nie chwyciłem. Tylko kręciłem głową. Ale teraz dokładnie rozumiem. Dokładnie!

Zamachnął się ręką w gwałtownym geście i o mało co nie strącił porcelanowej kaczki na oknie.

- A ja nie.

- Nie, kobiety chyba nie rozumieją, jakie to dla mężczyzny trudne. Hej, kotku, już nie jest fajnie, wyrosliśmy z siebie, wynocha! Cholera, rozumiem tego kolesia. Rodzina to coś świętego. A nie coś, co się ot tak rozwiązuje.

Ni stąd, ni zowąd pomyślałam, jakie to szczęście, że Anders nie ma pozwolenia na sztucer. Ale nie sądzę, aby coś takiego leżało w jego naturze. Wyobraziłam sobie, że Anders wyrzuca mnie, gdy chłopcy są mali, a ja nadal jestem w nim zakochana, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłabym z tego powodu wziąć sztucer i zastrzelić własne dzieci.

- Zupełnie go nie rozumiem - powiedziałam.

- To dlatego, że jest pani kobietą.

- Pewnie tak. Wielu mężczyzn ma w życiu trzy filary: rodzinę, pracę i telewizję. Jeśli któryś im zabrać, zawalają się - powiedziałam mądrze. I nagle coś mi przyszło do głowy: - Czy ten facet ma coś wspólnego ze szkieletem?

- Co? Nie, tamto to stara sprawa.

- A więc to jest jaskiniowiec?

- Ha ha, nie, nie aż tak stara.

- Wiecie w takim razie, co to za człowiek?

- Nie jesteśmy całkiem pewni. Ale prawie pewni. To może być kobieta, której poszukiwano wiele lat temu. Kristina Lindäng. Na długo zanim zacząłem pracę.

- Kiedy zaginęła? - zapytałam.

- Jej zaginięcie zgłoszono w listopadzie 1972. I nikt jej nie znalazł. Aż do teraz.

Serce mi podskoczyło.

- Znałam rodzinę, której właśnie w tym roku zaginęła córka - powiedziałam. - Znalaziono ją na tej samej plaży. Sądzi pan, że te sprawy mogą być powiązane?

- Nie wiadomo, ale to możliwe. Po tylu latach niewiele jednak da się sprawdzić. To niebezpieczne miejsce. Pod głazem biegnie jakiś korytarz i jeśli ktoś wczółga się za daleko, może utknąć. Nie powinna pani pozwalać chłopcom się tam bawić.

- Nie widziałam, jak się tam wczółgał - wyjaśniłam.

- Chłopcy chodzą własnymi drogami - wymamrotał Jan-Erik Liljegren i ze smutkiem spojrział przez okno. - Gdy dziś zadzwoniłem do swojego syna, ledwie miał czas, by ze mną rozmawiać. Wybierał się na deskorolkę. Tak, weźmy jeszcze po piwie.

Pomyślałam, że powinnam jechać do domu, ale właściwie mogłam równie dobrze tu zostać, i tak też zrobiłam. Siedzieliśmy w Mickey's Inn aż do zamknięcia.

- Uciekł mi autobus - powiedział Jan-Erik Liljegren. - Nie ma pani w domu wolnej kanapy?

- Na mojej kanapie leżą stosy papierów i książek - odparłam.

- O micie o wprowadzeniach? Tak, tak myślałem. A o autobusie mogłem wcześniej pomyśleć, to prawda. Ale jakoś sobie poradzę.

- Na pewno?

- Jasne.

Po powrocie do domu rozpakowałam teczkę. Kasetę włożyłam do odtwarzacza w sypialni. Umyłam się, wyszczotkowałam zęby, rozpuściłam włosy i położyłam się. Wyciągnęłam rękę do magnetofonu, włączyłam go i zgasłam lampkę.

Ta kasetka ma dla mnie szczególne znaczenie. Nagranie zawiera opowieść jedynej znanej mi osoby, która twierdziła, że została porwana przez trolle. Dziewięćdziesięciodwuletnia kobieta, którą spotkałam w 1987 roku w domu starców w Sollefteå. Najpierw dostałam o niej informację, ale wytropienie jej zajęło mi ponad rok i przez cały czas bałam się, że umrze,

zanim ją odnajdę. Gdy ją w końcu spotkałam, najpierw bardzo nie chciała opowiadać, po chwili jednak to zrobiła. Niewiele. Ale dla mnie jej opowieść była bezcenna, ponieważ to historia z pierwszej ręki. Zmarła kilka miesięcy po mojej wizycie.

Teraz leżałam w ciemności, zmęczona i trochę pijana, i słuchałam skrzeczącego, starego głosu:

„Owszem, zostałam zabrana, gdy byłam mała. (Określenie «zabrany» - albo «ściągnięty» - jest często stosowane zamiast «porwany przez trolle».) Właściwie nie ma o czym mówić. Nic z tego nie pamiętam. Miałam pięć lat i poszłam z matką zbierać jagody. Nie było mnie przez trzy dni. Opowiedzieli mi to inni. Nic mi się od tego nie stało. Zawsze byłam zdrowa, czuję się dokładnie tak jak reszta. Ale gdy dorosłam, musiałam się wyprowadzić ze wsi. Nie podobało mi się, że ludzie to o mnie wiedzieli. Wielu zostało porwanych. Nie mówi się o tym. Ale widzę to w ich oczach. Aha, jeszcze jeden, myślę. Ale nic nie mówię. Nie jesteśmy przez to gorsi. Wyszłam za mąż i urodziłam pięcioro dzieci. Miałam dobre życie. Nigdy nie opowiadałam o tym mężowi ani dzieciom. Wyśmialiby mnie. Czasami, kiedy czułam się dziwnie, myślałam, że to przez to. Ale staram się o tym nie myśleć. Nie wydaje mi się, żeby obecnie kogoś porywali. W każdym razie nie w tej okolicy. Nie, chyba nigdzie.

Dlaczego?

Nie wiem. Teraz jest przecież telewizja i takie tam.

W jaki sposób telewizja wpłynęła na porwania?

To trochę inny czas. Gdy porywali... to miało związek ze starymi czasami. Coś takiego już się nie zdarza.

Mówi pani, że nic nie pamięta z porwania. Skąd więc pani wie, że to się wydarzyło?

Pamięta, nie pamięta. Przecież człowiek wie, co przeżył.

Ale to inni pani o tym opowiedzieli?

Opowiedzieli, że mnie nie było.

Ale przecież mogła pani zabłądzić i błąkać się po lesie przez trzy dni?

Byłam całkiem sucha, chociaż przez cały czas padało. I nie chciałam jedzenia, bo mówiłam, że właśnie jadłam. Dostałam porcję kaszki z borówkami i zjadłam tylko jedną łyżkę, taka byłam najedzona. Po trzech dniach!

Ale przecież mógł się panią zająć jakiś dobry człowiek?

Nie, to nie byli ludzie, co to, to nie.

Więc nie ma pani wątpliwości, że była u trolli?

(Śmiech. Niewyraźne). Ale nie jestem przez to gorszym człowiekiem”.

Tylko tyle. Przewinęłam taśmę i puściłam ją jeszcze raz. Mogę jej słuchać bez końca.

Przeszłość ma różne warstwy.

Poprzedni rok: Nieomal teraz, ale niezupełnie. Irytujący i nieciekawym jak wczorajsza gazeta albo zeschnięty chleb.

Poprzednia dekada: Niedorzeczna. Nienowoczesna. Żenująca.

Ale na dnię studni czasu - gdzieś między drugą a trzecią dekadą - przeszłość zmienia charakter. Szlam osiadł i tworzy wzór.

Gdzie po raz pierwszy zobaczyłam Gattmanów? Prawdopodobnie na plaży.

W pobliżu nie było żadnej długiej plaży, w regionie Bohuslän to rzadkość, za to wybrzeże pełne jest małych plaż, które mogą się bardzo między sobą różnić. Są plaże o grubym, brązowożółtym piasku, plaże z białym, drobnym muszelkowym piaskiem, który zostawia na skórze suchy pył, plaże z cuchnącym mułem i plaże pokryte muszlami dużych omułków.

Przeważnie kąpaliśmy się przy jednej z dwóch leżących u stóp domu Gattmanów małych plaż o brązowożółtym piasku, przedzielonych skałą i ich prywatnym pomostem.

Nazwaliśmy je Plażą Przedpołudniową i Plażą Popołudniową według pory, gdy padało na nie słońce.

Pojawiali się zazwyczaj około jedenastej. Schodzili ze skały po żeliwnych schodach z żelazną poręczą, ubrani w koszulki w poprzeczne pasy i kapelusze przeciwsłoneczne. Następnie rozkładali się ze swoimi kocami, parasolami, koszykami, książkami, gazetami i zabawkami. Starsze dzieci skakały do wody i nurkowały. Anne-Marie, która wciąż była najmłodsza, bawiła się w piasku. Dorośli czytali.

Coś mnie do nich niesamowicie przyciągało. Gdy rozstawiali swoje rzeczy, ja siadałam w pobliżu i przyglądałam im się. Jedli chleb z miodem i pili świeżo wyciskany sok jabłkowy, obie rzeczy były dla mnie nowe, nigdy nie jadłam miodu ani nie piłam moszczu jabłkowego. Wydawało mi się, że jedzą złocisty pokarm. Karin, mama Anne-Marie pytała, czy chcę spróbować, ale nie śmiałam. To było pierwsze lato. Musiałam mieć wtedy pięć lat.

Złociste drugie śniadanie to wczesne wspomnienie, ale tak samo wczesne i jeszcze silniejsze jest wspomnienie o rozgwieździe. Pokazał mi ją dziadek Anne-Marie, Tor Gattman, profesor literatury. Na łysiejącej głowie nosił zawiązaną w cztery supełki chusteczkę do nosa. Staliśmy w wodzie, w dłoni trzymał rozgwieźdę, obrócił ją i pokazał mi tysiące małych poruszających się nówek. Opowiadał, jak żyje, pokazał otwór gębowy, którym je. Mówił z

łagodnym i przyjemnym skańskim akcentem. Tak naprawdę to nie ze mną w gruncie rzeczy na początku rozmawiał, tylko z Anne-Marie. Ale gdy zobaczył mnie obok, zasłuchaną i zagapioną, odwrócił się i całkiem naturalnie, nie przerywając swojej opowieści, wyciągnął rękę z rozgwiżdżą i mówił teraz także do mnie. „No, rozumiesz...” - rzekł swoim miękkim głosem, wymawiając gardłowo „r”, i to do mnie zwracał się per ty! To „rozumiesz” było absolutnie najcudowniejszą rzeczą, jaką przeżyłam.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. To, że zwracał się do mnie ktoś z tej rodziny, było tak wspaniałe. Stałam tylko i pozwalałam, by to doznanie opadało na mnie jak złoty pył.

Odtąd podsycalam marzenie o tym, że Anne-Marie zostanie moją koleżanką. Dlaczego był to tylko sen, a nie rzeczywistość? Miałyśmy tyle samo lat, mieszkałyśmy po sąsiedzku, kąpałyśmy się na tej samej plaży. Ale dla mnie była nieosiągalna. Naprawdę trudno mi wyjaśnić, dlaczego tak czułam. Byłam schludna, zdrowa i niczego mi nie brakowało, miałam tatę stomatologa, nie byliśmy pod żadnym względem gorsi.

Przez całe pierwsze lato śniłam o Anne-Marie. Widywałam ją tu i ówdzie, na plaży, przy skrzynkach na listy, w sklepie. Była szczupła, miała krótkie jasnoblonde włosy, ciemne rzęsy i brwi. Trochę przypominała Tatum O’Neal w filmie *Papierowy księżyc*. Latem zawsze chodziła mocno opalona. Indiańska skóra, tak na to mówiła. To ładne połączenie blondu i brązu odziedziczyła po swoim tacie, pisarzu Åke Gattmanie. Jej brat Jens należał do tego samego urodziwego gatunku. Starsze dziewczynki były bardziej podobne do Karin, szatynki z delikatnymi piegami. Między zębami Anne-Marie miała śmieszna przerwę, która została nawet wtedy, gdy wyrosły jej stałe zęby.

Dopiero następnego lata miałam rozmawiać z Anne-Marie. Natknęłyśmy się na siebie w sklepie. W środku panował chłód i mrok, pachniało zupełnie wyjątkowo. Wtedy była to jeszcze prawdziwa wieś, na zewnątrz stały traktory, chłopcy wchodziłi w zabłoconych gumiakach i zalatywało od nich obornikiem. Niektórzy letnicy nosili czapki żeglarskie i barwne chustki na szyi. Za ladą uwijały się ekspedientki, przynosząc towary, czasem biegały do magazynu albo na zewnątrz i schodami do piwnicy. Przez cały czas rozmawiały z klientami, a czekający rozmawiali między sobą. Komuś, kto cały tydzień przebywał z mamą i tatą w małym domku letniskowym, wydawało się to ekscytujące jak przedstawienie w cyrku.

Gattmanowie robili w sklepie zakupy. Dostałam od mamy loda i miałam poczekać na zewnątrz. Usadawiłam się na schodach. W płóciennym kapeluszu khaki głęboko naciągniętym na czoło siedziała tam już Anne-Marie i karmiła lodem ich szorstkowłosego jamnika. I wtedy w końcu się odważyłam.

- Jak się wabi?

- Mała Mi.

- Mogę ją pogłaskać?

- Tak, jeśli ona zechce.

To były nasze pierwsze zdania.

Zawsze zapamiętuję pierwsze słowa ludzi, którzy coś dla mnie znaczą. Anders powiedział: „Jak tu dziwne pachnie”. Działo się to w poczekalni na stacji w Falköping, gdzie drzwi uszczelniano jakąś masą. Tak się zaczęła bardzo ciekawa rozmowa, kontynuowana przez trzy godziny w pociągu, a potem jeszcze przez dziewięć lat. Cissi, która jest teraz moją najlepszą przyjaciółką, a kiedyś była kimś zupełnie obcym, odwróciła się w moją stronę przy stoliku w kawiarni, spojrzała na malutkiego Jonatana, którego karmiłam piersią i zapytała: „Dzieci, czy warto w to inwestować?”. Anne-Marie i ja rozmawialiśmy dalej o psie, podczas gdy lody topiły się i skapywał na wyślizgane kamienne stopnie.

- Uwielbia lody, jada też babkę - opowiadała Anne-Marie.

Niewiele więcej zostało wtedy powiedziane, ze sklepu pojechaliśmy do domu, każda do swojego.

Ale któregoś dnia coś się wydarzyło. Za naszym płotem biegał jamnik szorstkowłosy i węszył. Mała Mi uciekła. Mama przywiązała jej do obroży sznurek i ruszyliśmy z nią do Gattmanów.

Weszliśmy do ogrodu, a ja szeroko otwartymi oczami patrzyłam na trapez i huśtawkę, dyndającą wśród gałęzi starego dębu. W rozwidleniu gałęzi znajdował się domek ze sklejki, do którego można było dotrzeć po luźno wiszącej sznurkowej drabince. W głębi ogrodu stał statek piracki zbudowany ze starych desek, z pokładem i mostkiem, starymi żaglami i flagą z trupią czaszką na topie masztu.

W skalistej części ogrodu dostrzegłam dwa małe domki o brązowych ścianach i zielonych futrynach okiennych, takich jak w dużym domu. Potem miałam się dowiedzieć, że jeden to domek gościnny, a drugi to pracownia Åkego.

Wszystko to widziałam po drodze, zza ogrodzenia. Teraz byliśmy w ogrodzie. Gdy przechodziliśmy obok huśtawki, ostrożnie wyciągnęłam rękę i nabożnie dotknęłam jednej liny.

Mała Mi zaczęła ciągnąć sznurek. Po drodze przez cały czas zatrzymywała się i węszyła. Teraz, na swoim terenie, nagle zaczęło jej się spieszyć. Podskakiwała na krótkich nóżkach, trzepocząc uszami po schodach z drewnianych bali, a mama pędziła za nią.

Na płaskiej skale tuż przed domem stała Anne-Marie i mieszała kijem w starym zardzewiałym kotle do prania. Spojrzała na nas poważnie spod ronda kapelusza w kolorze

khaki, nie przerywając zajęcia. Stałam po drugiej stronie i zajrzałam do środka. Kocioł był pełen wody i długich wstążek wodorostów.

Mała Mi wyrwała się mamie i popędziła do domu. Karin pojawiła się w drzwiach z okularami na czubku nosa. Mama wyjaśniła, że znaleźliśmy psa w naszym ogrodzie. Karin nie wyglądała na szczególnie zmartwioną. Powiedziała, że Mała Mi ma zwyczaj uciekać i wracać do domu, kiedy znudzą się jej przygody. Mama oczekiwała chyba nieco więcej wdzięczności za złapanie zbłąkanego psa i przejście z nim całej drogi aż tutaj. Pożegnała się trochę oschle i wzięła mnie za rękę, zbierając się do odejścia.

Wtedy Karin zapytała, czy nie chciałabyśmy zostać i zjeść jagód z mlekiem. Przed południem zebrała kilka litrów. Mama podziękowała i wymówiła się jakąś pracą w domu.

- Ale może ty chcesz zostać i pobawić się z Anne-Marie? - zapytała mnie Karin.

Spojrzałam na Anne-Marie. Przytaknęła gorliwie. Spojrzałam na mamę. Zgodziła się z wahaniem.

Mama poszła, a ja zostałam. Widziałam, jak idzie po schodach, przez trawnik i znika na drodze. Czułam się jak w bajce. Odwróciłam się w stronę Anne-Marie.

- Co robisz? - zapytałam.

- Gotuję czekoladę - wyjaśniła Anne-Marie z powagą. - Jeśli się dostatecznie długo miesza, wychodzi czekolada.

Gapiałam się na wodorosty, które kłębiły się, tworząc tajemnicze wzory wokół obracającego się kija. Wiedziałam, że to wodorosty z morza, wodorosty i woda z rdzą, i że z tego nigdy nie powstanie czekolada. Jednocześnie wierzyłam w to, co powiedziała Anne-Marie. Że może wydarzyć się cud i wodorosty zmieniają się w czekoladę. Potrafiłam sobie dokładnie wyobrazić, jak zielone wstążki rozpuszczają się, jak kolor przechodzi w jasnobrązowy. Czułam już zapach. Trzeba było tylko mieszać i mieszać. Znalazłam ułamaną gałąź i ruszyłam z pomocą.

Anne-Marie spojrzała na mnie z ciemności ronda kapelusza, przeciągle i badawczo. Taksowała mnie wzrokiem.

- Musimy długo mieszać - powiedziałam.

Ale zanim wodorosty zamieniły się w czekoladę, zjawiała się Karin i spytała, czy chcemy jagód z mlekiem. Weszliśmy do środka.

Siedziałam przy stole w kuchni naprzeciwko Anne-Marie, w ciszy jadłyśmy jagody, które wyglądały jak małe kółka tuż pod powierzchnią mleka. Od czasu do czasu patrzyłyśmy na siebie. W domu też nosiła swój płócienny kapelusz.

Nawet pogoda tego dnia należała do wyjątkowych. Było tak pochmurno, łagodnie i

spokojnie. Morze miało szary kolor. Różowe geranium na oknie wydawało przyjemny cytrynowy zapach.

Karin siedziała na werandzie i pisała na maszynie. Przez otwarte drzwi wdzierał się w naszą ciszę odgłos klawiszy. Niekiedy uderzały z szaloną prędkością, a potem zwalniały, niepewne, jak ostatnie krople nawałnicy, aż całkowicie ustawały. Po półminutowej ciszy powracała hucząca kaskada. Zwróciłam uwagę na ten dziwny rytm, tak inny od monotonnej ulewy wywoływanej przez sekretarkę w gabinecie taty.

Szafki w kuchni były pomalowane na bajkowy niebieski kolor, który jakby pogłębiał się do wewnątrz. Nie znam nazwy tego odcienia. Nie widziałam go potem nigdzie indziej.

Łowiłam na łyżkę pływające jagody, jadłam powoli, nasłuchiwałam, rozglądałam się dookoła.

Jestem tutaj, myślałam.

Gdy opadła pierwsza euforia, pojawiło się uczucie zadomowienia i spokoju. To paradoks moich stosunków z Gattmanami. Uczucie, że są niedostępni, zupełnie inni niż ja. A jednocześnie uczucie, że przy nich jest moje miejsce.

Poszliśmy na górę do pokoju Anne-Marie. Najpierw mijało się piętro, gdzie swoje pokoje mieli dziadkowie. Stamtąd strome schody, prawie jak drabina, prowadziły na poddasze. Tam mieszkała cała czwórka dzieci. Starsze dziewczynki, Lis i Eva dzieliły duży pokój. Anne-Marie i Jens mieli swoje klitki. Podłoga głośno skrzypiała, gdy się po niej chodziło.

Nie za wiele się bawiłyśmy. Dużo było oglądania, tak jak to bywa, gdy się jest u kogoś po raz pierwszy. Szperałam w jej skrzyni z zabawkami, co rusz wykrzykując: „O, jakie ładne!”. A Anne-Marie siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, kapeluszem na oczach i prychała: „Ech, ten starość”.

Kiedy przyszła po mnie mama, właśnie zaczęłyśmy się bawić i chciałam zostać. Ale mieliśmy zjeść obiad, więc musiałam iść. W rezultacie Anne-Marie poszła z nami do naszego domku. Bawiłyśmy się do późnego wieczoru.

Po jej wyjściu leżałam w łóżku, nie mogłam zasnąć. W myślach odbyłam całe nasze spotkanie, w taki sam sposób, jak potem przywoływałam sceny miłosne. W zwolnionym tempie przesuwałam chwilę po chwili. Niekiedy zupełnie zatrzymywałam obraz, na długo, i dopiero potem pozwalałam, by film dalej się kręcił. Musiałam to robić wiele razy, zanim się uspokoiłam i zasnęłam. Pewne zdarzenia są tak ważne, że ich wspomnienie nie mieści się w czasie, w którym się rozgrywają. Wymagają po prostu czasu dodatkowego, opóźnionego postrzegania.

Potem bawiłyśmy się każdego dnia przez całe lato. Anne-Marie została moją wakacyjną przyjaciółką.

Ale nigdy nie stała się powszednia, pospolita. Przez cały czas utrzymywała swój blask, swój złoty, miodowo-jabłkowy blask.

Nasz domek został wybudowany jesienią 1960 roku i był gotowy do zamieszkania latem 1961. Działka była płaska, ale pod cienką warstwą ziemi znajdowała się skała i żeby ojciec mógł posiać trawę, uprawiać kwiaty i krzewy, musiał nawieźć dużą ilość czarnoziemiu. Pamiętam ciężarówkę wysypującą wielkie sterty pachnącego, brunatnego humusu, wypełzające z niego dżdżownice i połyskujące tu i ówdzie tajemnicze centymetrowe odłamki niebiesko-białego fajansu, glinianych wyrobów i szkła. Gdy ziemia leżała na jednej hałdzie, wydawało się, że zatopi nas wszystkich, jeśli wysypie się ją na działce. Potem, rozsypana i ubita, została w jakiś tajemniczy sposób pochłonięta. Musiała się wślizgnąć w nieznanne szczeliny i wgłębienia w skale. Działka była tak samo jałowa i marna jak przedtem i należało zamówić nową ciężarówkę. Ta również wkrótce zniknęła. Tak jakby skała pożerała ziemię.

Tego pierwszego lata zazwyczaj tak białe, kliniczne dłonie ojca były całe w ziemi. Łopatą, taczka i wynajętym ręcznie prowadzonym walcem walczył, aby pożywić swoją jałową działkę. Ale nasza działka była jak ci chudzi ludzie, którzy nie tyją, choćby zjedli nie wiadomo ile tłustego jedzenia. Nic się nie przyjmowało.

W końcu projekt upadł z przyczyn finansowych. Mój ojciec nie chciał wyjść na fanatyka i musiał pogodzić się z pierwotnym stanem ziemi. Zadowolił się ogrodem z mało wymagającymi i odpornymi roślinami. Zaplanowane gatunki nie wyrosły poza etap projektów i nigdy nie zobaczyłam, jak w rzeczywistości wyglądają rośliny o egzotycznych nazwach: pierwiosnek kwiecisty, niebieska lilia afrykańska, różanecznik Cunningham White, forsycja koreańska i ciemnoniebieski heliotrop.

To pierwsze lato pamiętam jako Lato Ziemi. Pachnąca góra, na którą próbowałam się wspiąć. Moja „praca”, gdy naśladując ojca, kopałam swoją żółtą łopatką i wyrównywałam ziemię, ciągnąc za sobą obracającą się zabawkę, trochę podobną do walca.

Następne lato pamiętam jako Lato-gdy-zaprzyjaźniłam-się-z-Anne-Marie.

Wcześniej byłam dość samotnym dzieckiem. Nie miałam rodzeństwa. Potem zrozumiałam, że mama prawdopodobnie chciała mieć więcej dzieci, ale tata uważał, że ja wystarczę. W młodości miał aż nadto wielodzietności i ciasnoty. W szeregowcu w mieście - a nawet później, gdy przeprowadziliśmy się do willi - zawsze mieliśmy pokój nieużywany przez nikogo. Przez długi czas sądziłam, że pokój jest przeznaczony dla młodszego

rodzeństwa. Wydaje mi się nawet, że to mama tak mi powiedziała i że miała taką nadzieję. Ale tata chciał mieć po prostu dodatkowy pokój. Był to szczyt luksusu. Mieć pokój, którego nikt nie potrzebuje. Nazywało się go pokojem gościnnym, ale nigdy nie mieszkali w nim żadni goście.

Tata rzadko opowiadał o swoim dzieciństwie i niewiele o tym wiem. Urodził się w małej wsi w Norrbotten. Jego ojciec był alkoholikiem. O matce mam niejasne wyobrażenie. Była chora, po części fizycznie, chyba na gruźlicę, ale prawdopodobnie także psychicznie. Może w tamtych warunkach człowiek zostawał alkoholikiem albo chorym psychicznie i nie miał innego wyboru. Albo twardym jak stal, jak ojciec. Wysyłano go do różnych krewnych, z których wszyscy byli równie nieodpowiedni, a kiedy nikt go już nie chciał, zamieszkał u ojca, który upijał się i znęcał nad nim. Matki już wtedy nie było. Z tego, co wiem, dzieciństwo taty przypominało piekło. Na pewno wymagało to nadludzkiej siły, by bez niczyjego wsparcia podnieść się z tych przeżyć, studiować, a jednocześnie ciężko fizycznie pracować, eksternistycznie zdać maturę i dostać się do wyższej szkoły stomatologicznej w Lund.

Gdyby nie socjaldemokratyczny system społeczny, szkoły wieczorowe i darmowe wyższe wykształcenie, takie osiągnięcie nie byłoby możliwe i wydawało się, że ojciec powinien sympatyzować z tą partią. On jednak nienawidził socjaldemokratów jak zarazy. Kojarzył ich z robotnikami, robotników z biedą, a biedę z piekłem swojego dzieciństwa. Jemu, który zazwyczaj przesadnie wręcz dbał o język, potrafiło się wyrwać pogardliwe „a niech to diabli”, gdy była mowa o ruchu robotniczym. Postrzegał siebie jako swój własny ruch. Z ciemności samotnie kroczył ku światłu i nie chciał, żeby mu przypomniano o tym, co pozostawił za sobą.

Mama pochodziła ze spokojnej rodziny. Dziadek był kelnerem w restauracji, babcia pomocą domową i kelnerką. Typowe wierne sługi, które nie rzucają się w oczy i chodzą na palcach. Mieszkanie babci i dziadka wypełniały tkaniny, miękkie dywany, poduszki i mięsiste firany, które pochłaniały odgłosy ich kroków i głosów. Mama była jedynaczką. Często mawiała, że jako dziecko marzyła o rodzeństwie. Nie mówiła, że chciała mieć dużo dzieci, ale sądzę, że tak właśnie było. Pełniła rolę pani domu, a gdy poszłam do szkoły, wróciła do pracy w niepełnym wymiarze godzin jako pomoc dentystyczna.

Ja marzyłam o Wielkiej rodzinie, a moją ulubioną książką była *Pip-Larsons* o ekscentrycznej rodzinie wiodącej życie pełne przygód. Ale nie tęskniłam aż tak za młodszym rodzeństwem, które nigdy się nie pojawiło, bo to nie młodsze rodzeństwo chciałam mieć, tylko starsze, o wiele starsze. Fascynowały mnie nastolatki, równie duzi jak dorośli, ale najwyraźniej wiodący ciekawsze życie, ze swoimi wieczorami, motorowerami, tańcem i

muzyką pop. Wyobrażałam sobie, że mam mnóstwo nastoletniego rodzeństwa, a wszyscy przepadają za mną, ich małą maskotką. Ładne starsze siostry z ułożonymi włosami i makijażem, siostry, które mnie nosiły, bawiły się ze mną i rozpieszczały mnie, oraz starsi bracia, którzy silnymi rękami podnosili mnie wysoko i zabierali na nocne przygody swoimi motorynkami.

Anne-Marie wydawała się tak pociągająca właśnie dzięki starszemu rodzeństwu. Lis i Eva były najfajniejsze. Jensa dzieliła za mała różnica wieku, był tylko dwa lata starszy ode mnie i Anne-Marie, ale z drugiej strony należał do innej płci, co czyniło go ciekawym.

Nie wiem dokładnie, co moi rodzice myśleli o tym, że spędzam tyle czasu u Gattmanów. Z pewnością cieszyli się, że mam jakąś koleżankę, w mieście nie miałam prawie żadnych, sama zaś Anne-Marie nie budziła ich zastrzeżeń. Ale w ich komentarzach o Åkem i Karin słyszałam czasem delikatnie zgrzytający ton niechęci, nigdy niewypowiedzianej na głos. Chyba uważali, że Gattmanowie się wywyższają. Nie, może niedokładnie tak. Po prostu ich nie rozumieli. Postrzegali ich jako trochę dziwnych i frustrowało ich, że tę dziwność wielu uważa za coś wytwornego. Podchodzili do nich jak do zadania z matematyki, które wielokrotnie się przelicza, aż w kartce powstaje dziura od wycierania gumką, a wynik wciąż jest nieprawidłowy.

Kiedy opowiadałam coś o Gattmanach, mama mówiła na przemian „Naprawdę?”, „No proszę”, „Ojej” albo „Wyobrażam sobie”, tak jakby Gattmanowie niczym nie mogli jej zaskoczyć, ale czasami przerastali jej wyobraźnię.

Mimo to nigdy nie usłyszałam otwarcie wypowiedzianej krytyki, chyba że chodziło o politykę. Wszyscy wiedzieli, że Åke i Karin mają lewicowe poglądy, Tor zaś, ojciec Åkego, gdy jeszcze pracował na uniwersytecie, wygłaszał opinie, które można było interpretować jako przychylne dla lewicy, co wywołało wiele zamieszania w środowisku.

A mój ojciec nienawidził przecież socjalizmu. To przede wszystkim socjaldemokraci z ohydny Olofem Palme stanowili obiekt jego nienawiści. Z kolei komuniści wywoływali raczej jego rozbawiony uśmiech, uważał ich za całkiem obłąkanych. Nie było jasne, do którego z tych obozów można zaliczyć Åkego i Karin, co powodowało lekką niepewność ojca. Któregoś lata przez kilka tygodni trzymał na komodzie wycinek z dziennika „Dagens Nyheter”. Był to artykuł o polityce zagranicznej socjaldemokratów autorstwa Karin. Głośno cytował nam fragmenty. Uważał go za dowód na to, że Karin popiera Palmego, ale mama zwróciła uwagę, że niektóre fragmenty są jednak bardzo krytyczne, i to dało mu do myślenia.

W każdym razie nie uważał, aby polityczne poglądy rodziców stanowiły jakąś

przeszkodę dla mojej przyjaźni z Anne-Marie, ilekroć do nas przychodziła, był dla niej zawsze uprzejmy, wręcz przymilny. Opowiadał zabawne historie i pokazywał karciane sztuczki, co normalnie robił wyłącznie przy gościach i po kilku drinkach. Tak jakby chciał zaprezentować się od najlepszej strony. Anne-Marie rozszyfrowała jego banalne triki i nie bała się mu tego powiedzieć. Zbiła go trochę z tropu, bo nikt tego wcześniej nie zrobił, ale udał, że nic się nie stało, i tylko się zaśmiał.

Och, te letnie miesiące z Anne-Marie. Rozgrywały się w wiejskim krajobrazie z polami, łąkami, pasącymi się końmi, krowami i we wsiach nad brzegiem morza, gdzie wciąż jeszcze używano szop rybackich. Znajdował się w nich sprzęt do połowu, a rybacy siedzieli na nabrzeżu i naprawiali sieci. Domki letniskowe stały rozproszone. Wieś nie była jeszcze tym dziwnym, sztucznym terenem wypoczynkowym, którym jest teraz, gigantycznym obszarem rekreacyjnym z polami golfowymi, trasami do wędrówek i szopami przerobionymi na luksusowe domki. Wtedy był to świat wypełniony życiem i śmiercią, nocnymi narodzinami cieląt, bezlitośnie topionymi kociakami i niebezpiecznymi buhajami. Pamiętam świeżo precedzone mleko o intymnym krowim smaku, wiejskie kuchnie o gęstym, tłustym zapachu, przyprawiającym o mdłości, a zarazem nęcącym, ceratę na stole, cienką gotowaną kawę i tykające zegary ściennie w ciemnych izbach, do których się nigdy nie wchodziło. Pomiędzy wsią a miastem istniała wielka przepaść, z daleka było widać, kto jest miejscowym, a kto letnikiem. Naśladowaliśmy z Anne-Marie lokalny dialekt z charakterystycznie wymawianym „i”, a podejrzewam, że miejscowych tak samo bawiło naśladowanie nas. Ten świat miał wkrótce umrzeć i dobrze o tym wiedział, ale wciąż żył, Anne-Marie zaś i ja znajdowaliśmy się w jego centrum.

Wieczorami siadywałyśmy na skale przed domem Gattmanów i patrzyłyśmy, jak fiord zabarwia się na morelowo. Czekaliśmy na czapłę. Codziennie przylatywała o zachodzie słońca. Na swoich długich, ciężkich skrzydłach szybowała od strony lądu. Przelatywała ponad wierzchołkami drzew, nad wodą, z nogami zwisającymi prosto w dół. Wykonywała ostry zakręt, następnie sunęła nisko nad powierzchnią wody i lądowała na kamieniu tuż przy Plaży Popołudniowej. Wyciągała wężowatą szyję i stała tak, zupełnie nieruchomo, jak szara kreska. Zapadał zmierzch, a ona robiła się coraz bardziej niewidoczna. Przylatywała zawsze o tej samej porze, stawała zawsze na tym samym kamieniu, zawsze tak samo nieruchoma.

Wiedziałyśmy, skąd przylatuje ponad lasem. Dni spędzała przy małym bajorku, gdzie łapała żaby Anne-Marie i ja też je czasem tam łapałyśmy. Skakały w trawie w drodze do wody. Z daleka przypominały czarne chrząszcze, ale gdy się jakąś złapało, okazywało się, że jest lśniaco brunatna niczym brąz. Zupełnie jakby się trzymało w dłoni kropkę lodowatej

wody. Kładłyśmy zabki na liściach lilii wodnych, żeby popływały łódkami po bajorku.

Oddawałyśmy się z Anne-Marie zabawom, które mogły trwać kilka dni. Miała ogromną wyobraźnię, ale sama potrzebowała kogoś, kto by ją rozruszał. Najczęściej ja proponowałam, w co się bawić, kreśliłam zarys postaci, otoczenie i fabułę, ona zaś pilnowała, żeby to wszystko się urzeczywistniało, zdobywała rekwizyty i ubarwiała fabułę szczegółami. Pilnie mnie słuchała i wszystkie moje propozycje przyjmowała z wielką powagą. Można powiedzieć, że ja byłam autorem scenariusza, a ona reżyserem i producentem. Aktorami byłyśmy obie. Pamiętam cudowną zabawę w Indian nad Amazonką, którą uskuteczniłyśmy na Plaży Popołudniowej. Ciągnęła się przez cały tydzień. I pamiętam deszczowy okres, gdy parter przeistoczył się w restaurację z małymi stolikami z zastawą, świat na niby, w którym Karin i Åke musieli spędzać wiele dni. Dobrodusznie godzili się na siedzenie przy naszych prowizorycznych stołach i jedzenie własnoręcznie zrobionych przez nas kanapek i jagodzianek. Coś takiego byłoby nie do pomyślenia u mnie w domu.

Karin zawsze cieszyła się, kiedy przychodziłam. Mówiła, że gdy mnie nie ma, Anne-Marie tylko się snuje. Czasami była taka przy mnie, jeśli nie wymyśliłam czegoś ciekawego. Potrafiła po prostu w nieskończoność leżeć na łóżku i nic nie robić, popisując się wręcz imponującym lenistwem. Ale jeśli ktoś coś zaproponował, wstępowało w nią życie. Używając nowoczesnej metafory, można by ją porównać do komputera o dużej mocy, który potrzebuje oprogramowania, aby pracować.

U Gattmanów człowiek się cieszył pełnią wolności. Można się było bawić nożami i ogniem albo beztrąsko włóczyć. Tata i mama prawdopodobnie sądzili, że Karin i Åke mają nade mną jakąś kontrolę, gdy tam przebywam, ale tu się mylili. Oboje byli zazwyczaj pochłonięci swoimi zajęciami. Åke często siedział zamknięty w swojej pracowni wśród skałek i pisał. Latem powieści. Zimą skupiał się na pisaniu artykułów, wykladał i podróżował. Dla Karin lato oznaczało czas wakacji. Trochę pisała, gdy miała ochotę, ale przede wszystkim zajmowała się czytaniem, zbieraniem jagód i grzybów albo pracami domowymi połączonymi ze słuchaniem radia.

Z tych pierwszych letnich wakacji wyłaniają się dwa klarowne wspomnienia. Jedno o tym, jak Eva na swoim czerwonym swetrze nauczyła mnie robić przewrót w tył. To się stało bodajże pierwszego lata. Siedzieliśmy na łączce kawałek od ich ogrodu. Rodzeństwo Gattmanów, ja i chyba znajomi starszego rodzeństwa, w każdym razie pamiętam, że siedziała tam chmara młodzieży. Z tranzystorowego radia leciał pop i nie wiadomo dlaczego zaczęliśmy rozmawiać o fikołkach w tył, a ja powiedziałam, że umiem robić przewroty w przód, ale nie w tył. Eva powiedziała:

- Eee, na pewno umiesz. Chodź, pokażę ci, jak to się robi.

Nie chciałam, ale ona zdjęła czerwony robiony na drutach sweter i położyła go na trawie.

- Tu. Podłożę sweter. Teraz ustawiasz się po prostu tak z rękami, kulisz się i toczysz do tyłu. Patrz, jak ja to robię.

Usiadła w kucki, przetoczyła się do tyłu i zrobiła przewrót na swoim czerwonym swetrze. Potem ja miałam spróbować. Wiedziałam, że to niemożliwe, ale wszyscy mnie zachęcali. Siedziałam tak w kucki z dłońmi w górze. Eva lekko mnie pchnęła i wywróciłam się do tyłu.

- Skul się! - krzyczeli wszyscy, zobaczyłam niebo, potem czerwony pulower i tak zrobiłam przewrót w tył.

Wszyscy zasypali mnie pochwałami. Pamiętam to jako chwilę radosnego triumfu. Byłam do głębi przekonana, że nie udałoby mi się, gdybym nie miała pod sobą czerwonego swetra Ewy. Potem robiłam przewroty w tył u siebie na trawniku i zawsze coś podkładałam, bluzę, ręcznik albo kurtkę, najlepiej coś czerwonego.

Inny taki magiczny moment to gdy Jens pokazywał mi gwiazdozbiory. Sądzę, że mamy szczególny stosunek do osoby, która po raz pierwszy wskazuje nam osobliwy splot natury i mitu, tej ludzkiej chęci objaśnienia niepojętej natury i dostrzeżenia we wszystkim własnego wzorca. Czasami pokazuję różnym ludziom jakieś pojedyncze, znane mi gwiazdy albo konstelacje i większość zachwyca się jak dzieci, że czyjaś wiedza sięga na tak niepojętą odległość. (Sami spróbujcie. Powiedzcie: „Syriusz niesamowicie dziś świeci”, a ludzie spojrzą na was, jakbyście ściągnęli na ziemię kawałek tej gwiazdy).

To w sierpniu Jens pokazał mi gwiazdozbiory, w dodatku po raz pierwszy miałam spać u Anne-Marie i był to przedostatni wieczór letnich wakacji. Następnego dnia mieliśmy wracać do miasta. Morze fosforyzowało od świecącego planktonu, siedziałam na drabince pomostu, rozbryzgiwałam stopami blask w ciemnej wodzie pod sobą, mając nad sobą migotanie gwiazd i czarny ocean wszechświata.

Jens pokazał mi widoczne wtedy gwiazdozbiory. Słyszałam wcześniej opowieści o tych konstelacjach i ich fantazyjne nazwy, ale w swojej dziecięcej wyobraźni oczekiwałam, że zobaczę realistyczne odwzorowania łabędzia czy niedźwiedzia, a Wielki Wóz wyobrażałam sobie jako pięknie zdobioną karocę z koroną na dachu. Taką karocę widziałam na karuzeli w wesołym miasteczku Liseberg. Sądziłam, że chodzi o to, aby odpowiednio połączyć wzrokiem określone gwiazdy. Mniej więcej tak, jak w gazecie na stronach z rozrywką, gdzie przez połączenie kolejno ponumerowanych punktów można z chaosu kropek wydobyć

zwierzę. Często próbowałam rozszyfrować figury, które Bóg tak przebiegle ukrył na nieboskłonie, ale nie potrafiłam temu sprostać. Bez względu na to, jak długo się wpatrywałam, nie umiałam dojrzeć ani Małej, ani Wielkiej Niedźwiedzicy.

Teraz Jens wyjaśnił mi, o co w tym chodzi. Tam u góry nie ma żadnych zwierząt. Jak miałyby się tam znaleźć? To są przecież słońca, oddalone od siebie o wiele lat świetlnych, niemające ze sobą nic wspólnego. Nie, to po prostu ta gwiazda i ta, i ta, i je wszystkie nazywa się Łabędziem.

To takie proste? Śmiałam się i rozbryzgiwałam stopami ciepłą, fosforyzującą wodę. Z ulgą zdałam sobie sprawę, że tam u góry nie ma żadnej zmyślnej sztuczki, której nie potrafię zrozumieć. Jednocześnie było to nieco dezorientujące tak nagle utracić złudzenie o ukrytym porządku natury. Wszystko jest chaosem, samemu trzeba sobie stworzyć porządek. Uzbrojona w ten egzystencjalny światopogląd jako punkt wyjścia dałam sobie spokój z łabędziami i niedźwiedzicami, zaczęłam natomiast wytyczać na nieboskłonie własne figury.

Co poza tym robiłyśmy w te letnie miesiące? Wspinaliśmy się na dęby, siadałyśmy na trapezie, bawiłyśmy się w domku na drzewie i na statku pirackim. Grałyśmy w zbijaka, bawiłyśmy się w berka i w chowanego na łące i w domu, grałyśmy w karty w kasyno i w trzydzieści jeden.

Ćwiczyłyśmy skok w dal z pomostu. Brało się rozbieg z górki, co sił gnało przez pomost i skakało jak najdalej. Pamiętam chłodek, gdy rozgrzane słońcem ciało zanurzało się w zielonkawej ciemności, i syk unoszących się lemoniadowych bąbelków, które łaskotały, gdy się leżało, przebierało nogami w wodzie, czekając, aż druga wskoczy z pluskiem, najlepiej nie tak daleko od pomostu, jak się samej skoczyło.

Czasami razem ze starszym rodzeństwem płynęłyśmy łódką do Plaży Muszli. Zakotwiczyliśmy kawałek od brzegu, po czym z wiadrami i puszkami brodziliśmy w kierunku lądu. Gdy ktoś rozpałał ogień, reszta szła do wody i wyciągała kiście dużych, niemal czarnych omułków, które występowały tylko tutaj. Niekiedy, aby do nich dotrzeć, trzeba było zanurzyć głowę pod wodę, jak poławiacz pereł. Potem gotowaliśmy je nad ogniem w blaszanej puszcze i zjadaliśmy.

Jeśli zostawały nam omułki, używaliśmy ich jako przynęty do łowienia ryb. Pamiętam, jak trudno się je otwierało, jak mocno się zaciskały, i przypominam sobie sadystyczną przyjemność, towarzyszącą podważaniu nożem ich skorupki i wyciąganiu pomarańczowego mięsa. Ale często używaliśmy też jako przynęty małych ślimaczków. Łatwo się je rozkruszało, a ich płaskie twarde skorupki wygodnie umieszczało na haczyku. Nie odpadały nawet wtedy, gdy brała ryba, i można było używać tej samej przynęty na kilka zdobyczy.

Złapane ryby czasami operowałyśmy. Udawałyśmy, że jesteśmy chirurgami, a ryby ludźmi, niekiedy psami. Cięłyśmy i grzebałyśmy w różnych narządach, rozmawiając o ich paskudnych chorobach. Zdumiewało nas, ile dziwnych rzeczy jest w rybach. Niektóre miały w brzuchach małe rybki lub krabiki. Ta anatomiczna podróż badawcza stanowiła pasjonującą zabawę, było w niej coś niechlujnego, mięsistego i zakazanego.

Łowiłyśmy też oczywiście kraby. Tym łatwym, ale ciekawym sportem potrafiłyśmy się zajmować godzinami. W odróżnieniu od ryb, kraby można było przez cały czas widzieć i śledzić ich trasę z kryjówki wśród gąszczu wodorostów do muszli na żyłce u wędki. Następnie należało wstrzymać oddech, gdy krab zaczynał jeść, i zaciągnąć w odpowiednim momencie, nie za wcześnie, nie za późno. Zbierałyśmy skorupiaki do wiadra z wodą i wodorostami, a one pelzały i chrzęściły szczypcami. Potem organizowałyśmy ich wyścig po plaży i patrzyłyśmy, który pierwszy dotrze do wody. W morzu wkrótce znowu dawały się złapać. Rozpoznawałyśmy niektóre łatwowierne kraby, wyciągane raz za razem, i nadawałyśmy im imiona odpowiednie do wyglądu, Jednoszczypiec, Zielonotarczowiec i tak dalej.

W ten sposób upływały letnie wakacje i pewnie je ubarwiam, tak jak się zwykle idealizuje wakacje dzieciństwa. Pamiętam je jako jasne, życiodajne przerwy między długimi, ponurymi zimami, te lata, gdy rodzina Gattmanów lśniła jeszcze miodowo-jabłkowym blaskiem.

W ostatnie wakacje, latem 1968 roku, pod sosnami w górskiej szczelinie zakopałyśmy z Anne-Marie skarb.

Tam, gdzie teraz rosną chaszczce, wtedy rozciągały się otwarte pastwiska. Szłyśmy przez te łąki, do lasu z małymi dębami i między pagórki po drugiej stronie. Zmierzałyśmy drogą do Plaży Muszli, gdzie miałyśmy zrobić piknik, ale zabłądziłyśmy. Niezbyt nas to martwiło. W tej okolicy często się błądziło, bo cała wyglądała niemal jednakowo, z wszystkich stron skaliste wzniesienia i wrzosa. Jeśli ktoś chciał się dowiedzieć, gdzie trafił, musiał tylko wejść na najwyższy punkt i zobaczyć, gdzie jest morze. Potem można było iść wzdłuż linii brzegowej i przedostać się do domu.

Nie śpieszyło nam się. Włóczyłyśmy się trochę bez celu między skałami i wylądowałyśmy w szczelinie z wysokimi sosnami. Ziemia była wilgotna i podmokła, ale znalazłyśmy też suche, twarde miejsce, małą plamkę upajającej, szmaragdowozielonej trawy. Korony sosen przepuszczały niewiele światła słonecznego. Kawalek dalej, na górze pięła się niewielka, zdziczała wiśnia o ciemnoczerwonych owocach.

To miejsce całkowicie różniło się od otaczającego pejzażu ze wzniesieniami, wrzosami, zagajnikami z powyginanymi przez wiatr młodymi dębami. Nietypowy dla Bohuslän krajobraz, mały kawałek wyrwany z innej części świata i ukryty między skałami.

Wdrapałyśmy się na wiśnię, zerwałyśmy owoce, usiadłyśmy na szmaragdowej trawie i zjadłyśmy je. Miałyśmy jedenaste lat.

- Byłaś już wcześniej w tym miejscu? - zapytałam.

- Nie. Nie sądzę, żeby to miejsce wcześniej istniało - odparła Anne-Marie. - Chodziłam wtedy wiele razy i nigdy go nie widziałam. Wcześniej go tu po prostu nie było.

Zgodziłam się z jej opinią, tak jak zawsze zgadzałam się ze wszystkim, co mówiła Anne-Marie.

Położyłyśmy się na trawie i patrzyłyśmy na korony sosen, szeleszczące magicznie i usypiająco.

- Wydaje mi się, że jesteśmy zaczarowane - powiedziała moja przyjaciółka.

Ta sama Anne-Marie opowiadała, że tańczyła wolne tańce u znajomych w Sztokholmie i która miała maskarę, krem brązujący i cień do powiek w czarno-białej kosmetyczce. Żyła na granicy dwóch światów, podczas gdy ja nadal znajdowałam się w świecie dzieciństwa, i zupełnie nie dziwiły mnie jej słowa.

- Tak, czuję to - wyszeptałam. - Jesteśmy zaczarowane.

Dotknęła mojego ramienia. Wciąż obserwując szeleszczące korony sosen, chwyciłyśmy się za ręce i mocno je ścisnęłyśmy.

- Mam wrażenie, że lecę - szepnęła Anne-Marie. - Czujesz to?

- Tak, lecimy - powiedziałam.

Ręką w rękę leżałyśmy na młodej trawie i leciałyśmy.

Nagle Anne-Marie usiadła.

- Zakopimy skarb - zdecydowała.

- Jaki skarb?

Anne-Marie otworzyła plastikową siatkę, którą miałyśmy ze sobą, i wyjęła drugie śniadanie: sok, gruszki i puszkę po herbacie z herbatnikami.

- Zjemy herbatniki, a potem włożymy coś do puszek i ją zakopimy.

Zjadłyśmy herbatniki, gruszki i wypiliśmy sok. Następnie Anne-Marie wytrząsnęła z puszek okruchy.

- Co do niej włożymy? Wiem. To.

Ściągnęła z grzywki spinkę do włosów i włożyła do środka.

Przyszła mi na myśl srebrna biedronka, którą nosiłam na łańcuszku na szyi. Ten

wisiorek dostałam w prezencie na chrzcie od babci i zawsze miałam go na sobie. Gdyby mama zapytała, mogłabym powiedzieć, że go zgubiłam.

- Pomóż mi go odpiąć - wyszeptałam.

Anne-Marie pokiwała głową. Przechyliłam szyję w jej stronę i uniosłam włosy. Czułam jej łaskoczące palce, kiedy rozpinała łańcuszek.

Podawała mi wisiorek, żeby sama włożyła go do puszeki.

- Coś jeszcze? - zapytała.

Nie miałyśmy na sobie nic cenniejszego.

Anne-Marie rozejrzała się dookoła. Tuż przy nas w trawie leżało trochę suchych zajęczych bobków. Wzięła kilka do ręki.

- Jakie lekkie. Aż nie czuję, że je trzymam. Zobacz.

Przesypała mi je na dłoń. Widziałam leżące kuleczki, ale ich nie czułam.

- Jest w nich coś mistycznego - powiedziała Anne-Marie. - Też je włożymy.

Podstawiła puszkę, a ja wrzucałam do niej zajęcze bobki.

Następnie postawiła puszkę i popędziła pod górę. Zerwała kilka wiśni z drzewa i wróciła z pełnymi ustami. Usiadła z podkuloną nogą, przeżuła i połknęła z grymasem - wiśnie były potwornie kwaśne. Nachyliła się nad puszką po herbacie i wypluła do niej trzy pestki. Zaśmiała się.

- Wystarczy. Teraz ją zakopujemy.

Za pomocą rąk i plastikowych kubków udało nam się wykopać dołek w trawie. Wsadziłyśmy puszkę, przysypałyśmy ją, a na końcu na samej górze położyłyśmy kamień.

- Możemy ją odkopać, gdy będziemy dorosłe - powiedziałam.

- Myślisz, że kiedykolwiek tu przyjdziemy? Nie sądzę - odparła Anne-Marie.

KRISTINA

Teraz jest już prawie przy szkierze.

Wokół niej krzyczą i wirują rybitwy. Krwistoczerwone dzioby w szarym powietrzu świtu. Maziste ślady ptasiego kału na pokładzie kajaka.

Ale najbardziej zuchwałe są mewy. Atakują, pikują nad jej głową, muskają swoimi silnymi dziobami. Kiedyś ją przestraszyły. Podniosła rękę, opędzając się gwałtownie, i przechyliła się na bok, straciła równowagę i zrobiła beczkę. Teraz nie da się wystraszyć, wiosłuje po prostu spokojnie do celu.

Marzy o dniu, gdy nie będą krzyczeć i grozić. Gdy już ją poznają, rozumieją, że nie chce zrobić krzywdy ani im, ani ich młodym, tylko zebrać trochę ich puchu. Nie ma w sobie ducha rybitwy ani mewy, jeszcze nie. Między nimi jest ściana, ale za każdym razem, gdy wpływa w ich wrzeszczącą chmurę, czuje się bliżej nich.

Sunie w stronę szkieru, właśnie tam, gdzie lekko pochyła płyta skalna wpada do wody. Odwraca kajak dziobem do fal i na ostatnim metrze pozwala mu się kołysać. Gdy podpływa już blisko, wydostaje się miękko i ostrożnie. Ma na sobie szorty i jest boso, nie szkodzi, że woda sięga jej do łydek. Czuje pod stopami skałę śliską od rdzawoczerwonych glonów. Wciąga kajak i z podążającą za nią ptasią chmurą rusza przez łagodnie zaokrąglone skałki.

Czuje się jak w dzieciństwie. Wtedy wszystko wyglądało tak samo. Nie trzeba było nic mówić. Biegała, czuła zapachy i słyszała dźwięki, znajdowała piórko, śmiała się. Inni też się śmiali, brali piórko, podnosili ją do góry. Rodzice dzielili z nią ten świat, inni też się tam znajdowali.

A potem w którymś momencie wszyscy jakby ją opuścili. Mama, tata i wszyscy inni jednocześnie i po cichu zrobili duży krok do innego świata i zostawili ją. I żądali, żeby poszła za nimi. Ale ona odmówiła.

Zawsze, gdy robiła coś ważnego, przychodzili i przeszkadzali swoją gadaniną. „O czym myślisz? Dlaczego milczysz? Porozmawiaj z nami. No powiedz coś. Dlaczego się odsuwasz? Martwi cię coś? Wiesz, że zawsze możesz z nami porozmawiać”.

W szkole była nieśmiała. Nigdy się nie odzywała, nigdy się nie zgłaszała. „Przecież to umiesz. Na sprawdzianie miałaś wszystko dobrze. Czemu nigdy się nie odzywasz?” - pytali nauczyciele.

Gadanie, gadanie, gadanie. Chciała tylko, żeby ją zostawiono w spokoju. Urodziła się w nieodpowiednich czasach. Cała ta paplanina. Wyobrażała sobie, że kiedyś wyjątkowo

niewiele mówiono. Chciała żyć w innym stuleciu, na wsi, wśród ciężko pracujących ludzi, którzy rzadko się odzywali. Wstawać o świcie, wychodzić do obory i doić krowy, witające ją rykiem. Chwytać ich różowe wymiona, słyszeć szepczącą piosenkę strumieni mleka lejącego się do wiadra, bzyczenia much. Padający deszcz, miękka trawa pod stopami, skrzypiący zimą śnieg. Odgłos echa w studni. Kochała odgłosy studni, cieszyła się, że zamiast kranu ma teraz studnię. Metaliczna pieśń wiadra tańczącego na dole.

Nie przepadała też za muzyką. Muzyka chciała być ładna, chciała do niej dotrzeć. Chciała robić wrażenie stworzonej przez naturę, ale stworzyli ją ludzie. Muzyka chciała mieć publiczność, czarować, a ona nie chciała być oczarowana. Tylko raz delectowała się muzyką.

Kiedyś w sklepie ze sprzętem gospodarstwa domowego i ozdobami usłyszała jakiś utwór. Stała przy regale ze szkłem i nie miała odwagi się poruszyć w obawie, że umknie jej jakiś dźwięk.

Grały fletnie Pana i wydawało się, że muzyka jednoczy się ze szkłem i światłem. Gdy skończyła się ta melodia, a zaczęła inna, wyszła.

Nie wiedziała, czy usłyszała radio czy płytę i nie chciała pytać. W domu mieli adapter, ale nie sądziła, że to przeżycie się powtórzy. Wiązało się z sytuacją, ze szkłem i światłem, i czymś w niej samej, nie dałoby się tego uwiecznić na płycie.

Po skończeniu liceum miała się oczywiście dalej kształcić. Była przecież uzdolniona. Dostawała dobre oceny, chociaż na lekcjach nigdy się nie odzywała. Doradca zawodowy długo rozmawiał z nią o różnych szkołach i kierunkach. Wzruszała ramionami.

Zaczęła historię sztuki na uniwersytecie. Podziwiała artystów, ludzi, którzy wypowiadają się przez obrazy, a nie mowę. Zawsze lubiła chodzić do muzeum sztuki. Ale studia nie spełniły jej oczekiwań. Sądziła, że będzie mogła trzymać się na uboczu. Siedzieć cicho na wykładach i słuchać, uczyć się w domu, a potem pisać egzaminy, mniej więcej tak jak wcześniej w szkole. Na zajęciach często dzielono studentów na małe siedmio-, ośmioosobowe grupy. Wykładowcy wymagali, aby każdy brał udział w dyskusji. Przypierano ją do muru, pytano o opinię. Wszyscy przy stole gapili się na nią. Nie mogła tego wytrzymać i zrezygnowała.

Znalazła posadę sprzątaczką w szpitalu. Tam mogła milczeć. Pracowało tam wielu imigrantów, którzy nie znali szwedzkiego i milczeli jak ona.

Bezgłośna, niewidoczna wykonywała swoją pracę. Nikt się do niej nie zwracał. Każdego ranka zabierała swój wózek z podziemnego przejścia, wjeżdżała windą do góry i jak cień przesuwiała się po salach i korytarzach szpitala. Wślizgiwała się na oddziały, kreśliła

mopem ósemki na wypastowanych podłogach, pod łózkami chorych i umierających ludzi, na korytarzach, w gabinetach lekarzy - nigdy nie podnosili wzroku, gdy przychodziła, dalej tylko nagrywali się na swoje dyktafony. Wchodziła i wychodziła, płynna i przeźroczysta jak woda.

Obcowanie z ludźmi ograniczało się do krótkich porannych spotkań, gdy szef rozdzielał zadania, i do przerw na kawę w podziemnych pomieszczeniach, gdzie ci, którzy chcieli porozmawiać, rozmawiali, a inni mogli siedzieć cicho. Kristina, Turek i Jugosłowianka siedzieli zawsze każde w swoim rogu, wpatrywali się w swoje kubki z kawą i nikt z pozostałych nie próbował się do nich odzywać.

W szpitalu było jej więc w pewnym sensie dobrze. Rodzice błagali ją, żeby wróciła na studia albo chociaż znalazła inną pracę. Ale ona nadal wstawała kilka godzin przed nimi, dojeżdżała do szpitala parę kilometrów rowerem i jeździła ze swoim wózkiem. Przez cały czas wiedziała, że taka egzystencja nie potrwa długo, że pojawi się coś innego. Nie wiedziała tylko, co. Sprzątanie było czekaniem na to coś, przestrzenią, w której czuwała i nasłuchiwała.

Pracowała tam prawie dwa lata. Potem coś się z nią stało.

Nie poszła do pracy. Nie mogła spojrzeć nikomu w oczy - ani kolegom z pracy, ani rodzicom. Ludzkie spojrzenia zaczynały ją przerażać jak czysto fizyczny ból. Były jak broń, jak noże. Napotykanie ich stanowiło torturę nie do wytrzymania. Zamknęła drzwi na klucz, leżała w łóżku przez cały dzień z kołdrą nasuniętą na głowę, prawie nic nie jadła.

Po pewnym czasie to uczucie trochę osłabło. Zaczęła wychodzić. Czekala, aż rodzice wyruszą do pracy. Wtedy jechała rowerem do miasta - nie lubiła siedzieć blisko ludzi w tramwaju - zostawiała gdzieś rower i włączyła się w tłumnie uczęszczanych miejscach. Czasem jechała rowerem na Dworzec Centralny, kiedy przyjeżdżał pociąg ze Sztokholmu. Wtedy na peronie roilo się od ludzi, podróżnych i wychodzących po nich krewnych, a ona stawała na środku i czuła wszystkich ich wokół siebie, czuła, jak sunęli tuż obok niej w ciasnej przestrzeni i potrącali ją walizkami i plecakami, słuchała ich okrzyków i nawoływań, widziała ich uściski. Stała tam jak centrum orkanu w huraganie spotkań i uczuć, aż zbiorowisko się rozproszyło. Czasami wychodziła na pociąg z Kopenhagi, słuchała tych, którzy wracali z innych krajów, i stwierdzała, że Göteborg jest za mały. Marzyła, by wchłonął ją Paryż, Londyn, Nowy Jork albo Tokio.

W któreś sobotnie przedpołudnie, wiedząc, że w centrum będzie dużo ludzi, pojechała tam rowerem i chodziła wśród tłumów. Trafiła na nowo otwarty sklep z dziwnymi rzeczami importowanymi z egzotycznych krajów. W przedmiotach na wystawie dostrzegła coś kuszącego, weszła więc do sklepu, który był tak niewielki, że pięciu, sześciu klientów

stało w ścisku. Sprzedawano tam duże kolczyki z metalu, bransolety ze skóry, afrykańskie tkaniny i kosze, koszule i sukienki z cekinami, kadzidelka i plakaty z indyjskimi bogami w jaskrawych kolorach. Na ścianie wisiały w rzędzie maski. Wszystkie przedstawiały pyski zwierząt.

Zdjęła jedną z nich i przymierzyła przed lustrem. Był to pysk lisa. Gdy napotkała swój wzrok w ukośnych otworach na oczy zwierzęcia, doświadczyła uczucia szczęścia tak silnego, że ledwie mogła złapać oddech. Odwróciła się i rozejrzała się po sklepie, obserwowała ludzi w środku i młodego ekspedienta. Czowała się zupełnie inaczej. Już się nie bała.

Nie zdejmując maski, udała się do młodego mężczyzny, żeby ją kupić. Sięgnął po reklamówkę, ale ona położyła tylko pieniądze na ladzie i wyszła. Długo włóczyła się po mieście. Potem pojechała z powrotem do domu, wciąż w masce.

Za każdym razem, gdy wychodziła, zakładała maskę lisa. Na dobre odstawiła rower i jeździła tramwajem. Siadała na ławkach w parku i w kafejkach i nikt nie próbował uciąć z nią miłej pogawędki. Mogła iść, dokąd chciała, kiedy chciała, nie musiała już wyszukiwać zatłoczonych miejsc o określonych porach. Wszędzie zostawiano ją w spokoju. Cudowna wolność.

Kupiła sobie jeszcze dwie maski - orła i tygrysa. Wszystkie trzy były maskami drapieżników i wszystkie budziły w ludziach strach, ale zauważyła, że każda ma inną naturę. Szeptaly do niej, gdy wisiały na ścianie nad jej łóżkiem i gapily się pusto swoimi ślepymi oczami. Wabiły ją, drażniły się z nią, denerwowały. Nie przestawały, póki którejś nie zdjęła i nie założyła sobie na twarz. Wtedy wstępował w nią duch lisa, orła albo tygrysa.

Rodzice próbowali nakłonić ją, żeby przestała zakładać maskę, gdy wychodzi. Któregoś dnia, gdy była poza domem i miała na sobie maskę orła, rodzice zdjęli lisa i tygrysa i wyrzucili. Wróciła, a ich nie było. Odtąd stale nosiła maskę orła i nie chciała jej ściągać. Tylko nocą, gdy zamknęła drzwi na klucz, wieszala ją na ścianie, zanim położyła się spać.

Od tak częstego noszenia maski obtarła się jej skóra. Przykleiła na krawędziach uszczelkę do okien. To nic nie dało. Powstały bolesne i ropiejące rany. Wieczorami bolały ją oczy, którym szkodziło ograniczone po bokach pole widzenia.

Nie chciała już jeść posiłków z rodzicami. Matka zostawiała jej jedzenie na stole. Dopiero gdy pozmywała i wyszła z kuchni, wchodziła tam Kristina. Upewniała się, czy jest sama. Wtedy wylewała jedzenie na podłogę, podsuwała na twarzy maskę orła i jak zwierzę jadła na czworaka. Któregoś dnia matka weszła do kuchni i zobaczyła córkę czołgającą się po podłodze, z upaieraną twarzą, siorbiącą jej pieczołowicie przygotowane gołąbki. Krzyknęła.

Matka obiecała Kristinie, że zaprowadzi ją do dermatologa, który przepisze jej maść na

rany. Lekarz poprosił, żeby zdjęła maskę i pokazała twarz. Ale ona nie posłuchała, bo zorientowała się, że lekarz nie jest dermatologiem, tylko psychiatrą. Siedziała naprzeciwko niego wyprostowana na krześle. Jej oczy patrzyły na niego spod zastygłej maski orła. Wiedziała, że w masce się zmieniały, stawały się oczami drapieżnika. Lekarz nie był w stanie patrzeć jej prosto w oczy, musiał uciekać wzrokiem.

Kilka dni później przyszli po nią. Dwóch mężczyzn i kobieta zmusili ją, aby poszła z nimi. Szarpali ją, próbowali podnieść, a kiedy skuliła się jak jeź na podłodze w korytarzu, ściągnęli jej spodnie i wetknęli w odbyty czopek. Maską orła spadła podczas walki, a ona sądziła, że to nie czopek, tylko ta strata osłabiła ją tak, że zdołali wnieść ją do czekającego samochodu.

Zawieziono ją do innego szpitala niż ten, w którym pracowała jako sprzątaczką. Znajdował się gdzieś poza centrum. Były tam stare budynki z oddziałami dla starszych ludzi, dla tych, którzy oszaleli na stare lata, i tych szalonych od dawna, może przez całe życie. Był też nowy blok z młodszymi, którzy oszaleli z różnych powodów, przez narkotyki, alkohol, trudną sytuację w domu albo bez żadnego powodu. Tam trafiła Kristina.

Nie dostała z powrotem maski orła. Leżała na łóżku i ukrywała się pod żółtym frotowym kocem. Gdy słyszała turkot wózka i czuła duszący zapach stołkówowego jedzenia, zasłaniała twarz ręką, rozsuwała palec wskazujący i środkowy w szczelinę przed oczami i wychodziła do świetlicy. Gdy miała wsadzić widelec do ust, otwierała szczelinę między palcem małym a serdecznym. Jeśli próbowała jeść prosto z talerza, nie używając noża i widelca, zabierano jedzenie.

Któregoś dnia w stołówce dla pacjentów spotkała mężczyznę. Trudno jej było w jednej ręce przynieść do stolika tacę. Drugą musiała przecież zasłaniać twarz. Podszedł do niej, wziął od niej tacę i postawił na stole. Następnie usiadł naprzeciwko. Był wysoki i szeroki, nosił dżinsowe ubranie, miał blond włosy, blond wąsy i czerwona twarz, może od słońca, może alkoholu albo od jakiegoś leku. Jego oczy były jasnoniebieskie. Mówił bez przerwy i chociaż Kristina zazwyczaj nienawidziła gadania, w ogóle jej to nie przeszkadzało. Jego słowa ciskały się jak wodospad między uskokami skalnymi, tu i tam po tematach i skojarzeniach. Mówił z fińskim akcentem, a czasem w ogóle przechodził na fiński. To było jak dźwięk natury, ta mowa, przeszkadzała nie bardziej niż szmer wody i świst wiatru. Nie oczekiwał też odpowiedzi.

Kristina rozchyliła palce i spojrzała na niego. Spodobał jej się ze swoim różowym kolorem twarzy i tymi jasnymi oczami. Nie pytał, dlaczego trzyma dłoń przed twarzą.

Wyszli razem do przyszpitalnego parku. Był bezchmurny wrześnieowy dzień i mieli park niemal wyłącznie dla siebie. Cienie drzew rysowały na trawniku splątane wzory.

Chciał, żeby zegrali w minigolfa. Zdjęła dłoń z twarzy, gdy miała uderzyć kijem. Kiepsko jej szło trafianie do dolka, za to on był zręczny. Kiwał zatroskany głową, patrząc na jej niezdarne uderzenia.

Ustawił się więc za nią, objął ją ramionami i pokazał, jak chwycić kij. Czują jego ciało przy swoim. Było to dziwne doznanie. Podnosił i machał jej dłońmi i ramionami ruchem swoim, nie jej. Był dużo wyższy, dużo większy i silniejszy od niej. Jakby miała na sobie duże, grube futro.

Nagle zupełnie zamilkł. Czują jego wzwód przyciskający się do jej krzyża. Ocierał się o nią, oddychał ciężko do jej ucha i tak mocno obejmował jej ramiona, że upuściła kij golfowy. Potem nieco ją uniósł, tak że stopami nie dotykała ziemi, i pośpiesznie zaniósł ponad trawnikiem do zagajnika z cyprysami. Wisiała w jego uścisku z uwięzionymi rękami. Palce jej stóp muskały trawę, gdy biegł.

Nie miałyby szansy, nawet gdyby walczyła. Była niewielka i delikatna, a on duży i silny. Ale nie opierała się. Opanował ją dziwny bezwład. Trwała tak, nieruchoma, sparaliżowana. Pomyślała o zwierzętach, które paraliżuje jad węża i które muszą pozostać w całkowitym bezruchu, choć w pełni świadome, gdy wąż zjada je żywcem. Trzymała dłoń przed oczami z ciasno ściśniętymi palcami, bez szczelin do patrzenia. Mógł robić z nią, co chciał, a ona miała pełną świadomość szeptów wylewających się z jego ust, dziwnego, chemicznego zapachu jego oddechu i odurzającej woni cyprysów.

Poszedł, a ona nadal leżała i patrzyła w niebieskie wrześnieowe niebo. Dziwiła się, że wciąż żyje. Tak silne było wrażenie, że została pożarta.

Po tym zdarzeniu nie żałowała już zwierząt schwytych i pożartych przez drapieżniki. Wydawało jej się, że rozumie, jakie to uczucie. Coś jak jasność widzenia w momencie przerażenia. Uległość. Spokój. Duch ofiary.

ULRIKA

Wiosną 1969 roku Karin i Åke Gattmanowie pojechali do Indii robić reportaż. Karin pisała dla dziennika „Dagens Nyheter” artykuły, które później złożyły się na książkę. Åke pisał wiersze, publikowane w różnych rubrykach kulturalnych, zanim zredagowano je w tomik, a ten został dobrze przyjęty. Ale najważniejszym efektem podróży, tym, co miało decydujące znaczenie dla ich przyszłości, była Maja.

Karin opisała ich pierwsze spotkanie w artykule. Nie uwzględniła tego tekstu, kiedy jesienią redagowała swoją książkę. Na próżno szukałam go w egzemplarzu znalezionym kilka lat temu w antykwariacie. Może uznano go za zbyt prywatny, może problemy z Mają stały się już tak wyraźne, że blask pierwszego spotkania zbladł. Ale w archiwum biblioteki uniwersyteckiej w Göteborgu znalazłam go na mikrofilmie. Nie było to trudne, bo potrafiłam dokładnie wskazać, kiedy został opublikowany. Już w trakcie wakacji, ale przed nocą świętojańską.

Gdy wyjęłam ze skrzynki gazetę, najpierw zobaczyłam ciemną twarz Mai. Zdjęcie na pierwszej stronie, zrobione przez Åkego, przedstawiało Maję leżącą w łóżeczku w domu dziecka, z twarzą między dwoma szczeblami. Trzyma butelkę ze smoczkiem przyczepioną do łóżeczka długim sznurkiem. Aparat Åkego przerywa jej jedzenie. Odwraca w jego kierunku twarz z niezgłębionym wyrazem swoich wielkich oczu, a w tym czasie kilka much spija krople kleiku ze smoczka. Smuga słońca zza uchylonych drzwi pada na twarz, rękę, butelkę ze smoczkiem i muchy, reszta spoczywa w cieniu.

Dwadzieścia dziewięć ciasno stłoczonych łóżeczek z porzuconymi indyjskimi dziećmi, z dyndającymi na sznurkach buteleczkami. Kilka opiekunek w sari nadzoruje fotografowanie z odległości kilku metrów. Jest tam Karin w szortach i koszuli z wilgotnym od potu notatnikiem w dłoni. I oczywiście Åke, fotograf. Ale żadnej z tych osób nie widać na zdjęciu. Tylko Maję. Samą. Otoczoną wielką ciemnością.

To zdjęcie, które wyblakło w mojej pamięci i zostało przysłonięte wszystkimi innymi jej zdjęciami, zdobiaczami ściany w domu letniskowym, zdjęciami odżywionej Mai na oświetlonych słońcem łąkach, plażach i pomostach w otoczeniu rodziny. Gdy długo potem w archiwum biblioteki uniwersyteckiej w Göteborgu rozpoznałam tę pierwszą fotografię, prawdopodobnie pierwszą w ogóle zrobioną Mai, pomyślałam, że jest ważniejsza niż pozostałe. Zdjęcie małej chudej Mai i tej wielkiej otaczającej ją ciemności.

Siedziałam na skraju rowu przy skrzynkach pocztowych pośród dzikich trybuli i

czytałam. Miałam dwanaście lat. Dopiero co przyjechałyśmy do Tångevik. Na razie tylko mama i ja. Tata nie miał jeszcze urlopu i dołączał do nas tylko w weekendy. Gattmanów nie było, dziwne, ponieważ zazwyczaj pojawiali się już na początku wakacji. Tamtego lata przyjechali później ze względu na zajęcia po podróży do Indii.

Czytałam o spotkaniu Karin i Åkego z małą dziewczynką w domu dziecka w Bangalore. O tym, jak to, co miało być jednym z wielu reportaży, okazało się czymś innym. Jak zatrzymali się w Bangalore i jak Karin co dzień wracała do sierocińca. Jak pojechali do Szwecji załatwić u władz pozwolenie i po kilku tygodniach wrócili, by odebrać małą. Jak pośród łąk żółtych mleczy jechali do domu z lotniska do oczekującego rodzeństwa. To było w maju, gdy kukała kukułka, i dlatego dziewczynkę nazwano Mają.

Złożyłam gazetę, siedziałam dalej w rowie i starałam się zrozumieć znaczenie tego, co właśnie przeczytałam. Anne-Marie miała teraz młodszą siostrę. To było co najmniej nieoczekiwane. Karin miała czterdzieści jeden lat i już czworo dzieci. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś inny niż osoby bezdzietne dokonywał adopcji. A adopcje dzieci z zagranicy w ogóle były czymś niezwykłym.

Ale moje myśli zaprzętało głównie pytanie czysto egoistycznej natury: co to będzie oznaczało dla mojej relacji z Anne-Marie. Przez te letnie miesiące, gdy przebywałyśmy ze sobą, Anne-Marie stała się dla mnie bardzo ważna. Zimą, gdy ona mieszkała w Sztokholmie, a ja w Göteborgu, cały czas za nią tęskniłam. Moje życie dzieliło się na część letnią i zimową. Zima stanowiła długi, ciemny czas tęsknoty, znudzenia i udawania. Lato oznaczało przebywanie z Anne-Marie, rozmowy, zabawy, przygody i okazję do bycia sobą.

Nie czułam się najlepiej z dziećmi z klasy. Wydawały mi się powierzchowne, nudne, głupie. Z całych sił próbowałam się wtopić, byłam cicha, zgadzałam się z innymi, ubierałam jak oni i słuchałam tej samej muzyki, nie wychylałam się. Zachowywałam się jak tchórz, nie chciałam odstawać. Widziałam, jak wiodło się tym, którzy jakoś odbiegali od normy.

Miałam tak zwaną najlepszą przyjaciółkę, bo wymagała tego etykieta towarzyska w mojej klasie. Była to nieśmiała, bezbarwna dziewczynka, właściwie naprawdę urocza, stwierdziłam, patrząc potem na stare zdjęcia klasowe. Długie ciemne włosy, alabastrowa cera i idealne rysy, ale w jakiś sposób pozostawała niewidzialna. Razem pracowałyśmy na lekcjach i spędzałyśmy przerwy, odwiedzałyśmy się w domu, kiedy miałyśmy przygotować się do pracy w grupach, poza tym nigdy. Mieszkała z mamą, jej ojciec nie żył. Uwielbiała jakąś popularną niemiecką piosenkarkę, o której nigdy nie słyszałam, i miała wszystkie jej płyty. Przez dziewięć lat chodziłyśmy do tej samej klasy, a ja nie mam pojęcia, kim ona była.

Stanowiłyśmy dla siebie nawzajem alibi, tak jak kiedyś homoseksualiści trzymali się ze

swoimi przyjaciółkami, pokazywali się z nimi publicznie i w ten sposób chronili swoją tajemnicę. Uchodząc za najlepsze przyjaciółki, byłyśmy normalne. Nigdy nie opowiadałam jej o Anne-Marie ani o niczym ważnym w moim życiu, a ona nie pytała. Miała własne tajemnice. Nie miałam pojęcia, jakie. Nie interesowało mnie to.

Zimą Anne-Marie i ja sporadycznie wymieniałyśmy listy. Chętnie korespondowałam częściej, ale ona zawsze zwlekała z odpowiedzią, a gdy przychodziła moja kolej, nie chciałam sprawiać wrażenia nadgorliwej i czekałam z odpisywaniem prawie tak długo jak ona. Dlatego gdy w końcu siadałam do pisania, przepelniało mnie mnóstwo myśli, którymi chciałam się podzielić. Moje listy stawały się długie, często na dziesięć, dwanaście stron, i mieściły się tylko w koperty taty formatu A4.

Nadal mam listy od Anne-Marie. Są zwiężłe, pisane na niedbale wyrwanych z zeszytu kartkach albo na małych karteczkach z bloczków. „Cześć. Siedzę w autobusie. Nilla siedzi obok, je lizaka z lukrecją i ma czarny język. Jedziemy popatrzeć na słodkiego chłopaka, który będzie grał w piłkę gdzieś tam, nie wiem, jak to się nazywa. Teraz musimy wysiadać”. Więcej informacji jej listy nie zawierały, podczas gdy moje, z tego co pamiętam, traktowały o skomplikowanych egzystencjalnych problemach oraz przywoływały to, co przeżyliśmy latem: „Pamiętasz, jak...”, po czym następował długi opis tego, co robiłyśmy, co ona powiedziała i co ja powiedziałam. Nie wiem, czy bawiło ją czytanie tego, ale ja czerpałam dużą przyjemność z pisania. Jej listy zawsze napelniały mnie radością, niezależnie od tego, jak bardzo były zwiężłe i niechlujne.

Nigdy nie korzystałyśmy z telefonu. Było to niewypowiedziane porozumienie, od kiedy raz spróbowałyśmy tego środka łączności. Anne-Marie zadzwoniła do mnie któregoś wieczoru, gdy oglądałam telewizję. Kompletnie mnie to zaskoczyło. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Ona także nie wymyśliła nic szczególnego, sądziła pewnie, że jakoś samo pójdzie. Ale nie miałyśmy o czym rozmawiać. Zimą żyłyśmy w różnych światach, byłyśmy innymi osobami niż latem i przez telefon bardzo wyraźne dało się to zauważyć. Po kilku minutach rozłączyłyśmy się, obie raczej zawiedzione.

Moje uczucia dla Anne-Marie pod wieloma względami przypominały zakochanie. Ale w odróżnieniu od innych zakochań, to nie przemijało. Każdej wiosny zauważałam drobne znaki natury; każdy mały pierwiosnek, każdy powracający szpak były jak strzałeczki wskazujące właściwy kierunek, do lata, do Anne-Marie.

I każdego lata tak samo się denerwowałam przed ponownym z nią spotkaniem. Ta pierwsza pełna przerażenia godzina, gdy odbierałam ją jako odmienioną, inną Anne-Marie. Nowa fryzura, nowy ciuch, modne sztokholmskie wyrażenia, których wcześniej nie używała -

wszystko to było groźne. I potem moment rozładowujący napięcie, żart, wspólne wspomnienie, wybuch chichotu, który ponownie kreślił między nami kontury.

Niektórzy ludzie posiadają do nas klucze. Potrafią otworzyć pokój od zawsze w nas skrywany, ale nigdy wcześniej nieodwiedzany. Mamy z tymi ludźmi szczególną relację, a jeśli są właściwej płci i w odpowiednim wieku, zakochujemy się. W innym przypadku jesteśmy oczarowani, uzależniamy się, jakkolwiek by to nazwać, ale to właściwie jest to samo. Anne-Marie była dla mnie takim kluczowym człowiekiem, pierwszym, jakiego spotkałam. Dlatego tyle dla mnie znaczyła. Ja dla niej nie, tak wyczuwałam, i wciąż bałam się, że kiedyś odejdzie.

A teraz miała szesnastomiesięczną indyjską siostrzyczkę. Różnica wieku była zbyt duża, aby kiedykolwiek mogły przyjaźnić się po siostrzanemu, tak jak Anne-Marie i ja. Ale w jakiś niejasny sposób niepokoiłam się. Rodzina Gattmanów wydawała mi się taka kompletna. Taka idealna. Dwoje odnoszących sukcesy, kreatywnych rodziców. Kulturowe dziedzictwo po dziadkach. Ładne, uzdolnione, samodzielne dzieci. Złota rodzina, lśniąca swoim miodowo-jabłkowym blaskiem. Co jeszcze można było do tego dodać? Nic. Nic, co by ten obraz ulepszyło.

Postrzegałam ich jako stworzoną przez pokolenia budowlę, która z Anne-Marie jako błyszczącą iglicą na szczycie osiągnęła największą wysokość. Budowlą, w której byłam mile widziana, ale do której nie mogłam nic dodać. Ta rodzina nie potrzebowała niczego więcej. Każdy nowy kamień dodany do tej budowli, choćby maleńki, obróciłby ją w ruinę.

Wstałam i stwierdziłam, że mój niepokój jest nieuzasadniony. Ile to razy byłam zazdrosna o sztokholmskie koleżanki Anne-Marie? O Pię i Nillę, czy jak tam jeszcze się nazywały. Wielokrotnie znajdowałam kartki i listy od nich w skrzynce Gattmanów, kiedy w drodze do Anne-Marie przynosiłam im pocztę, i kusiło mnie, żeby je podrzeć. Wyobrażałam sobie, jak ona bierze którąś z tych koleżanek do Tångevik, pokazuje nasze miejsca, zdradza nasze tajemnice. Ale wszystko to było bezpodstawne. To moją wakacyjną przyjaciółką była Anne-Marie.

Młodsza siostra z Indii nie miała wpływu na to, co istniało między nami. Oczywiście będzie się nią zajmować Karin. Anne-Marie i ja pozostaniemy razem, tak jak przedtem. Nic się nie zmieni.

Tak sobie mówiłam, gdy szłam przez kamienisty, niewdzięczny ogród z gazetą pod pachą.

Noc świętojańska u Gattmanów była zwykle dość skromnym przyjęciem. Matjasy i

truskawki. Wyjście na tańce, jeśli dopisywała pogoda. Tylko rodzina i może jakiś znajomy Jensa ze Sztokholmu. W ostatnich latach najstarsze dziewczynki świętowały tę noc z rówieśnikami na wyspie Kannholmen.

Noc świętojańska w 1969 roku różniła się od poprzednich. Obaj bracia Åkego, lekarze Sven i Dan, przyjechali ze swoimi rodzinami, także mama Karin, chuda wiekowa dama, której nigdy wcześniej nie widziałam i która wyglądała, jakby składała się tylko ze ścięgien, kapelusza przeciwsłonecznego i laski.

Pojawił się też artysta Per Norin z rodziną. Dalecy krewni Karin, którzy pokazywali się u Gattmanów tylko na dorocznym Świącie Raków w sierpniu.

Zjawił się przyjaciel Jensa, Märten i jego rodzice. Zazwyczaj tylko zwalniali przy pomocy swoją dużą łodzią motorową, wrzucali wolny bieg, syn wyskakiwał na ląd ze swoimi rzeczami, a oni znikali w oddali jak niewyraźny punkt - tym razem rzucili kotwicę, zeszli na ląd i zostali kilka dni.

Na łące po drugiej stronie drogi rozstawiono kilka namiotów. Mieszkała w nich młodzież, podczas gdy dorośli tłoczyli się w domu i na łodziach.

W kuchni przygotowano duży bufet śledziowy. Siedziało się i jadło na werandzie albo na kocach na ziemi. Per Norin wędrował tam i z powrotem po ogrodzie i grał na flecie. Córka Svena Gattmana śpiewała amerykańskie protest songi i akompaniowała sobie na gitarze. Wszystko przypominało jakiś dziwny targ z namiotami, łodziami, samochodami, psami, dziećmi, dorosłymi i, w końcu, wzniesionym na łące dużym słupem świętojańskim.

Stawiliśmy się tam wszyscy z tego samego powodu. Chcieliśmy zobaczyć Maję.

W 1969 roku dzieci adoptowane z zagranicy wciąż były nowością i atrakcją. Zresztą w ogóle obcokrajowcy. Dziś, gdy człowiek stanie na skrzyżowaniu w centrum Göteborga, po chwili miną go Somalijscy, Irańczycy, Gambijscy, Turcy, Filipińczycy i tak dalej, a on za żadnym z nich się nie obejrzy. Wtedy tak nie było i należy o tym pamiętać, żeby zrozumieć, jakie poruszenie wywoływała Maja.

Widzieliśmy ten inny świat w telewizji. Azję. Afrykę. Biednych, głodnych, cierpiących ludzi. Przeciwnieństwo naszego życia. Straszna niesprawiedliwość. A teraz mały kawałek tego świata był tu. Właśnie taki człowiek, jakiego widzieliśmy w telewizji. Ponad miesiąc temu znajdowała się pośród brudu i much w przeludnionych Indiach. A teraz: Tutaj! W Tångevik. Na letniej łące w Bohuslän przy słupie świętojańskim.

Siedziała tu na kocu, w wianku z margerytek, jaskrów i koniczyny w czarnych włosach. Ubrana w jaskrawożółty fartuszek. Ciemna, o wiele ciemniejsza niż ktokolwiek z nas sobie wyobrażał. Nawet białka oczu nie były zupełnie białe, tylko brązowawe.

Karin siedziała tuż obok, gotowa złapać Maję, gdyby miała się przewrócić. Mała właśnie nauczyła się siedzieć. Gdy przyjechała do Szwecji, leżała tylko, zupełnie apatyczna. Ale gdy ją odkarmiono i nabrała sił, bardzo szybko nauczyła się siadać. Chodzić jeszcze nie potrafiła, ale pewnie nie potrwa długo, nim zacznie biegać na swoich ciemnych nóżkach.

W nowej rodzinie otrzymała jedzenie, czułość i zachętę. Słone kąpiele i zdrową naturę, witaminy i proteiny, książki z obrazkami i wizyty w teatrze, puzzle i kredki, rodzeństwo i przyjaciół. Czy przy takich warunkach dorastania mogło nie być dobrze?

Babcia wskazała laską na małą i wypowiedziała swoim skrzeczącym głosem to, co wszyscy myśleliśmy:

- Ale miała szczęście! Mogliście przecież wziąć jakąś z sąsiedniego łóżka.

- To my mieliśmy szczęście - powiedziała Karin z uśmiechem.

- Nauczyła się siadać w tydzień. Chodzić nauczy się w dwa tygodnie - przewidywał optymistycznie Jens.

Ale tak się nie stało. Nie chodziła przez całe lato. Nie zaczęła chodzić, dopóki nie skończyła dwóch lat. I nigdy nie nauczyła się mówić.

Tego lata, gdy miała dwa i pół roku, nikt nie martwił się mówieniem. Maja była trochę opóźniona i mogła rozwijać się bez stresu w swoim własnym tempie. Ale kiedy skończyła trzy lata i nadal nie wypowiedziała ani jednego słowa - ani mama, ani tata, ani lampa, nic - stało się oczywiste, że coś jest nie tak. Przeprowadzono gruntowne badania słuchu. Wykazały to, co zresztą rodzina wiedziała przez cały czas: że Maja ma doskonały słuch. Nie stwierdzono żadnych widocznych wad więzadeł, podniebienia ani języka. Szwagierka Åkego, psycholog dziecięcy, składała rodzinie częste wizyty, ale nie potrafiła dać lepszej odpowiedzi niż inni.

- Spokojnie. Poczekamy, zobaczymy.

Mówiło się o uszkodzeniach mózgu wskutek niedożywienia. Ale nie była nedorozwinięta. Rozumiała - niekiedy przeraźliwie dobrze - co się mówi. Jeśli Åke i Karin rozmawiali o tym, żeby następnego dnia wybrać się popływać, rano Maja siedziała na schodach na werandzie, w kamizelce ratunkowej, z wiaderkiem i łopatką w ręce.

Miała także imponujący talent do odnajdywania przedmiotów. Pamiętam, jak Lis zapodziała gdzieś kostkę do gitary i oskarżyła Evę, że ją zabrała. Dziewczynki klóciły się w swoim pokoju na poddaszu, a Anne-Marie i ja siedziałyśmy na dole przy stole w jadalni i grałyśmy w wojnę obserwowane przez Maję. Gdy następnego dnia przygotowałyśmy się, by wypłynąć łódką na ryby, Anne-Marie, Eva, Lis i ja, Maja stanęła nagle na pomoście z kostką

Lis w wyciągniętej dłoni. Pokazało to, że słyszała z dołu rozmowę dziewczynek, zrozumiała wyrażenie „kostka do gitary” i udało jej się znaleźć ten drobiazg.

Najpierw byliśmy zachwyceni niemal magiczną zdolnością Mai do znajdowania zagubionych przedmiotów. Zasypywaliśmy ją pochwałami i mówiliśmy, że jest „poszukiwaczem rzeczy”, zupełnie jak Pippi Långstrump. Wkrótce zrodziło się podejrzenie, że Maja sama chowa przedmioty, aby wydobyć je z ukrycia w odpowiedniej chwili. Ale nikt nie potrafił niczego udowodnić i tylko Jens powiedział to otwarcie:

- Chce po prostu, żeby ją chwalić.

To naturalne, że dziecko chce być chwalone, ale jeśli Maja tego pragnęła, dobrze to ukrywała. Wydawało się, że te pochwały niewiele ją obchodzą. Nie była też skrępowana. Jej twarz pozostała tak samo niezgłębiona i pusta, jak zwykle, bez uśmiechu, bez mrugnięcia, miała tylko ten wyraz, przez który lekarze posądжали ją o wadę słuchu. Zwracając się do niej, człowiek miał uczucie, że mówi na marne, że sływa to po niej jak woda. Dopiero później dało się zauważyć, że wszystko przyswaja, każdy najdrobniejszy szczegół.

Inną dziwną cechą Mai był jej niechętny stosunek do Karin o i Åkego. Pozwalała im się trzymać i przytulać, ale nigdy nie odwzajemniała ich czułości. Siedziała bezwładnie jak szmaciana lalka, patrząc pusto w przestrzeń, i czekała, aż skończą.

Dla Karin i Åkego było to tak bolesne, że nie potrafili o tym rozmawiać. Często zaskakiwało mnie, jak otwarci są, jeśli chodzi o problemy ich i dzieci, ale gdy Maja spoczywała biernie w ramionach Karin, ta uśmiechała się z grymasem, zakładała sobie ręce dziewczynki na szyję i mówiła:

- O, jak miło się przytulać!

Straszny stanowiło to widok, a najstraszniejsze było zakończenie takiego jednostronnego przytulania, bo brakowało jakby naturalnego zakończenia, obecnego w prawdziwym uścisku. Karin tuliła i tuliła i nie tracąc nadziei, czekała na reakcję bezwładnych ramion Mai. Powoli zaczynała rozluźniać uścisk, ale wahała się i z nadzieją zaczynała znów ją przytulać. A w końcu jakby podejmowała decyzję, że musi się poddać, i puszczała Maję, która bezwładnie prawie wypadała z jej ramion, ale zaraz potem z ożywieniem szybko stamtąd znikwała.

Jedyną osobą, do której Maja się przywiązała, była Anne-Marie. Być może jako do najmłodszej, a zatem najbliższej jej wiekiem, choć różnica była duża. Być może z powodu osobliwego chłodu Anne-Marie. Nie lubiła się przytulać tak jak reszta rodziny i rzadko się denerwowała. Czasem się natomiast dąsała i była pamiętliwa. Jej uczucia miały jak gdyby opóźniony zapłon, a dąsy wydawały się niekiedy całkiem niezrozumiałe. Zawsze zaskakiwało

mnie, gdy zdawałam sobie sprawę, co było ich przyczyną. Mogło to być coś, co zrobiłam albo powiedziałam dawno temu i co wtedy przyjęła ze śmiechem. Może tę właśnie nieumiejętność pokazywania uczuć w odpowiednim momencie Maja rozpoznawała też u siebie.

Najważniejsze było chyba jednak to, że Anne-Marie zostawiała ją w spokoju. Nigdy nie próbowała przytulać Mai. Nie chwaliła jej jak Karin, nie złościła się na nią jak Eva, nie drażniła się z nią jak Jens. Traktowała ją, krótko mówiąc, jak powietrze. I chyba tak właśnie Maja pragnęła być traktowana.

Czasem sama byłam nią zmęczona. Nieustannie za nami chodziła. Nie brała udziału w żadnych naszych zajęciach, ale zawsze była. Cichy, rejestrujący obserwator.

Gdy wypływałyśmy na ryby łódką, siadała z przodu. Nie chciała wędkę, wystarczyło jej, że patrzy, jak my łowimy.

Czasami chcieliśmy być same. Wtedy Anne-Marie zamykała drzwi do swojego pokoju. Maja nie protestowała, ale gdy wychodziłyśmy kilka godzin później, stała na zewnątrz w ciemności pod belkami stropu i czekała.

Tak samo, gdy gdzieś wychodziłyśmy i nie chcieliśmy, by szła z nami. „Nie możesz iść z nami” - mówiła po prostu Anne-Marie. A Maja siadała posłusznie przy drodze i gdy wracałyśmy dużo później, czekała tam jak wierny pies. Miałam przez to wyrzuty sumienia, ale Anne-Marie wzruszała tylko ramionami.

Tego lata, gdy miała dwa i pół roku, Maja odniosła sukces jako poszukiwacz przedmiotów.

Następnego lata objawił się jej nowy talent.

Od swojego pierwszego dnia w rodzinie miała dostęp do kredek świecowych, pasteli, farb wodnych, plakatowych i farb do malowania palcami. (Ale nie do flamastrów, które Karin uważała za mało kreatywne i w jakiś sposób hamujące rozwój. O ile dobrze pamiętam, chodziło o to, że nie dawało się ich mieszać i tworzyć nowych odcieni). Maja nie okazała zainteresowania tymi kolorami. Brała natomiast z czyjegoś biurka pióro i bazgrała bezkształtny bohomaz. Potrafiła poświęcać temu zajęciu wiele czasu, co martwiło Karin, która uważała, że dla dziecka w wieku Mai bardziej odpowiednie są duże kredki i jasne kolory.

Ale któregoś dnia Åke rzucił okiem na jeden z tych bohomazów i zobaczył, ku swojemu zdumieniu, że bazgroły coś przedstawiają. Małe zwierzęta, mniej więcej dwucentymetrowe, z czterema nogami, ogonem i wąskim pyskiem, wędrowały w długich rzędach po kartce. Psy. Albo też jeden pies w ruchu, jak na taśmie filmowej.

Zachęcał Maję, aby więcej rysowała, ale dziewczynka jak zwykle wydawała się nie słuchać. Rysowała tylko wtedy, gdy sama chciała. Rodzina w napięciu wyczekiwała kolejnej okazji.

I tym razem były to psy. Kilka drzew. Dom. Karin powiązała sylwetki ze spacerem, który odbyła ostatnio z Mają, w towarzystwie Małej Mi. Zapytała dziewczynkę, ale nic w jej twarzy nie potwierdziło, że sugestia jest trafna.

Pojawiało się więcej rysunków, kilkanaście dziennie, a członkowie rodziny rozpoznawali w nich siebie i to, co przeżyli. Mały domek był kioskiem, do którego chodziło się po wieczorną gazetę i słodycze. Maja rysowała zawsze w ten sam sposób, w małym rozmiarze, w długim rzędzie. Często powtarzała te same motywy. Nikt nie rozumiał dlaczego. Pies mógł być w ruchu, ale kiosk? Może chciała poprawić rysunek, może zatrzymać obraz w pamięci.

Ten sposób rysowania - w małych rozmiarach, szczegółowo - nie pasował do wieku Mai. A były to pierwsze figuratywne rysunki, które zrobiła.

Co stało się z głowonogami? Pierwszymi rysunkami twarzy z czterema kołami, dwoma dla oczu, po jednym dla nosa i ust? Czy przeskoczyła normalne stadia? Czy też przeszła je prędko i potajemnie? W okresie bazgrołów sama wyrzucała swoje rysunki zaraz po ukończeniu. Czasami Karin wylawiała je z kosza z papierami lub z wiadra na śmieci, żeby zobaczyć, czy coś wydarzyło się w rozwoju Mai, ale tego, co mała darła na kawałki i spuszczała w toalecie, nigdy nie udało jej się zobaczyć.

Talent rysowniczy dziewczynki szybko się rozwijał. Nie widziałam jej od lata i byłam zdumiona, choć Anne-Marie opowiedziała mi w liście o jej postępach.

Maja rysowała szybko i w skupieniu. Gdy skończyła, przeglądała rzędy figur. Potem jakby przestawała interesować się rysunkiem i jeśli nie było nikogo, kto by ją powstrzymał, wyrzucała go do śmieci albo ukrywała.

Tak jak w wypadku odszukiwania przedmiotów, najwyraźniej nie interesowały jej pochwały. Lubiła rysować, ale nie lubiła pokazywać tego, co narysowała, ani słuchać mów pochwalnych.

Najdziwniejsza w rysunkach Mai była jednak nie jej przedwcześnie rozwinięta technika, ale kompozycja obrazka: małe figury w rzędach. I treść: przedstawienie tego, co niedawno przeżyła. Nie był to obrazek w normalnym znaczeniu. Raczej system obrazków. Język obrazkowy.

Lato 1972 roku już od początku różniło się od poprzednich. Tata miał pisać rozprawę na

temat paradontozy, a mama zajmowała się urządzeniem naszej nowej willi, więc tamtego lata wynajęli domek letniskowy rodzinie z małymi dziećmi z Borås.

Ustaliliśmy z Gattmanami, że w czasie wakacji będę mieszkać u nich. Odpowiadało im to, ponieważ Eva miała pracować jako wolontariuszka w kibucu w Izraelu i mieli jedno dziecko mniej niż zwykle.

Cieszyłam się, że będę mieszkać w domu Gattmanów jak członek rodziny, którym zawsze chciałam być. Wiosną zintensyfikowała się korespondencja między Anne-Marie a mną, listy zmieniły też charakter. Omawiałyśmy gruntownie plany na nadchodzące lato, jak będziemy spać (Lis wprowadzi się do klitki Anne-Marie, a my będziemy mieszkać razem w pokoju starszych dziewczynek), jakie ubrania weźmiemy ze sobą, co będziemy robiły w ciągu dnia. Nasze rozważania krążyły przede wszystkim wokół spania pod namiotem bez rodziców, na Kannholmen w noc świętojańską. Eva i Lis mogły pojechać tam wcześniej ze znajomymi, Jens był tam z nimi w zeszłym roku, a teraz nasi rodzice zgodzili się, abyśmy i my pojechały. Moi mieli początkowo wątpliwości - liczyłam sobie piętnaście lat - ale ponieważ dwudziestojednoletnia Lis, którą uważali za dojrzałą i godną zaufania starszą siostrę, miała także jechać, dali przyzwolenie.

Pierwszego dnia wakacji tata odwiózł mnie do Tångevik. Wciąż pamiętam tę podróż. Delikatna zieleń drzew, łąki pieniaące się od trybuli, ekscytujący zapach w nowym samochodzie taty, Gilbert O'Sullivan w radiu. Poprzedniego dnia pożegnałam się ze starą klasą. Skończyła się podstawówka. Oparłam się na miękko sprężynującym siedzeniu i przez opuszczone okno czułam wiatr we włosach. Wiedziałam, że jadę ze starego w nowe.

Już kiedy wyładowywaliśmy moje walizki z bagażnika, zauważyłam zmianę. Mała Mi nie chodziła i nie węszyła po ogrodzie jak zwykle. Zdechła zimą w wieku siedemnastu lat.

Karin wyszła ubrana w szorty, bawełnianą koszulę i drewniaki. Mocno mnie objęła.

- Ulrika! Jak miło, że będziesz u nas przez całe lato. Anne-Marie z innymi popłynęła gdzieś łódką się wykąpać. Jestem sama. Wejdźcie na kawę. Upiekłam ciasto rabarbarowe.

Gdy tata po szybkiej kawie z ciastem i obowiązkowej pogawędce odjechał do miasta, Karin zaprowadziła mnie na poddasze, żeby pokazać mi pokój, w którym miałyśmy mieszkać z Anne-Marie.

W porównaniu z dotychczasową klitką mojej przyjaciółki ten pokój wydawał się naprawdę duży. Dwa łóżka z niebiesko-białymi narzutami w kwiatki stały w niewielkiej odległości od siebie, oddzielone dwoma stolikami nocnymi i oknem. W oknie wisiała ozdoba z ciemnych muszelek. Przy ścianie ze skosem stały dwa pomalowane na biało krzesła wyściełane materiałem w te same niebiesko-białe wzory, co narzuta i sekretarzyk z brzozy z

podnoszoną klapą. Na sekretarzyku stał dzban z margerytkami. Na poźółkłej tapecie widniały ślady po plakatach, które miały wcześniej starsze dziewczynki.

Panował upał, słońce grzało przez całe przedpołudnie, więc w pokoju było duszno i ciepło jak w saunie. Karin otworzyła okno i wyszła.

Położyłam się na jednym z łóżek i patrzyłam na drugie, puste, próbując wyobrazić sobie na nim Anne-Marie. Oczywiście wcześniej już u niej nocowałam. Ale nie w ten sposób, noc w noc, w łóżku, które miało być moje przez całe lato. Jak siostra.

Właśnie wstałam, otworzyłam walizkę i zaczęłam rozwieszać ubrania, gdy usłyszałam w zatoce silnik łódki. Z sukienką w rękach popędziłam do okienka przy schodach, ale zdążyli już się przybliżyć i zasłoniła ich górka. Słyszałam ich okrzyki, gdy cumowali przy pomoście. Nagle pomyślałam, że oprę się impulsowi, by popędzić im na powitanie w dół po schodach i na górkę. Pierwszy raz tak pomyślałam, a myśl ta mnie samą zaskoczyła.

Zmusiłam się, żeby wrócić do pokoju - naszego pokoju - i powiesić sukienkę w szafie. Była z indyjskiej bawełny. Znalazłam ją w małym orientalnym sklepie któregoś szarego zimowego dnia, gdy włóczyłam się sama po mieście. Przymierzyłam ją, tak ładnie leżała, wysoka talia, głęboki dekolt i dużo małych guziczków, następnego dnia zabrałam ze sobą pieniądze i kupiłam ją, żeby włożyć latem. Powoli i metodycznie, ale wyczulona na każdy dźwięk, dalej wieszałam ubrania.

Dawny niepokój, że Anne-Marie będzie odmieniona, pojawił się, gdy tylko usłyszałam jej kroki na schodach na poddasze. Szła tak powoli, jakby nie spieszyła się, aby mnie spotkać. Ale pocieszałam się, że panuje upał, a ona jest na pewno zmęczona po dniu spędzonym na wodzie.

Zmusiłam się, żeby pozostać na miejscu, zastygła w ruchu z ręką wetkniętą do szafy i z plecami odwróconymi do drzwi, i dopiero gdy usłyszałam, jak wchodzi do pokoju, odwróciłam się.

Prawie upuściłam wieszak na podłogę. Tym razem naprawdę była odmieniona. Znikło nadąsanie, zaokrąglenie jej twarzy. Kości policzkowe i szczękowe uwydatniły się. Wciąż miała przerwę między przednimi zębami, ale już nie zabawną czy dziecinną, tylko zmysłowo kuszącą, kiedy tak od czasu do czasu pojawiała się między wargami. Nie miała biustu i prawdopodobnie nigdy nie miał się on pojawić, jej figura była zdecydowanie chłopięca, ale w jej ruchach pojawiło się coś nowego. Pewniejszego, bardziej rytmicznego. Była opalona i miała na sobie bikini. Jej włosy jeszcze nie wyschły po kąpieli, a ręcznik niosła przewieszony przez ramię.

Wypełniło mnie odrętwiające uczucie niedoskonałości. Poczułam się dziecinna,

nieudana, niezgrabna. Nagle zapragnęłam uciec z tego pokoju, od łóżek z narzutami w kwiatki, od ładnej, gibkiej kobiety, której siostrą nigdy nie mogłabym być.

Musiałam wyglądać na zszokowaną, bo Anne-Marie patrzyła na mnie z rozbawieniem. I zaczęła się śmiać, ładnym, delikatnym śmiechem, ale niezupełnie miłym, po czym rzuciła mi się na szyję. Pachniała solą, a jej mokre włosy chłodziły mój policzek.

- Ulrika - powiedziała tylko i dalej się śmiała.

Śmiała się zbyt długo i niewłaściwie. Śmiała się ze mnie, nie ze mną. Nie był to śmiech, w który można by wkroczyć, dzielić z nią. Sprawiał ból, ale jednocześnie nie można mu się było oprzeć i czułam tępy ból w sercu, gdy odwzajemniałam jej uścisk.

- Tu będziemy mieszkać. Ładnie, co? - Rzuciła się jak długa na jedno z łóżek, dokładnie to, które jej przyporządkowałam w wyobraźni.

Położyłam się na drugim, na boku, zwrócona w stronę przyjaciółki. Jej poduszka miała mokrą plamę od włosów. Anne-Marie odwróciła twarz w moją stronę i spojrzaliśmy na siebie. Ozdoba kołysała się lekko od powiewu z otwartego okna, a muszelki lśniły w świetle słonecznym. Powoli wchodziłyśmy na te same fale. Ale docierałam tylko do części niej. Reszta pochodziła z dalekiej okolicy, niedostępnej dla mnie.

Nie wiem, czy działo się to następnego ranka, czy któregoś kolejnego, w każdym razie przed nocą świętojańską. Stałam przed lustrem w łazience i malowałam się, ubrana w majtki i biustonosz. Anne-Marie weszła do środka i stanęła obok mnie. Zerkaliśmy na jej odbicie w lustrze, nadal pociągając rzęsy szczoteczką maskary. Anne-Marie też zaczęła malować rzęsy. Ale właściwie nie musiała.

Miała długie, czarne rzęsy i ciemne brwi. I naturalne blond włosy. Cudowna i niezwykła kombinacja. Ja miałam rzęsy jasne jak prosię i kolor włosów, o którym życzliwie mówi się popielaty blond, a złośliwie mysz. Codziennie malowałam rzęsy, ale farbowanie albo rozjaśnianie włosów nie było w tych czasach modne. Robiły to tylko kelnerki w średnim wieku.

Ostrożnie wycisnęłam z tubki odrobinę połyskliwego niebieskiego cienia do powiek i roztarłam go na powiece. Anne-Marie pomalowała usta błyszczkiem. Miała ładne usta. Wargi podążały żartobliwą, zakrzywioną ku dołowi linią, jak gdyby zawsze była trochę niezadowolona.

Załamujące było mieć ją tak blisko siebie i szarpnęłam lekko jedno ramięczko stanika, żeby przypomnieć nam obu o jedynym fizycznym obszarze, w którym ją prześcigałam. Ale właściwie nie byłam szczególnie zadowolona ze swojego dużego biustu. Uważałam, że nie

pasuje do mojego ciała. Wiedziałam, że mężczyźni postrzegają go jako coś pożądanego, ale na zdjęciach z rozkładówek duże piersi miały wysokie, szczupłe kobiety, a nie niskie grubaski jak ja. Wyglądały zupełnie niestosownie. Przez ostatni rok obcy chłopcy i starsi faceci komentowali je, co wprawiało mnie w konsternację i uważałam swoje piersi za parę obcych przedmiotów, powieszonych na mnie przez pomyłkę. Wyglądało to tak, jakby ci szczerzący się mężczyźni znali je lepiej niż ja.

Piersi Anne-Marie nie wypełniały miseczek, chociaż nosiła najmniejszy rozmiar. Niezbyt ją to chyba jednak martwiło.

Rozczesywała włosy. Nie obcinała ich przez całą zimę i teraz sięgały za talię. Choć takie długie, były gęste i unosiły się sprężysto w dwóch falach od środka czoła.

- Chciałabym być blondynką - powiedziałam.

- Ciekawe, jak byś wyglądała? Chodź, zobaczymy.

Podniosła włosy z lewej strony ponad moją głowę i przyłożyła swój policzek do mojego, tak że jej długie włosy wystarczały dla nas obu. Stałyśmy tak z przyciśniętymi do siebie twarzami, okalane tym samym blond pasmem. Czułam jej kości policzkowe, jej skórę, jej oddech. Zapach jej włosów, opadających jak firanka przy moim lewym oku. Zakręciło mi się w głowie. Moja twarz zatarła się w lustrze, stopiła z twarzą Anne-Marie. Stałam się jej częścią.

A ona zaczęła się śmiać na całe gardło i znów stałam się sobą. Ale wrażenie pozostało w mojej pamięci. Było zabawne i przerażające zarazem.

KRISTINA

Wypisano ją z oddziału zimą. Nie chciała wracać do rodziców, a lekarz, którego widywała od czasu do czasu przez kilka minut, też uważał, że powinna spróbować pomieszkać sama. Miała dwadzieścia jeden lat i dobre rokowania. Przestała zakrywać twarz dłońmi, jadła porządnie nożem i widelcem i zachowywała się jak ludzie. Była cicha i zamknięta w sobie, ale taka przecież była zawsze.

Dostała małe mieszkanie niedaleko szpitala. Każdego dnia miała przyjeżdżać autobusem i brać udział w terapii zajęciowej. Malowała, robiła wypieki i grała w ping-ponga. Z innymi pacjentami czytała gazety i dyskutowała na temat ich zawartości. Prawie nic nie mówiła, ale też nikt tego od niej nie wymagał. Wystarczyło, że przychodziła rano, jak należało, i brała udział w zajęciach.

Ponieważ wzorowo sobie ze wszystkim radziła, wkrótce wypisano ją na dobre. Chciała zamieszkać jak najdalej od szpitala. Pani kurator przeprowadziła z nią rozmowę o jej przyszłości. „Jak to widzisz?”, zapytała. Kristina oświadczyła, że chce zamieszkać na wsi. Kuratorka zadzwoniła do kogoś i pomogła jej w wynajęciu domku.

Któregoś dnia latem pojechały tam, Kristina, kuratorka i jakaś kobieta z gminy. Domek znajdował się na końcu półwyspu. Właściwie była to raczej wyspa, ale dobudowano wąską drogę na kamiennej grobli. Droga była za wąska dla samochodów, więc ostatni kilometr musiały pokonać na piechotę. Szły prowadzącą przez pastwiska ścieżką, gdzie wśród liściastych zagajników i krzewów tarniny pasły się krowy.

Domek znajdował się w niecce między wzgórzami. Na zewnątrz rosła nieskoszona trawa, leżało mnóstwo desek, złomu i rupieci. Wyglądał dziwnie. Kobieta z gminy opowiadała, że na początku lat pięćdziesiątych zbudował go jakiś robotnik ze stoczni. Spędzał tu wolny czas i od czasu do czasu przybijał tu i ówdzie jakąś deskę. Wcześniej na działce stała chata. Studnia z wytartą płytą kamienną i stara ziemianka stanowiły pamiątkę po tamtych czasach.

W jedynej izbie znajdowała się kuchenka elektryczna z dwoma zardzewiałymi palnikami i małym piekarnikiem, zlewozmywak z odpływem i archaiczna lodówka. Podłoga stanowiła lataninę kilku rodzajów linoleum. Mały piecyk żelazny uzupełniał przymocowany do ściany kaloryfer elektryczny z widocznymi żarnikami. W rogu stało kilka wysłużonych mebli, a na ścianach wisiały marynistyczne obrazy w krzykliwych, kłujących w oczy kolorach.

Stoczniovec ocieplił ściany. Rzucił pracę, żeby przez cały rok mieszkać w domku i malować obrazy. Jego nowe życie artysty nie układało się jednak zbyt dobrze. Zawładnęła nim skłonność do picia i w końcu dowiedziała się o nim gmina. Leżał po prostu w chacie i powoli, ale konsekwentnie zapijał się na śmierć. Od tamtego czasu dom stał pusty i żaden spadkobierca nie rościł sobie do niego praw.

Kuratorka była sceptyczna. Pokiwała głową, kiedy kobieta z gminy otworzyła drzwi do małej ubikacji na tyłach domu. Pod deską klozetową stało wiadro, którego zawartość należało zakopywać w ziemi.

Kuratorka uważała, że dom jest zbyt prymitywny i na uboczu. Daleko do sklepu, na pocztę i przystanek, bez telefonu. Nie, nie chciała umieszczać tu byłej pacjentki.

Kristinie od razu wszystko wydało się właściwe. Dziwna asymetryczna fasada, zniszczone meble, brzydkie obrazy, wstrętny zapach, wszystko to ledwo zauważała. Widziała trawę, skały, drzewa. Słuchała śpiewu ptaków, wrzasku mew i świstu wiatru. Tu chciała mieszkać.

- Ależ Kristino. Strasznie ciężko tak mieszkać. Nie ma na przykład pralki. Będziesz musiała prać pościel i całą resztę w rękach.

Kristina spojrzała na obie kobiety ze skalistego pagórka. Na dole właśnie dostrzegła morze.

- Ładnie tu - powiedziała.

- Teraz jest ładnie. Ale pomyśl o zimie - przypomniała kuratorka. - Wiesz, jak ciemno będzie bez oświetlenia?

- Tak, to nie dla tych, co się boją ciemności - dodała kobieta z gminy.

Kristina lekko się uśmiechnęła.

- Lubię ciemność. Zawsze lubiłam.

- Nie masz samochodu ani prawa jazdy. Jeśli coś się stanie, kto ci pomoże? Do najbliższego domu są dwa kilometry.

Ale Kristina obstawała przy swoim z uporem, jakiego kuratorka nigdy wcześniej u niej nie widziała. I przypomniała sobie, jak dobrze Kristina radziła sobie jako pacjentka na praktycznych zajęciach z gospodarstwa domowego. Była zręczna, dokładna i cierpliwa. Nie wychodziło jej tylko w kontaktach z ludźmi. Może mogłaby tu mieszkać, gdyby od czasu do czasu ktoś do niej zaglądał.

Wprowadziła się więc. Chciała tylko mieć rower. Ojciec przetransportował go na dachu samochodu. Przywiózł też łóżko i pościel, sprzęt domowy i kilka innych rzeczy, które według

rodziców musiała mieć.

Tak szczęśliwa jak teraz Kristina nie była od najwcześniejszego dzieciństwa. Duża część jej dnia upływała na praktycznych zajęciach. Pokonywała rowerem długą drogę do sklepu i robiła zakupy. Rozpalała w piecu. Taczka przywoziła grube kawałki drewna z pastwiska, gdzie rolnik wyciął brzozy i pociął na kawałki. Następnie rozłupywała siekierą większe kawałki na mniejsze. Porąbała też i spaliła swoje łóżko. Wolą materac na ziemi, a kołdrę i poduszki ułożyła wokół siebie jak gniazdo. Obmierzłymi obrazami stocznio wca rozpała już pierwszego dnia.

Włoczyła się po plażach, skałach i łąkach. Często znajdowała coś ładnego i zabierała do domu: muszlę ślimaka, piórka, szczątki wraków. Najpierw gromadziła swoje skarby na oknie, a potem, gdy nie było już miejsca, na jedynym w domu stole. Musiała jeść przy zlewie.

Przygotowywała jedzenie, zmywała i szorowała szczotką łataną linoleum. Prała na dworze w dużej plastikowej balii, którą kupiła w sklepiku. Przewiozła ją do domu na rowerze, przymocowaną dnem do góry na siodełku i bagażniku.

Nilsson, chłop z najbliższego gospodarstwa, łowił w sieć ryby. Gdy nałapał ich dużo, wołał do Kristiny przejeżdżającej na rowerze, że może sobie wziąć, jakie chce. Odwdzięczała się, kładąc na schodach jego ganku siatkę ze świeżo wypieczonym chlebem. Korzystała ze skrzynki pocztowej Nilssona. Ponieważ prawie nigdy nie dostawała listów, uważała, że nie warto mieć własnej.

Stosunki z sąsiadami nie były więc zbyt skomplikowane. Tutejsi ludzie należeli raczej do mało rozmownych. Zadowalali się skinieniem na powitanie i kilkoma krótkimi zdaniami o tym, co trzeba było powiedzieć.

Wydawała jak najmniej. To, co zaoszczędziła z zasiłku chorobowego, wkładała do puszek w szafce.

Wstydziała się, wspominając czasy, kiedy chodziła w maskach zwierząt i straszyla ludzi w mieście. W portfelu trzymała jeszcze zdjęcia, które zrobiła na Dworcu Centralnym. Miała na nich maskę lisa. W groźnej twarzy dostrzegala własne oczy - smutne, przestraszone. Maski były tylko żalonym substytutem. Ale wtedy ich potrzebowała. Przyszły do niej - lis, orzeł i tygrys - i dały jej swojego ducha. Maski zostały zniszczone, ale ona zatrzymała ducha zwierząt. Miała je w sobie i gdy chciała - w chacie, w sklepie albo na łąkach - mogła stać się jednym z nich i patrzeć oczami zwierzęcia. Uśmiechała się do tej myśli, bo ta umiejętność była jej tajemnicą.

Czasem odwracała cykl dobowy. Spała do pierwszej po południu, a nocą się włoczyła. Podążała szlakiem saren przez łąki i skały. Słyszała, jak idą przed nią w ciemności.

Pokazywały drogę. Czasami robiło się cicho, co oznaczało, że zabłądziła. Wtedy musiała stać zupełnie nieruchomo i czekać pośród czarnej nocy, aby znów je usłyszeć. Wracały, żeby ją zabrać.

Szlaki saren przecinały łąki, pola, skały i lasy. Cała okolica stanowiła sieć ich szlaków. Mieszkała w samym środku królestwa tych zwierząt. Po jakimś czasie, ku swojemu wielkiemu zdumieniu i radości, odkryła w sobie ducha sarny, lekkiego i rozedrganego.

Czasami otaczały ją cienie. Potrafiła obudzić się rano, czując ich obecność, w domku, wśród skał, wszędzie. Najpierw rozrzedzone jak szary dym. Potem robiły się gęstsze, ciemniejsze. Zbliżały się do niej, wpełzały na skórę, owijały się wokół jej szyi i ramion. Wiedziała jednak, jak ma z nimi walczyć. Miała tabletki, które zażywała, a gdy cienie się zbliżały, zwiększała dawkę z jednej do trzech tabletek dziennie. Było to śmiesznie, wręcz absurdalnie skuteczne. Wyposażały ją w coś w rodzaju pancerza, zapach, który odstraszał cienie. Nie podobała jej się ta zwiększona dawka, po niej stawała się ospała, a jej ruchy nie chciały podążać za myślami. Ale cienie znikwały i wkrótce mogła powrócić do mniejszej dawki.

Odwiedzili ją rodzice. Odpowiadała monosylabami na ich sondujące pytania. Siedzieli na krawędzi krzesła, starali się utrzymać filiżanki na kolanach i popijali małymi łykami, tak jakby próbowała ich otruć. Ich spojrzenia wędrowały niespokojnie po domku, ponad gniazdem i kołdrą na podłodze, znalezionymi skarbami na oknie i stole. Gdy spytali, gdzie podziało się łóżko, potrząsnęła tylko głową, a oni nic już nie powiedzieli. Nie byli więcej natrętni, nie radzili, co powinna robić, a czego nie. To był jej świat.

Kristina nagle polubiła rodziców bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Zaprowadziła ich do stołu ze skarbami. Pokazała czaszkę rogacza, ptasie gniazdo oraz delikatny szkielet ryjówki i dała im je do potrzymania. Mama wzięła skarby w drżące dłonie.

- Jakie ładne - wyszeptała z nabożeństwem. - Gdzie ty to wszystko znalazłaś?

- W okolicy. Dużo tu tego.

- Dziwne - mruknął ojciec i pochylił się nad skorupą jaja mewy z zasuszonym płodem w środku.

Kristina opowiedziała o wszystkich zwierzętach, które widywała w trakcie swoich wędrówek, o sarnach, zającach, ostrygojadach i meduzach. Rodzice słuchali w osłupieniu. Nigdy wcześniej nie słyszeli, żeby ich córka tyle mówiła.

Dostrzegła ich zachwycone twarze. Przez chwilę chciała im wyznać, że ma teraz ducha sarny, ale zrozumiała, że ich wzrok wyraża radość, a nie zrozumienie. Cieszyli się, że znalazła

swoje miejsce i że jej się tu podoba, ale jej świat był im obcy, a wszystko, co mówiła, pozostawało dla nich niezrozumiałe. Kristina zamilkła i umyła filiżanki. Potem odprowadziła ich przez pastwiska do samochodu.

Swojej pierwszej zimy w chacie doświadczała z wyostrzonymi zmysłami. Pola śpiące we mgle i posępne wycie buczków mgłowych. Różne odcienie żółci i brązu w przyrodzie. Śnieg, który padał, ale nigdy dobrze nie osiadał. Mszkowany mróz, który przemieniał skałki w opierzone zwierzęta. Lód zamarzający nocą w zatokach, potem pękający od fal i ponownie zamarzający następnej nocy. Zapach dymu z palonej brzozy w zimnym powietrzu.

Gdy kuratorka przysła zobaczyć, jak sobie Kristina radzi z chłodem, ta powitała ją na pokrytym mrozem pastwisku, z rumieńcami na twarzy, ubrana w spódnicę do ziemi, dwa swetry, w zawiniętym wokół głowy szaliku. W chacie przy kominku poczęstowała ją herbatą i świeżo upieczonym chlebem z miodem z ula Nilssona. Mówiła, że czuje się dobrze i że przestała brać tabletki.

Potem pokazała swoje skarby, które zmieniły się od czasu ostatniej wizyty kuratorki. Zaczęła je przerabiać. Wokół nasady rogów na czaszce kozła umieściła puch, a na czole namalowała duże czarne oko. Na kości przykleiła muszelki i namalowała skomplikowany wijący się wzór.

- Jesteś prawdziwą artystką, Kristino! - krzyknęła kuratorka, a Kristina się uśmiechnęła.

Wiosną kupiła kajak.

ULRIKA

Gdy w poranek przed nocą świętojańską Anne-Marie i ja zeszliśmy do łodzi, była mniej więcej ósma i pomost Gattmanów spoczywał jeszcze w rzucanych przez skałę podłużnych cieniach. Daleko na wodzie słońce świeciło mocno oślepiającym blaskiem. Rybitwy zataczały koła, furkocząc nad zatoką. Morze było tak spokojne, że przeglądały się w nim skały.

Lis stała z narzeczonym na pomoście i podawała Jensowi bagaż do łódki. Kolega Jensa, Märten, ubrany w szorty i podkoszulek snuł się na brzegu i wrzucał do wody kamyczki. Anne-Marie i ja cisnęliśmy nasze rzeczy w kierunku Jensa, a on upychał je między śpiwory, namiot a kuchenkę spirytusową.

- Zdam się jeszcze przepłynąć, zanim wyjedziemy? - krzyknął Märten.

- Nie - odparł Jens, ale Märten w szortach rzucił się do wody.

Chwilę później wynurzył się obok łódki, próbował złapać się relingu, ciągnąc za jedną z bojek. Postępujący silnik był już uruchomiony, Jens poluzowywał cumę rufową, a Lis chciała zebrać dziobową.

- Przestań - powiedział Jens. - Właż na pomost i wskakuj, jeśli chcesz z nami płynąć.

Ale Märten nie dawał za wygraną. Przez dłuższą chwilę wisiał przy burcie i próbował wejść na pokład od tej strony, aż wykończony zrezygnował, podpłynął do brzegu i ociekając wodą, wskoczył z pomostu. Śmiał się, widocznie uznał swój pomysł za przedsmak wieczornych wybryków. Opóźnił nas o dziesięć minut, co może wydawać się nieistotne - dzień się dopiero zaczynał, sklep w porcie Hallvikshamn otwierano o dziewiątej - ale potem przyszło mi do głowy, że wszystko może potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy wyruszyli dziesięć minut wcześniej.

Gdy Märten usiadł właśnie na jednej z ławeczek na pokładzie, gdzie woda z jego szortów utworzyła dużą kałużę, a Jens dał Lis znak, żeby odcumować, właśnie wtedy pomarańczowa postać przemknęła po stopniach w skałę, potem przez pomost, aż zatrzymała się na jego krańcu.

- Patrzcie, myśli, że płynie z nami - wyszczerzył się Märten.

- Idź do domu, Maja! - krzyknęła Anne-Marie.

Ale ona nie ruszała się z miejsca. W kamizelce ratunkowej włożonej na brązowy welurowy kombinezon, z dokładnie zaciągniętymi i zapiętymi paskami. Czarne kosmyki były potargane, prawdopodobnie wybiegła prosto z łóżka, zanim Karin zdążyła ją uczesać.

Skierowała swoje czarne oczy na Anne-Marie.

- Wracaj do domu!

Wołaliśmy wszyscy, aby przekrzyczeć hałas silnika i machaliśmy rękami w odmownym geście, jakbyśmy opędzali się od natrętnej muchy. Ale Maja nie odchodziła.

- Zaprowadzę ją na górę. Poczekajcie - powiedziała Anne-Marie.

Jens wyłączył silnik, ona zaś przyciągnęła łódkę i wyskoczyła na ląd. Chwyliła Maję za rękę i zaczęła ciągnąć ją za sobą po pomoście na skalne stopnie. Ale dziewczynka się uparła. Ukucnęła, żeby być jak najcięższa, i nie zrobiła ani kroku za Anne-Marie. Ona ciągnęła ją centymetr po centymetrze po deskach pomostu. Toczyły walkę bez słów, słychać było jedynie sapanie Anne-Marie.

Märten wyjął suche dzinsy. Otworzył paczkę chipsów i częstował wszystkich w łódce.

- Zrobisz jej krzywdę - krzyknęła Lis do Anne-Marie. - Wejdą jej drzazgi. Zanieś ją!

Anne-Marie próbowała wziąć Maję na rękę, a ta od razu uderzyła ją w twarz i mocno pociągnęła za włosy. Wściekła Anne-Marie puściła ją, a dziewczynka z hukiem upadła na pomost.

- Na litość boską, Anne-Marie! - krzyknęła znowu Lis. - Zawołaj mamę!

- Mamie nigdy nie udaje się jej wziąć na rękę - powiedział Jens.

- Jeśli nie uda się Anne-Marie, nie uda się nikomu. Ona chce być z tobą, Anne-Marie.

Maja z trudem się podniosła i znów stała na pomoście. Uderzyła się, kiedy Anne-Marie ją upuściła. Usta miała mocno zaciśnięte i rozcierała sobie nogę, ale nie wydała żadnego dźwięku.

Märten zaczął rzucać mewom chipsy.

- Silna z niej dziewczyna - śmiał się.

- Weźmy ją ze sobą, bo nigdy nie wypłyniemy - westchnął Jens.

- Idź i powiedz mamie.

Anne-Marie, wywracając oczami, przeszła chwiejnie po pomoście, jakby została pokonana i miała się osunąć na ziemię.

- No dalej - zawołał Jens.

Zrezygnowana Anne-Marie wzruszyła ramionami i dużymi krokami wbiegła po schodach na górę. Po chwili była już z powrotem.

- Okej? - zapytał Jens.

- Okej. - Anne-Marie przeniosła Maję na pokład i sama wskoczyła wraz z cumą.

Potem Karin powiedziała, że nigdy się nie zgodziła. Spała i nie była w pełni świadoma, gdy córka ją obudziła. Nie zrozumiała jej słów.

Według Anne-Marie Karin wprawdzie leżała w łóżku, ale nie spała. Nigdy nie miała głębokiego snu, więc na pewno obudził ją silnik łodzi i podniesione głosy młodzieży. Åke spał twardo w łóżku obok, ale Karin była rozbudzona i odpowiedziała niechętnie, lecz bardzo wyraźnie:

- Tak, tak, w takim razie może.

Anne-Marie usiadła na pokładzie z Mają na kolanach. Jens ponownie odpalił silnik, wrzucił wsteczny bieg i szerokim łukiem wypłynął z zatoki.

Zatrzymaliśmy się w Hallvikshamn, żeby zaopatrzyć się w prowiant. Chociaż było dopiero wpół do dziewiątej rano, w porcie panował tłok. Większość łodzi przyплыnęła poprzedniego dnia. Stały przycumowane jedna obok drugiej i zajmowały niemal cały basen portowy. Ludzie siedzieli w kokpitach i jedli śniadanie albo leżeli na pokładzie i opalali się, podczas gdy załoganci z sąsiednich jednostek przeskakiwali ponad nimi w drodze na nabrzeże. Między łodziami, w lśniącej od ropy wodzie unosiło się mnóstwo meduz. Mieszały się ze śmieciami w gęstą zupę.

- Ale syf tu cumować - skrzywił się z obrzydzeniem Stefan.

- Widocznie to im się podoba. Ludzie lubią się ścisnąć jak śledzie - powiedział Märten.

- Ludzie to idioci.

Sami nie zaliczali siebie do ludzi. Jak każdy z nas w tym czasie.

Ponieważ nie dało się zacumować, Jens wyrzucił nas przy schodkach pod pompą benzynową i odpłynął, żeby odebrać nas pół godziny później. Kupiliśmy w sklepie jedzenie i słabe piwo, napelniliśmy baniak ropą, poszliśmy po lody do kiosku. Anne-Marie wybrała dla Mai wodnego loda, ale Märten kupił jej dużego różka.

- Roztopi się, zanim zje do połowy - zaprotestowała Anne-Marie.

- Nie szkodzi. Małe dzieci powinny dostawać duże lody - odpowiedział Märten.

Potem wziął od Mai loda, którego mała nie była w stanie dokończyć.

W sklepie stały takie kolejki, że wszystko zajęło znacznie więcej niż pół godziny i Jens musiał dość długo krążyć łódką, zanim byliśmy gotowi do wypłynięcia.

W sklepie nie widzieliśmy żadnych znajomych młodych ludzi, ale na Kannholmen na plaży stały już dwie łodzie.

Kannholmen to najdalej wysunięta z małej grupy wysp i szkieł, oddalona o trzy kwadransy łódką od Hallvikshamn. Tylko tutaj da się rozbić namiot. Wszędzie indziej występują jedynie nagie skały. Ale na Kannholmen, na zupełnie płaskim, porośniętym trawą terenie ziemia jest dostatecznie głęboka, żeby wbić w nią śledzie. Wokół tej połaci trawy

wznoszą się skały jak mury wokół dziedzińca. To bardzo osłonięte i dobre miejsce. Trzeba wiedzieć, gdzie się znajduje, bo nie widać go od strony morza.

Po wewnętrznej stronie wyspy jest mała plaża, a po zewnętrznej cudowne, łagodne skały, skąd można patrzeć na zachodzące do morza słońce. Reszta wyspy to szczeliny, bajorka, mokradła. Nie jest duża, wystarczy raptem godzina, by ją obejść.

Dwa namioty już stały, a ich mieszkańcy siedzieli na trawie i pili piwo. Rozbiliśmy swoje. Jeden dla Lis i Stefana, drugi dla Märtena i Jensa, trzeci dla Anne-Marie i dla mnie.

Przy płynęły jeszcze jakieś łodzie i rozbiło się więcej osób, a porośnięte trawą miejsce wypełnił niewielki obóz kolorowych dwuosobowych namiotów.

Zjedliśmy skromny lunch składający się z grubo pokrojonego finką chleba, brzoskwiń i piwa. Potem Anne-Marie, Maja i ja poszłyśmy się kąpać. Lis i Stefan zniknęli w namiocie. Märten i Jens wstawili piwo do wody przy brzegu, żeby je schłodzić, i znikli na skale po zewnętrznej stronie wyspy.

Nikogo tu nie znałam. Anne-Marie kojarzyła ich z imienia i z widzenia przez swoje rodzeństwo. Z niektórymi zamieniła parę zdań. Wielu chłopców chciało z nią rozmawiać. Rozumiałam ich. Anne-Marie wyglądała naprawdę ładnie, gdy ubrana w bikini chodziła między namiotami, trzymając Maję za rękę. Długie, szczupłe nogi. Długie blond włosy, rozwiewane przez wiatr. Brązowa, lśniąca skóra.

Miałam na sobie jaskraworóżowe bikini. Przez ostatnie dni intensywnie się opalałam, żeby się zbrązowić na noc świętojańską, a w rezultacie moja skóra miała ten sam wściekłe różowy kolor, co bikini. Nagle zdałam sobie sprawę, że te różowości zlewają się ze sobą i że z dodatkowymi kilogramami w talii i udach wyglądam jak oparzone prosię. Moje ciężkie piersi podskakiwały i trzęsły się, jakby żyły własnym życiem, dwa niesforne prosiaczki, kołyszące się w miseczkach stanika.

Przezeszałam ręką włosy, żeby nie leżały płasko, i poczułam, że już się przetłuściły, chociaż myłam je poprzedniego wieczora. Teraz podczas pływania dostanie się w nie sól. Wieczorem będą wisieć w posklejanych strąkach, pomyślałam smętnie. Próbowałam trzymać głowę nad wodą, ale nie udawało mi się, bo Anne-Marie cały czas pływała pod powierzchnią i ciągnęła mnie za nogi, żebym się przewróciła.

Po kąpeli chciała, żebyśmy zrobiły sobie sjęstę. Ja też byłam zmęczona. Wcześniej wstałyśmy, słońce mocno grzało i wypiliśmy piwo. Rozwiesiłyśmy kostiumy na linkach od namiotu, wczółgałyśmy się do swojego czerwonego namiotu, a na śpiworach rozpostarłyśmy ręczniki. Położyłyśmy się w majtkach i koszulkach, a mała naga Maja pomiędzy nami.

Byłam strasznie zmęczona i od razu usnęłam. Obudziłam się po jakiejś godzinie.

Spałam głęboko i nic mi się nie śniło. Wciąż byłam zmęczona i nie mogłam się rozbudzić. Leżałam w półśnie, patrząc na nie obie, nadal śpiące obok. Było gorąco i duszno, ale przywykłam już do tego powietrza i nie czułam dyskomfortu.

Dobrze pamiętam tę chwilę w namiocie. Ciepły półmrok, czerwone płótno namiotu, nadające śpiącym ciałom magiczny blask, zapach trawy i potu. Anne-Marie na boku, odwrócona w moją stronę, z lekko rozchylonymi ustami, zgięta ręka i dłoń na ręczniku. Długie, lekko wygięte palce, takie odprężone, ręka, którą można by narysować. Usta, różowoczerwone w tym dziwnym świetle, łagodny łuk górnej wargi. Wilgotne włosy odgarnięte z czoła. Jej twarz jak miękki, dojrzały owoc. Maja obok niej, trochę niżej, z głową na wysokości jej pępka. Leżała na plecach, z rękami rozłożonymi wzdłuż tułowia, tak jak często leżą dzieci. Całkiem naga, o ciemnobrązowej, lśniącej jak jedwab skórze. Usłyszałam głosy na zewnątrz, gdzieś daleko harmonijkę Jensa, krzyk mew. Płótno namiotu lekko trzepotało. Śpiące oddychały spokojnie obok mnie, dwa płody w czerwonym, bezpiecznym łonie.

Maja obudziła się nagle z szarpnięciem, szybko popęzła w stronę wyjścia z namiotu i wyleciała jak strzała.

- Chce się jej siku - wymamrotała Anne-Marie. - Mnie też. Właściwie to ile czasu spałyśmy? Która godzina?

Było dwadzieścia po czwartej. Wstałyśmy, żeby obchodzić noc świętojańską.

Nie wiem, czego się spodziewałam po imprezie świętojańskiej na Kannholmen. Pamiętam tylko, że byłam pełna oczekiwań. Że dokładnie zaplanowałam, co na siebie włożę. (To znaczy, które znoszone dzinsy, którą spraną bluzkę, który workowaty sweter). Nie miałam konkretnych życzeń dotyczących jakiegoś chłopaka, w którym byłabym zakochana, ani nic takiego. Miałam chyba tylko niejasne, łaskoczące wyobrażenie, że coś się wydarzy, że wrócę do domu jako inna Ulrika.

Wyobrażałam sobie jednak, tego jestem pewna, że cały wieczór spędzę z Anne-Marie. Że zbliżymy się, będziemy dzielić tajemnice i przygody, które potem nas połączą. Tak się nie stało.

Anne-Marie poruszała się wśród nowych ludzi jak ryba w wodzie. Wymieniała czułości to z tym, to z tamtym. Była zmienna i nieuchwytna, przekomarzała się i żartowała.

Ja wdałam się w rozmowę z dwoma starszymi chłopakami. Pytali mnie o wiele poważnych spraw, a ja mówiłam najinteligentniej, jak umiałam, i cieszyłam się ich uwagą, aż nagle zrobiło mi się nieprzyjemnie, kiedy przyjrzałam się bliżej ich twarzom i zrozumiałam,

że przez cały czas naigrawali się ze mnie. Urwałam w pół zdania i odeszłam.

- Nie, nie, zaczekaj. Chętnie jeszcze posłuchamy - krzyczeli za mną. - O co chodzi? Zapomniałaś swojego piwa, słyszysz?!

Usiadłam obok Lis i Stefana, ale byli zajęci sobą, więc przeniosłam się w pobliże grupki dziewczyn, które piekły na plaży kiełbaski. Rozmawiały i śmiały się, ale gdy usiadłam obok nich, rozmowy ucichły.

- To ty jesteś siostrą Lis i Evy? - zapytała jedna z nich.

- Nie. To Anne-Marie. Jestem jej koleżanką. Mieszkam u nich.

- Aha - powiedziała dziewczyna i uznała, że się ze mną nagadała. Podjęły swoją wesołą rozmowę i już nie zwracały na mnie uwagi.

Nagle się poderwały, żeby wykąpać się po zewnętrznej stronie wyspy i żadna nie spytała, czy chcę z nimi iść. Dziwnie byłoby im towarzyszyć. Może chciały się mnie pozbyć i dlatego tak szybko sobie poszły.

Siedziałam jeszcze przez chwilę przy dopalającym się ognisku i patrzyłam, jak zar migocze w popiele. Zalany chłopak przeszedł obok, zataczając się, i pochylił się nade mną, patrząc mętnym wzrokiem.

- Jezu, ale jesteś smutna - powiedział, pokiwał głową i poszedł.

Ponownie spróbowałam nawiązać kontakt z Anne-Marie. Chichotała między namiotami, pijana, ale oszałamiająco ładna, w obciętych dzinsach i białej bluzce, unosząca się na podziw i pożądanu innych. „Bogactwo” to słowo, które pojawiło się w mojej głowie, gdy obserwowałam ją spomiędzy traw przy skalistej ścianie. Była bogata, przepelniona pięknem i pewnością siebie. Była w pełni sobą. Nie potrzebowała nikogo, a najmniej mnie. Sama czułam się jak cienka łupina wokół pustej, czarnej dziury, ciemna grota samotności i brzydoty. Obok mnie siedziała całująca się para.

Maja biegła, wciąż naga, chociaż był już wieczór. Ktoś uczesał jej potargane włosy, zrobił prosty przedziałek i związał dwa ładne kucyki nad uszami.

Na skalną ścianę za mną przez cały dzień świeciło słońce i teraz grzała jak duże zwierzę. Oparłam się o nią i zamknęłam oczy.

O, Anne-Marie. Moja złocista Anne-Marie, moja Miodowa-Anne-Marie. Gdzie jesteś? To nie jest moja Anne-Marie, to ktoś obcy. Wróć do mnie, Anne-Marie, Miodowa-Anne-Marie!

- Cholera, ale jesteś smutna.

To był znów tamten chłopak, odwróciłam od niego twarz. Ale on się mnie uczeplił i naprzykrzał się.

- Będiesz beczeć? Rzucił cię chłopak? No nie, cholera, tak diabelnie smutna, nigdy nie widziałem kogoś tak diabelnie smutnego.

Znów wstałam i odeszłam. Włóczyłam się po skałach, po wyspie. Jeśli wcześniej podchodziłam do różnych grup ludzi, to teraz oddalałam się od nich, do samotności. Kiedy kogoś widziałam albo słyszałam głosy, pospiesznie wybierałam inną drogę.

Zatrzymałam się na chwilę i obserwowałam otwarte morze i małe szkiery, zarysowujące się na tle czerwonego wieczornego nieba. Ptaki krzyczały gdzieś ponad wodą. Pośród ich wrzasku słyszałam rozwlekłe wibrujące tony bluesa na harmonijce ustnej.

W skalnej niszy, oparci o miękko wygiętą skałę, ukryci przed resztą świata, z widokiem na zachodzące nad morzem słońce siedzieli Jens, Märten i chłopak, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Obok nich dostrzegłam skrzynkę piwa. Kiedy Jens mnie spostrzegł, przerwał, przywołał mnie skinieniem ręki, po czym grał dalej.

Podeszłam i bez słowa usiadłam na ziemi. Po raz pierwszy w ten wieczór świętojański nie czułam się przeganiana, izolowana czy wyszydzana. Siedziałam tam, patrzyłam na czerwone morze, które w miarę jak zapadał zmrok, stawało się blade i szare, i słuchałam rozedrganych dźwięków harmonijki. Naraz mój smutek stał się niemal przyjemny.

Ptaki wciąż krążyły nad nami, najpierw w oddali, a stopniowo coraz bliżej.

- To normalne, że ptaki o tej porze nie śpią? - zapytałam.

Jens spojrział w górę i przestał grać.

- Raczej nie.

- Nie, to trochę dziwne - przyznał Märten. - W nocy jest na ogół zupełnie cicho, prawda? Ptaki wtedy tak nie krzyczą, co?

- Ptaki cichną, gdy zachodzi słońce - spokojnie i filozoficznie stwierdził trzeci chłopak.

- Czemu w takim razie tak krzyczą i latają? - zapytał Märten.

- Co to za gatunek?

- Mewy srebrzyste. Rybitwy. Może jakiś jeszcze.

- Ciekawe, że różne gatunki tak współżyją - powiedział trzeci chłopak.

Nagle jedna z rybitw zapikowała. Przeleciała tak blisko naszych głów, aż poczuliśmy powiew od jej skrzydeł, i wydała z siebie ogłuszające „iiii”.

- O rany - wymamrotał Märten.

- Dziś wieczorem z ptakami dzieje się coś dziwnego - powiedziałam.

- Nie, dziwne, że tu jesteśmy - odrzekł Jens. - To wyspa ptaków. Na pewno mają tu w szczelinach gniazda i młode. Chcą nas przepędzić. Ale muszą z nami wytrzymać do jutra.

Siedzieliśmy dalej i wkrótce osaczyła nas chmura krzyczących rybitw. Nie robiły nam

krzywdy, latały tylko wokół naszych głów, zataczały między sobą koła, każda po swoim torze, jak planety w skomplikowanym układzie słonecznym. Jedna z nich upuściła białą grudkę na ramię Märtena. Jens zaśmiał się i my też się śmialiśmy. Siedzieliśmy tak pośród tych furkoczących skrzydeł, skuleni, z rękami nad głową i śmialiśmy się.

Trzeci chłopak wrzasnął. Tuż przy nim poderwał się do lotu ptak. Zwykła rybitwa, ale z tak bliskiej odległości wyglądała na o wiele większą. Jej skrzydła silnymi falami zamiatały ku nam nocne powietrze i przez chwilę czuliśmy jej zapach, surową woń ryb, odchodów i piór.

- Dziobnęła mnie w łeb - krzyknął.

Uciekliśmy po skałach do innej szczeliny. Ptaki podążyły za nami i dalej nad nami krążyły, ale zachowywały dystans.

- Siedzieliśmy pewnie blisko jakiegoś gniazda - powiedział Jens. - Jak tam twój łeb?

Obejrzelismy mu głowę, ale nie znaleźliśmy żadnej rany.

- Chyba się po prostu przestraszyłem - wymamrotał.

Mewy srebrzyste przycupnęły obok na skałach. Obserwowały nas, lecz nie zbliżały się.

- Widzicie, jakie mają obrzydliwe oczy? - zapytał Märten. - Jakby drapieżne. Cholera.

Paskudne.

- Może one myślą to samo o tobie - podsunął Jens.

- Ja w każdym razie idę spać - zdecydował Märten. - To już zaczyna przypominać Hitchcocka.

On i chłopak zaatakowany przez ptaka wstali i poszli. Jens i ja zostaliśmy.

Noc świętojańska była jasna i dziwnie cicha. Ponad morzem właściwie nie zrobiło się ciemno, raczej jak w szary pochmurny dzień, a powierzchnia wody była metalicznie matowa.

Märten siedział wcześniej między Jensem a mną, teraz na jego miejscu zrobiła się pusta przestrzeń. Stopniowo ją zacieraliśmy, w trakcie rozmowy przysuwając się bliżej siebie. Jens siedział z rękami na podciągniętych kolanach i gdy spojrzałam na tę dłoń, która zarysowywała się na tle morza, przypomniałam sobie rękę Anne-Marie w czasie popołudniowej drzemki w namiocie. Długie palce, wąski przegub. Mieli dokładnie takie same dłonie.

Ukradkiem patrzyłam na jego twarz. Ogarniał wzrokiem morze i zajęty własną paplaniną, nie zauważył, że go obserwuję. Dopiero teraz, gdy szary świt zamazał wszystkie wprowadzające w błąd szczegóły, dostrzegłam, jak bardzo są do siebie z Anne-Marie podobni. Włosy miał o jakiś odcień ciemniejsze, ale poza tym zgadzało się wszystko: ciemne brwi, kości policzkowe, ładnie uformowane usta.

Odwrócił się do mnie, nasze oczy się spotkały. Objął mnie ramieniem i przyciągnął do

siebie, gładząc moje ramię, w górę i w dół.

- Zimno ci? - zapytał.

- Nie - skłamałam.

- Masz gęsią skórkę. Czuję, jak włoski sterczą ci na ramionach.

- Ja nie czuję.

- Przyniosę śpiwór, wejdziemy do niego. Możemy tu dziś spać. O wiele przyjemniej niż w namiocie.

Zniknął między skałami, a po chwili wrócił z jednym z ciężkich, zielonych wojskowych śpiworów Gattmanów. Wyjął go z pokrowca, rozwinął na ziemi i przez chwilę zastanawiał się nad ułożeniem. Przeciągał go to tu, to tam, żeby znaleźć miejsce, gdzie skała ma wygodny kształt.

- Tu powinno być dobrze, co? Jak sądzisz?

Trochę wystraszyła mnie ta podniosłość. Rozpiął zamek, położył się, a potem skinął na mnie, żebym weszła.

- Nie zmieszczę się - powiedziałam.

- Sprawdź, zobaczymy.

Musiałam przysunąć się bardzo, bardzo blisko niego. Pomógł mi, przyciskając mnie do siebie jedną ręką, a drugą zasuwając zamek za moimi plecami.

- Widzisz. Udało się - oznajmił triumfująco.

Śpiwór był ciepły i pełen zapachów. Pachniał solą, ziemią, trawą, resztkami woni różnych przygód. Twarz Jensa znajdowała się tak blisko mojej, że jego pocałunek wydał się całkiem naturalny.

Śpiwór działał jak zewnętrzna siła, która łagodnie, lecz zdecydowanie dociskała nasze ciała do siebie. Nie sposób było się oprzeć. Usta do ust, pierś do piersi, łono do łona. Moje serce biło tak mocno jak obce stworzenie, zwierzę zamknięte w moim ciele. Język Jensa wypełnił moje usta, tak jakby znajdował się tam od zawsze. Wydawało się, że jego nogi, które wślizgnęły się między moje, zawsze tam były. Nasze cielesne granice się zatarły. Oboje składaliśmy się z gęstej, ciepłej masy, która wypełniała śpiwór.

Nagle usłyszałam krótki krzyk. Otworzyłam oczy i zobaczyłam dużą mewę srebrzystą, która usiadła na skale ponad nami. Jens rozpiął mi dzinsy i ściągał je ze mnie. Mewa była tylko kilka metrów od nas i obserwowana z tak bliska wydawała się ogromna. Patrzyła na nas i wyraźnie w ciemności widziałam jej zupełnie obcy wzrok. Nie było w nim nic z bezpiecznej, brązowej ciemności, obecnej w oczach psów i koni, nic, co by przypominało żółtozieloną tajemniczość kota albo żwawy blask czarnych perełek oczu myszy czy

chomików. Lodowate spojrzenie wodnistych oczu mogło wydawać się złe, ale było czymś poza złem, poza tym, co ludzkie i zrozumiałe. Oknem na puste, posępne przestrzenie.

Mewa otworzyła dziób, odchyliła głowę do góry i znowu krzyknęła. Ten krzyk sprawił, że się uniosłam, wystąpiłam jakby z tego wspólnego syropowego ciała, stanęłam obok i patrzyłam w dół na parę w śpiworze. Wydawała mi się śmieszna, nie chciałam mieć z nią nic wspólnego.

- Co jest? - zapytał Jens tuż przy mojej szyi. - Znowu te ptaki?

Nagle w śpiworze zrobiło się nieznośnie ciepło i ciasno. Moje ciało znowu było moje. Rozpięłam zamek, żeby wyjść. Nocne powietrze chłodziło moje nagie podbrzusze, szybko podciągnęłam majtki i dżinsy.

Mewa zafurkotała do góry i usiadła kilka metrów dalej.

Siedziałam na skałce i ogarniałam wzrokiem morze.

- Przejaśnia się - powiedziałam.

W namiotach po drugiej stronie wyspy panowała całkowita cisza. Dopiero teraz zauważyłam, że wcześniej przez cały czas słyszeliśmy stamtąd hałasy, śmiechy, krzyki, muzykę z radia tranzystorowego. Ptaki również umilkły.

Świtało, a ja siedziałam tak i patrzyłam, jak świat powoli przechodzi, nie z ciemności w jasność, ale z czerni i bieli w kolor, z matu w połysk. Morze odzyskało swój blask, skały znowu stały się różowe i morelowe. Rybitwy leżące w małym, nastroszonym stadzie na powierzchni wody miały krwistoczerwone dzioby, dzioby, które w końcu były zamknięte, ciche.

Jens zasnął. Wślizgnęłam się tuż obok niego do śpiwora i tam, blisko jego pleców, z ramieniem wokół jego talii, w świetle wsysającym kolor z powietrza, zasnąłam.

Obudził mnie śmiech i wrzask. W dole jakieś dziewczyny kąpały się nago. Od ich ciał rozchodziły się kręgi, otaczały je jak tarcze celownicze na nieruchomej powierzchni wody. Obserwowałam je sennie, a potem musiałam znowu zasnąć, bo dziewczyny znikły i zrobiło się dużo cieplej. Miejsce, gdzie leżeliśmy, skąpane było w słońcu, a nasze ciała zlepiały się ze sobą od potu.

Po polu namiotowym snuli się skacowani i senni ludzie. Märten i chłopak zaatakowany przez ptaka siedzieli przed namiotem Jensa, pili zwietrzałą coca-colę i jedli wafle waniliowe. Jens przysiadł się i zjadł z nimi to obrzydliwe śniadanie.

Ja szukałam Anne-Marie. Znalazłam ją w naszym namiocie, śpiącą w czerwonym świetle. Leżała skulona na boku, tylko w majtkach. Sutki jej maleńkich piersi przypominały

marcepanowe pączki róży. Włosy miała potargane. Cały namiot cuchnął piwem, potem i nieświeżym oddechem.

Chciałam się wycofać, ale utknęłam w wyjściu, szarpnęłam płótno i wtedy się obudziła.

- Gdzie ty się podziewałaś? - zapytała, mrużąc oczy.

- Spałam na dworze. Po zewnętrznej stronie wyspy, nad morzem. Maja już wstała?

- Nie wiem. Pewnie tak - Anne-Marie wciągnęła podkoszulek i wyczołgała się na zewnątrz.

Stefan klęczał przed namiotem i gotował wodę na kuchence spirytusowej. Lis podała nam plastikowe kubki z torebkami herbaty. Była rześka i wypoczęta, gęste ciemne włosy miała zaczesane w kucyk na karku. Stefan też wyglądał świeżo. Nie pili już bez opamiętania jak nastolatki. Od kiedy się poznali, pili jak dorośli ludzie, dwa, trzy średnioprocentowe piwa jednego wieczora, nie więcej.

- Woda niedługo się zagotuje - powiedziała. - Możecie obudzić Maję. Chłodzę dla niej przy plaży napój pomarańczowy.

- Jeszcze śpi?

Anne-Marie uchyliła płótno do namiotu Lis i Stefana i zajrzała do środka.

- Tu jej nie ma - stwierdziła. - Już gdzieś zwiąła.

Lis odwróciła się, trzymając za uchwyt wypełnione wodą aluminiowe naczynie. Patrzyła na Anne-Marie zmrużonymi, zadumanymi oczami. Miała dziwny kolor oczu, zielono-brązowy, jak algi. Po chwili milczenia powiedziała:

- Dlaczego miałyby być w naszym namiocie? Przecież spała u was, prawda?

Znowu chwila milczenia. Z garnka unosiła się para. Nagle Lis zauważyła, że uchwyt się rozgrzał, i szybko odstawiła naczynie na ziemię. Anne-Marie wodziła wzrokiem po wszystkich, jakby szukała pomocy.

- Nie - powiedziała w końcu. - Nie, nie spała w naszym namiocie.

- Jens - krzyknęła Lis. - Czy Maja spała u was?

Jens, z ustami pełnymi herbatników, wzruszył ramionami.

- Spała? - spytał odwrócony do Märtena.

- Nie, ja nic nie zauważyłem - odrzekł tamten. - Björn, widziałeś tę małą ciemną dziewczynkę? - Björn to ten dziobnięty w głowę. Wzruszył ramionami. Widać było, że się jeszcze porządnie nie obudził i nie pojmuje, o czym rozmawiamy.

- Gdzie w takim razie spała? Gdzie ona jest? - zapytała Lis i wyruszyła na szybki obchód wokół namiotów i po najbliższych skałach.

- Anne-Marie - powiedział spokojnie Stefan. - Zastanów się. Pewnie Maja spała u

ciebie?

- Nie sądzę. - Anne-Marie miała słaby, wymuszony głos, jakby nie nawykła do mówienia.

- Ulrika. Na pewno spała w waszym namiocie, prawda?

- Nie wiem - odparłam. - Ja spałam na zewnątrz.

Lis wróciła zdyszana, bez Mai.

- Okej - powiedziała rzeczowo. - Musimy dokładnie poszukać. Gdzie ją ostatnio widzieliśmy?

- Biegała między namiotami - odrzekł Stefan.

- Czy ktoś widział ją gdzieś indziej? - zapytała Lis.

Nikt jej nie widział.

- Ubrałam ją w welurowy kombinezon. Było chyba dość późno - powiedziała Anne-Marie. - Wczołgałyśmy się do namiotu, ubrałam ją w kombinezon i znowu wybiegła.

- Sprawdzimy we wszystkich namiotach. No już. Pytajcie wszystkich, gdzie ją ostatnio widzieli - rozkazała Lis.

W ciągu kilku minut nastrój w obozie namiotowym z ospałości na kacu przekształcił się w pełną aktywność. Szybko stwierdzono, że Mai nie ma w żadnym namiocie.

Wszyscy przypominali sobie małą dziewczynkę biegnącą między namiotami. Nikt nie pamiętał, kiedy znikła, sądzono, że była tam przez całą noc, dopóki inni nie spali. Ale nikt nie potrafił powiedzieć, w którym namiocie się położyła.

Lis zebrała wszystkich na plaży i wydawała instrukcje.

- Rozchodzimy się po wyspie i szukamy. Zaglątajcie we wszystkie szczeliny. Nie zrażajcie się, jeśli nie odpowie, gdy będziecie wołać. Maja nigdy nie odpowiada, gdy się ją woła.

Przeszliśmy wyspę tam i z powrotem, około trzydziestu chłopców i dziewcząt. Przedpołudnie było upalne i bezwietrzne. Szukaliśmy w każdej szczelinie, pod każdym krzakiem, za każdym kamieniem.

Wkrótce powstał jakiś pośpiech. Niepewność zrobiła się nie do wytrzymania i zintensyfikowaliśmy nasze poszukiwania, żeby je skrócić. Zaczęliśmy biegać. Gnaliśmy po krajobrazie o niemiłosiernie wyśrubowanej gamie barw, stworzonej z upału i paniki. Słońce drgało w rozżarzonej do białości gorącu, niebo płonęło na niebiesko jak gazowy płomień, bażyny lśniły jadowitą zielenią, zawciągi krzykliwym lila, jak na obrazie Inge Schiöler. Ociekaliśmy potem. Pośpiesznie piliśmy letnią lemoniadę, wbiegaliśmy do wody, oplukiwaliśmy twarze, żeby się ochłodzić, i szukaliśmy dalej.

Szukaliśmy godzina po godzinie, aż dotarła do nas prawda. Mała wyspa została przeczesana, nie tylko raz, ale dziesięć, dwadzieścia razy. Zajrzeliśmy we wszystkie możliwe kryjówki. Mai nie było na wyspie.

Jedno po drugim osuwaliśmy się na plażę przy wyciągniętych na piasek łodziach. Ogarnialiśmy wzrokiem morze. Chociaż nie wspomnieliśmy o tym ani słowem, zrozumieliśmy, że to tam musi być Maja.

W nocy oddaliła się od namiotów. Może poślizgnęła się na skale i wpadła do wody. Może udała się na plażę, żeby się wykapać, i weszła za daleko. Czy krzyczała? Maja nigdy nie krzyczała o pomoc. Krzyczała ze złości, rzadko kiedy z bólu. Nikt nigdy nie słyszał, żeby krzyczała ze strachu. Zaciskała zęby, walczyła bezgłośnie. Czy teraz też tak zrobiła? I jeśli krzyczała - czy ktoś mógł to wtedy usłyszeć? Ta pijana rozwrzeszczana młodzież, grający tranzystor, krzyczące ptaki. Nie usłyszelibyśmy jej.

I żadne z nas nie było jej mamą. Bo gdyby któreś z nas było jej mamą, to ta mama w swoim upojeniu alkoholem, chuci, radości, smutku albo złości przez cały czas myślałaby o niej i zastanawiała się, gdzie jest. Matczyny instykt bezustannie by pracował, niczym obracająca się antena radaru, rejestrując najmniejszy ruch malej. Tak to działa, wiem to teraz, gdy sama mam dzieci. Dziecko zawsze jest obecne, w kąciku oka, w myślach, we śnie. Kiedy się idzie odpocząć i wiadomo, że dziecko jest z kimś bezpieczne, radar obraca się tak samo szybko. Nie da się go wyłączyć. To jest ta przeklęta niewola.

Ale my, jeszcze wolni, bezdjetni, jak większość młodych ludzi byliśmy całkowicie pochłonięci sobą. Swoimi miłostkami i rozczarowaniami, swoimi nowo zdobytymi doświadczeniami, swoją muzyką, grubymi udami, małymi albo dużymi biustami, pryszczami, wałeczkami tłuszczu, wszystko to wypełniało nasz świat.

Wiatr całkowicie ucichł. Na morzu unosiły się żaglówki z opadającymi żaglami, nieruchome, jakby zamrożone w lodzie. Morze, lśniące i tajemnicze, nie ujawniało, co kryje pod swoją połyskującą powierzchnią.

Około piątej zaczęliśmy w ciszy składać namioty. Łodzie jedna za drugą odpływały z plaży. Łódka Gattmanów opuściła Kannholmen jako ostatnia. Płynęliśmy do domu, żeby zawiadomić morską służbę ratowniczą. Ale na jaki ratunek właściwie można było liczyć?

Pamiętam, że w drodze do domu Anne-Marie i ja siedziałyśmy naprzeciwko siebie. Patrzyła ponad moim ramieniem, w dal. Ja wpatrywałam się w pokład, w deski pomalowane łuszczącym się i pokrytym pęcherzykami lakierem. Mój wzrok wędrował po płataninie stóp, plastikowych toreb, namiotów i śpiworów. Tuż przy nogach Anne-Marie, na wpół wetknięta pod ławę, leżała pomarańczowa kamizelka ratunkowa Mai. Anne-Marie musiała zauważyć

jakiś grymas na mojej twarzy, bo podążyła za moim wzrokiem i spojrzała w dół. Pośpiesznie i odruchowo kopnęła kamizelkę, aż cała zniknęła pod ławką.

Powinnam była oczywiście wyjechać do domu. Ale w tych pierwszych dniach nikt nawet nie myślał o tym, że tam jestem. Wszystko ogarnął chaos. Helikopter terkotał po kobaltowobłękitnym niebie. Telefon dzwonił. Ratownicy kręcili głowami. Sąsiedzi wypływali swoimi małymi łodziami i powracali ze współczującym wyrazem twarzy. Anne-Marie leżała na łóżku w naszym wspólnym pokoju, odwrócona plecami do mojego łóżka, z twarzą w poduszce, sparaliżowana poczuciem winy i rozpaczą. Staralam się trzymać na uboczu i jak najmniej rzucać w oczy.

Karin i Åke Gattman byli osobami publicznymi. W pewnym sensie Maja także. Dzięki artykułom Karin w dzienniku „Dagens Nyheter” i programom dokumentalnym w telewizji dziewczynka stała się swego rodzaju narodowym dzieckiem adopcyjnym, rola ta została jednak przez ostatni rok przytłumiona.

Przez pierwszą dobę dziennikarze wyczekiwali. Wiadomość, że czteroletnia dziewczynka zniknęła z wyspy w okolicy Hallvikshamn, opatrzone umiarkowanej wielkości tytułami i nie nadano jej w serwisach radiowych ani telewizyjnych.

Drugiego dnia lokalna gazeta zdecydowała się opublikować nazwisko dziewczynki i rodziców, a kilka godzin później wrzała prasa popołudniowa. Karin sfotografowano, jak stoi na pomoście, zasłania się dłonią przed słońcem, spogląda na wodę jak posąg wyczekującej żony marynarza. Zdjęcie ukazało się następnego dnia na pierwszej stronie. Pierwsza strona konkurencji przedstawiała Lis i Jensa zapłakanych i objętych. Na rozkładówce znalazło się duże zdjęcie zniszczonego misia, leżącego na ziemi przed domem Gattmanów, gapiącego się okrągłymi szklanymi guzikowymi oczami, z ramionami patetycznie wyciągniętymi do nieba. Od razu rozpoznałam starego Brumie Anne-Marie, co tłumaczyło wizytę mężczyzny, który dzień wcześniej pojawił się w kuchni z dużą torbą na ramieniu i prosił o pokazanie zabawek Mai. Ponieważ dziewczynka nigdy nie bawiła się zabawkami, nie mogłam mu pomóc, ale sam przeszukał skrzynię z zabawkami starszych dzieci i bardzo grzecznie poprosił o wypożyczenie na chwilę kilku. Uznałam, że mogę mu je dać.

Brumie najwyraźniej zaspokoił potrzeby fotografa. Teraz leżał na rozkładówce, obudzony po wieloletnim śnie w skrzyni i wyciągał swoje zniszczone łapki do dziewczynki, która nigdy nie poświęciła mu nawet spojrzenia.

W trzeciej dobie poszukiwania zmieniły charakter. Nikt tego głośno nie mówił, ale wszyscy wiedzieli: Nie szukano już żywego dziecka. Szukano ciała.

A potem przerwano nawet i te poszukiwania. Kannholmen leży na skraju najdalej wysuniętych w morze szkieł, gdzie występują silne prądy. Trzeba było stwierdzić, że mimo wytrwałych poszukiwań dziewczynki nie można odnaleźć, ani martwej, ani żywej. Po prostu jej nie ma.

Członkowie rodziny trzymali się na uboczu, każdy samotnie. Åke zamknął się w swojej pracowni. Nie dobiegał jednak stamtąd stukot maszyny do pisania. Od czasu do czasu wychodził do kuchni i brał nową butelkę wina. Jego rodzice, Tor i Sigrid, zamknęli się w swoich pokojach na drugim piętrze. Karin siedziała na leżaku i ogarniała wzrokiem morze, godzina za godziną. Lis przesiadywała przeważnie u Stefana. Jens ulotnił się motorowerem i przebywał u jakiegoś znajomego. Anne-Marie leżała na łóżku.

Raz jeden, jedyny, Karin wsiadła na nas z oskarżeniami. Zdenerwował ją bezduszny artykuł w gazecie i zanim się zdążyła się powstrzymać, słowa wyleciały jej z ust:

- Jak mogliście? Jak mogliście o niej zapomnieć? - szlochała.

Był wczesny poranek po nieprzespanej nocy, siedzieliśmy na schodach, trzymając kubki, Anne-Marie, Jens i ja. Wszędzie leżała rosa. Karin stała na najwyższym stopniu, a my podnieśliśmy oczy na jej twarz, która zmieniła się niemal nie do poznania po kilkudniowym ciągłym płaczu, zrobiła się spuchnięta, czerwona, pomarszczona. Strasznie było usłyszeć, jak wypowiada swoje oskarżenie, właśnie dlatego, że tak długo milczała na ten temat. Skuliliśmy się i przysunęliśmy do siebie jak zawstydzone szczeniaki. Jens, który siedział obok mnie, objął mnie ramieniem, a Anne-Marie, siedząca stopień niżej, przyłożyła twarz do moich kolan.

Z miasta przyjechał mój tata. Zaparkował pod dębem, wszedł po schodach z drewnianych bali i zapukał do drzwi, tak taktownie i dyskretnie, że nikt go nie usłyszał. Prawie na niego wpadłam, kiedy akurat otworzyłam drzwi, żeby wyjść.

Nie poznałam go. Ostatni raz widziałam go trzy tygodnie wcześniej i od tego czasu wiele się wydarzyło. Poza tym nie spodziewałam się przecież, że będzie stał na schodach. Nie mógł zapowiedzieć swojego przyjazdu, bo rodzina Gattmanów wyłączyła telefon z gniazdka i podłączała go tylko wtedy, kiedy Karin prowadziła codzienne rozmowy z morską służbą ratowniczą. Najpierw wzięłam go za kolejnego dziennikarza albo ochotnika do pomocy w poszukiwaniach. Już miałam go odprawić jednym z uprzejmych, chłodnych frazesów, których nauczyłam się w ciągu ostatniego tygodnia, ale wreszcie zobaczyłam, kto to. Na chwilę zakręciło mi się w głowie. Tak bardzo zespoliłam się z rodziną Gattmanów, że widząc własnego ojca, nie wiedziałam dokładnie, gdzie przynależę. Moja własna rodzina, mój ojciec,

moja matka, mały domek letniskowy, willa w mieście, w ciągu kilku tygodni wszystko dla mnie zbladło.

- Nie mogłem się dodzwonić. Rozumiem, że nie chcą odbierać. Pewnie chcesz już wracać do domu. To przecież niestosowne, żebyś tu była po tym wszystkim, co się stało.

Pod pachami na koszuli z krótkim rękawkiem miał plamy potu. Zauważyłam, jak blade są jego ręce w porównaniu z moimi brązowymi. Wpuściłam go i zaprowadziłam przez dom na werandę po drugiej stronie. Poprosiłam, żeby usiadł, i przyniosłam sok z lodówki. Siedzieliśmy obok siebie pod żółtym parasolem i piliśmy sok z tarniny z zeszłorocznych zbiorów.

- To musi być dla nich straszne. Dla ciebie też - powiedział tata i zamieszał długą łyżeczką, aż zabręczały kostki lodu. - Czytałem coś, co powiedziałaś w jakiejś gazecie.

- Ja? - zapytałam zaskoczona. Nie miałam pojęcia, że wypowiadałam się do jakiejś gazety. Ale rozmawiałam z tyloma dziennikarzami, nic dziwnego, że któryś mnie zacytował.

- Tak, powiedziałaś, że to był najgorszy dzień w twoim życiu, dzień, kiedy przeszukiwaliście wyspę.

- Tak - odparłam. - Prawdopodobnie tak. Tak, był najgorszy.

- Rozumiem cię - rzekł tata. - A tak w ogóle to gdzie są inni? Nie ma ich w domu?

Zaczęłam się zastanawiać. W ciągu ostatnich dni przyzwyczałam się, że na ogół jestem sama, podczas gdy inni zamykają się u siebie albo gdzieś wybywają. Już nie jedliśmy wspólnie posiłków. Każdy w razie potrzeby brał sobie coś do jedzenia z kuchni.

- Przypuszczalnie chcą, żeby ich zostawić w spokoju - wyjaśniłam.

Tata pokiwał głową i wziął duży łyk soku.

- Ta rodzina jest w żałobie - rzekł. - Nie powinnaś tu być. Spakujemy twoje rzeczy i pożegnasz się z nimi. Potem wyjeżdżamy.

- Nie wiem - wymamrotałam, patrząc na żółty parasol i próbując się zastanowić. - To nie w porządku. Tak jakbym uciekała.

- Uciekała? - powtórzył tata zaskoczony. - Od czego?

„Od winy”, pomyślałam. Najpierw uciekałam od odpowiedzialności. Wszyscy uciekliśmy od odpowiedzialności. A to, co się potem wydarzyło, przywiązało mnie do tej rodziny. Byłam teraz jedną z nich. Tak, po raz pierwszy naprawdę byłam członkiem rodziny, jak od dawna pragnęłam.

Nie odpowiedziałam. W milczeniu siedzieliśmy obok siebie w małej plamce cienia pod parasolem i ogarnialiśmy wzrokiem fiord, przez który przepływały żaglówki różnej wielkości. Lekka bryza bawiła się frędzlem parasola, a przez otwarte drzwi czuliśmy cytrusowy zapach

geranium na kuchennej ławie.

- No. Najlepiej będzie, jak się spakujesz, Ulriko. Chciałbym powiedzieć kilka słów Åkemu i Karin, ale jeśli uważasz, że nie wypada... Zadzwoń do nich innym razem. Możesz się przecież sama pożegnać. Czekam w samochodzie. - Tata wstał i wszedł do środka.

Kiedy wchodziło się ze słonecznej werandy, dom wydawał się zupełnie ciemny. Byłam tak oślepią, że nie od razu zauważyłam, iż ktoś stoi w przejściu między kuchnią a przedpokojem. Wzdrygnęłam się z przerażenia, gdy poczułam silny uścisk na ramieniu. Po chwili zorientowałam się, że to Anne-Marie.

- Nie jedź. Proszę, nie jedź. Nie wiem, co zrobię, jeśli pojedziesz - wyszeptęła.

Teraz lepiej ją zobaczyłam. Była nieumalowana, potargana i miała na sobie tylko majtki i poplamionę koszulkę. Wyględała na duzo młodszą. Najwyraźniej stała tam w ciemności, słuchając mnie i taty przez otwarte drzwi werandy. Objęłam ją i pogładziłam po długich, poplątanych włosach.

- Zostanę, jeśli chcesz - powiedziałam.

Tata wycofał się dyskretnie w przedpokoję. Widziałam go ponad ramieniem Anne-Marie w nikłym świetle sączącym się przez rolety. Rozciągał mięśnie szyi i obserwował paznokięc kciuka. Podeszłam do niego.

- Nie mogę teraz wyjechać - oznajmiłam.

Pokręcił pośpiesznie głowę.

- Nie, nie. Skoro tak mówisz. Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie.

Odwrócił się w stronę Anne-Marie i usiłował coś powiedzieć.

„Przykro mi” nie było odpowiednie, a wszystko, co miało coś wspólnego z nadzieją, też wydawało się niewłaściwe.

- Jeśli Ulrika stanie się dla was kłopotliwa, odeślijcie ją do domu. Pozdrów ode mnie rodziców. Rozumiem, jak się teraz czujecie - dodał, choć oczywiście nie mógł tego rozumieć.

Stałyśmy obok siebie w ciemnym korytarzu i słuchałyśmy, jak tata zapala samochód i odjeżdża. Potem weszłyśmy razem na poddasze i położyłyśmy się na niepościelonym łóżku Anne-Marie, obejmując się ramionami. Zasypanyśmy w dusznym, gorącym pokoju i dopiero gdy zapadałam w sen, poczułam, że policzek Anne-Marie opiera się o mój, a jej blond włosy zwisają mi na czole i opadają na twarz.

Lipiec tego lata był upalny. We wszystkich oknach spuszczone pozółkle rolety. Mieszkańcy domu poruszali się po pokojach w gęstym żółtym półmroku, sunęli obok siebie w milczeniu jak ryby w mętnym akwarium. Od morza słyhać było silniki motorówek.

Nic się nie działo. Ratownicy przestali się odzywać. Gazety straciły zainteresowanie. Mai nie było. Ani martwej. Ani żywej. Po prostu jej nie było. Znajdowaliśmy się w próżni. Nie mogliśmy ani opłakiwać, ani się cieszyć. Zawiesiliśmy się, pracowaliśmy na zwolnionych obrotach, odłożyliśmy swoje uczucia. Kwaskowaty zapach geranium wypełniał dolne piętro i mieszał się ze smrodem gnijących resztek jedzenia. Wszędzie stały niepozmywane szklanki, puszki po piwie i butelki po napojach.

Karin siedziała skulona w fotelu bujanym. Nad nią na ścianie wisiało czarno-białe powiększone zdjęcie Mai w wianku świętojańskim na głowie. Åke zamknął się w pracowni i pił. Lis spędzała większość czasu u Stefana. Czasami pojawiali się autem taty Stefana z jedzeniem ze sklepu ICA w Hallvikshamn, grillowanymi żeberkami i kurczakami, truskawkami, szynką, warzywami na sałatkę, jedzeniem, które nie wymagało wysiłku. Jens zniknął gdzieś na swoim motorowerze i wracał w nocy albo następnego dnia.

Tor i Sigrid, rodzice Åkego, siedzieli na ogół na drugim piętrze. Gdy schodzili na dół po skrzypiących schodach, żeby o stałych porach przygotowywać swoje posiłki, zawsze byli razem. Jeśli wchodziłam wtedy do kuchni, prosili, żebym zjadła z nimi, a ja zawsze odmawiałam. Starsi państwo jako jedyni odżywiali się normalnie. Obierali ziemniaki, mieszały w garnkach, jedli, zmywali i zmiatali, rozmawiając zniżonymi głosami, wykonywali swoje zajęcia ramię w ramię. Potem razem wchodzili po schodach i ostrożnie zamykali drzwi do swojej sypialni. Miałam wrażenie, że tych dwoje jest podporą domu. Bez ich spokojnej obecności wszystko by się rozpuściło i spłynęło w nierzeczywistość.

W pomieszczeniu pod schodami na poddasze Anne-Marie znalazła stosy starych roczników „Fantoma” i „Komiksu” i przyniosła je do naszego pokoju. Teraz spędzała dni na łóżku, czytając w majtkach i brudnej koszulce, z komiksami porzucanymi na materacu. Wpełzała w obrazkowe opowieści jak w bezpieczną norę, a kiedy zeszyt się kończył i musiała wracać do własnego świata, nie patrząc, jedną ręką chwytiała nowy, a drugą odkładała stary. Wydawało mi się, że każdą gazetkę czyta wielokrotnie.

Złączyliśmy łóżka w jedno podwójne. Nocami czułam, jak kartki komiksów przylepiają się do mojego wilgotnego od potu ciała. Czasami Anne-Marie przysuwała się blisko i przywierała do mnie, mocno i lękliwie.

Któregoś wieczoru leżałyśmy na swoich łóżkach w ciszy, nie odzywając się. Zaczęło się ściemniać, ale nikt już nie zapalał lamp. W ciągu dnia zamykaliśmy słońce na zewnątrz, a gdy wieczorem nadchodził zmrok, był mile widziany i wyczekiwany. Kiedy nie dawało się już odczytać liter w chmurkach, Anne-Marie odkładała komiks, zamykała oczy i pozwalała, aby jej kontury rozpląwały się w zmierzchu.

Schody na poddasze zaskrzypiały i lekkie pukanie musnęło drzwi, które zaraz potem się uchyliły. Stał w nich Jens, ale nie wszedł od razu, tylko wahał się przez chwilę w ciemności.

- Przeszkadzam? - zapytał cicho.

- Nie, wejdz - powiedziała Anne-Marie.

Ostrożnie, niemal bezgłośnie zamknął za sobą drzwi i usiadł na jednym z dwóch krzeseł pod ścianą. Wyjął harmonijkę ustną i zagrał bluesa. Harmonijka lamentowała i kwiliła w pełnym rozkoszy wałkowaniu bólu, podczas gdy Jens wytupywał stopą takt o deski podłogowe. Anne-Marie pólleżała na poduszce, spokojna, przymykała oczy, miała wyciągnięte ręce i nogi, jak martwa. Tylko jej prawa dłoń się poruszała, prawie niedostrzegalnie uderzając o udo w tym samym rytmie co przytupująca stopa.

Po ostatnim rozwlekłym, wibrującym tonie Jens odłożył harmonijkę na sekretarzyk. Skręcił i zapalił papierosa. Usiadł na krawędzi łóżka, zaciągnął się i podał go Anne-Marie. Uniosła głowę z poduszki i też się zaciągnęła, a potem podała papierosa mnie, mrugając od pachnącego przyprawą dymu.

- Za pierwszym razem nic nie poczujesz - powiedział Jens, kiedy się zawahałam. - To trochę trwa, zanim odnajdzie się w sobie te uczucia.

Podniosłam skręta do ust i krążył tak między nami. Za każdym razem, kiedy ktoś się zaciągał, żar błyskał w ciemności jak czerwone, mrugające oko. Kiedy papieros doszedł do Anne-Marie, a ona potrząsnęła głową, uznałam, że najlepiej będzie też odmówić, chociaż nic nie czułam.

- Czy to nie dziwne, że jesteśmy tą samą rodziną, co wtedy, zanim pojawiła się Maja? - odezwała się nagle Anne-Marie. - Myślę, że jesteśmy całkiem inni, jesteśmy zupełnie inną rodziną. Taką, o jakiej się czyta albo ogląda film.

- Myślę, że zawsze byliście jak ci, o których się czyta albo ogląda film - powiedziałam. - Chociaż teraz to inny film.

„Film, w którym gram ja”, pomyślałam.

Okno było otwarte i ćmy wpadały z głuchym odgłosem na zewnętrzną stronę rolety, miękko i z szelestem. Papieros zrobił się tak mały, że Jens nie mógł go utrzymać. Zaciągnął się ostatni raz i zgasił go o podeszwę. Potem zdjął buty i koszulkę, którą zwinął w poduszkę, i położył się obok nas. Leżeliśmy, nic nie mówiąc. Od czasu do czasu słyszeliśmy motorówkę brzęczącą na morzu, głucho i jednostajnie jak trzmiel.

- Myślałem o tej nocy, to znaczy o nocy świętojańskiej - odezwał się Jens po chwili. - Ptaki były jakieś dziwne, co nie?

- To przecież ptasia wyspa - powiedziałam. - Ptaki są pewnie nieprzyzwyczajone do

ludzi. Czy tam rzeczywiście wolno rozbijać namioty?

- Prawdopodobnie nie. Ale to przecież tylko raz w roku. Nie dotykamy gniazd ani nic takiego. No i jeździłem tam wcześniej i wtedy jakoś nie miały nam tego za złe. Po prostu stamtąd odlatywały. Ale tym razem były jakieś dziwne. Zostały i kontrolowały nas. Nawet nas zaatakowały.

- To przecież dlatego, że byliśmy od strony otwartego morza. Mają tam swoje gniazda, sam tak mówiłeś - zauważyłam.

- Podobnie przy namiocie - powiedziała Anne-Marie. - Chociaż wtedy o tym nie myśleliśmy. Ptaki siedziały wszędzie na skałach. Teraz sobie przypominam.

- Ale czy tak nie jest zawsze? - zapytałam. - Czy ptaki zawsze nie są w pobliżu? Rybitwy krążą w powietrzu, mewy siedzą na skałkach, edredony pływają przy łodziach i pomostach? Przecież zawsze mamy je wokół siebie, prawda?

- Tak, to prawda - zgodził się Jens. - Ptaki to doskonali szpiedzy. Zawsze ma się je wokół siebie, ale nigdy się o tym nie myśli. To dlatego Odyn miał dwa kruki jako zwiadowców.

Przypomniałam sobie mewę srebrzystą siedzącą na skałce, kiedy ja i Jens leżeliśmy w śpiworze. Widziałam ją przed sobą całkiem wyraźnie i nie byłam pewna, czy to naprawdę wspomnienie, czy coś innego. Jasne, lodowate oko, wpatrujące się we mnie. Krzyk, przez który poczułam, jakbym się unosiła. Nagle zdałam sobie sprawę, że to samo dzieje się teraz, kiedy o tym myślę. Znajdowałam się dziwnie odrobinę wyżej.

- Człowiek się jakby wznosi - powiedziałam zaskoczona.

- Można tak pewnie powiedzieć, tak - zaśmiał się Jens.

- Dlatego mówią na to odlot - dorzuciła Anne-Marie.

Jens usiadł i znów zaczął grać na harmonijce, a my leżałyśmy w ciemności i słuchałyśmy. Czulałam, jak dźwięki poruszają się w moich myślach niczym narzędzie w materiale i coś z nich robią, coś namacalnego, czego można niemal dotknąć. Przez chwilę wydawało mi się, że ze sobą rozmawiamy, że wszyscy troje prowadzimy bardzo ciekawą rozmowę i że chcę powiedzieć coś ważnego, ale gdy szukałam słów, zdałam sobie sprawę, że wcale nie rozmawiamy. To tylko tułająca się we mnie muzyka. Anne-Marie spała tuż obok, Jens sobie poszedł, ale muzyka nadal żyła w mojej głowie.

Ja też zasnęłam i śniłam cudowny żółto-różowy sen, w którym Anne-Marie i ja siedziałyśmy blisko siebie na dziobie łodzi ze stopami za burtą. Mknęłyśmy przez morze w zachodzącym słońcu, szybko, ale bezdźwięcznie, ze stopami w kaskadzie różowo-czerwonej wody.

W nocy obudziłam się i zobaczyłam Anne-Marie śpiącą z dłonią pod policzkiem. Nadal panował nastrój ze snu. Uczucie bycia w ruchu, jakbyśmy posuwały się do przodu, napędzane bezgłośnie siłą.

Kiedy się znowu obudziłam, w pokoju wszystko było szare, smutne i zupełnie nieruchome.

Następnego dnia Eva wróciła z Izraela. Przyjechała z zewnątrz, do tego domu o zaciągniętych roletach. Stała tak z plecakiem opartym o nogę, opalona, piegowata i w kolorowej chustce na brązowych włosach. Opuściła dom, w którym okna i drzwi na ogół były otwarte, gdzie schody wciąż skrzypiały od bieganiny i gdzie przewijali się goście. Powróciła do domu, który zamarł, ludzie siedzieli bez ruchu w żółtawym półcieniu, podobni do prehistorycznych owadów uwięzionych w bursztynie. Opuściła swój i Lisy pokój wysprzątany i czysty, ze świeżymi kwiatami i rozpostartymi na łóżkach narzutami we wzór jak na porcelanie, a po powrocie zobaczyła piekło pozwijanych, brudnych prześcieradeł, komiksów, puszek po coca-coli i siatek z niedojedzonymi, pleśniejącymi zeberkami. To najpierw przyszło mi do głowy, kiedy stała przy schodach i nas wołała. Usiadłam na łóżku, spojrzałam na ten cały śmietnik i pomyślałam: „Mój Boże, zniszczyliśmy jej dziewczęcy pokój”.

Ale Eva nawet nie weszła do tego pokoju, który kiedyś należał do niej i Lis, a teraz był zamieszkały przeze mnie i Anne-Marie. Urządziła się w domku dla gości. Wniosła tam swój plecak i rozwinęła na łóżku śpiwór, jakby nadal była wolontariuszką w kibucu.

Potem próbowała porozmawiać z Åkem. Słyszałam, jak przez dłuższą chwilę łomocze w drzwi do jego pracowni. Nie wiem, czy to dlatego, że był zbyt pijany, by się pokazywać córce, czy po prostu spał, ale jej nie otworzył. Patrzyłam z okna na poddaszu i widziałam, jak Eva stoi pod pracownią, a potem poddaje się, osuwa na ziemię i rozpaczliwie rwie trawę, obca we własnej rodzinie. Dziwnie tak wyjechać na kilka tygodni, a po powrocie zastać wszystko zmienione. Jednej siostry nie ma, za to jest inna.

Ale Eva przywiozła ze sobą jakąś siłę. To ona przygotowała obiad i zgromadziła nas na wspólnym posiłku na werandzie. Opowiadała o swojej pracy w kibucu, o masie chwastów na polu bawełny i o tym, jak ze znajomym Anglikiem pojechała autostopem do Eilat i rzeczywiście udało jej się rozniecić przy stole jakąś rozmowę. Ale tego samego wieczoru zburzyła wszystko, proponując, abyśmy pojechali na Kannholmen i uczcili pamięć Mai minutą ciszy. Nikt nie chciał brać w czymś takim udziału. Åke opuścił pokój, a Karin udała, że tego nie słyszała.

Przez całe lato paliliśmy marihuanę, Jens, Anne-Marie i ja. Nie wiem, skąd Jens ją brał. Zawsze byliśmy we trójkę i nikogo w to nie wtajemniczyliśmy.

Mają odnaleziono w piątek czwartego sierpnia.

Rolf i Ulla Magnusson wypłynęli łodzią razem ze swoim najstarszym synem Reinem, żeby zarzucić sieć. Był spokojny i pogodny wieczór. Dochodziła ósma, gdy wyruszyli, i może kwadrans po ósmej, kiedy po raz pierwszy mijali Plażę Muszli. Nic nie zwróciło ich uwagi, gdy tamtędy przepływali, patrzyli przed siebie w stronę kolejnej zatoki, gdzie zamierzali zarzucić sieć, i prowadzili ożywioną rozmowę. Może światło słoneczne padało w inny sposób, zmieniało się dość szybko tuż przed zachodem. Zarzucili swoją sieć tam, gdzie zawsze, i dopiero w drodze powrotnej, kiedy ponownie mijali Plażę Muszli, zobaczyli ją.

Tuż za krańcem plaży, tam gdzie skała niemal pionowo wpada do wody, na półce skalnej stało dziecko. Gdyby ostatnie promienie słońca nie padały przypadkowo akurat tu, być może wcale nie zwróciliby na nią uwagi. Z ciemną skórą, czarnymi włosami i w brązowym kombinezonie niemal stapała się ze skałą.

Zauważyła ją Ulla Magnusson. Pomyślała, że coś się jej przywidziało.

- Przecież nikt tam nie mógł stać, ani dziecko, ani dorosły - mówiła, gdy potem opisywała swoją reakcję.

Patrząc z łodzi, uznała, że w tym miejscu nikt nie może się znajdować. Skała wyglądała na płaską jak ściana i wydawało jej się, że stopy dziewczynki nie mają oparcia, tylko unoszą się w powietrzu. Ale kiedy zwróciła na to uwagę męża i podплыnęli bliżej, zobaczyli, że dziewczynka stoi na wąskiej półce, szerokiej akurat na tyle, aby mogły się tam zmieścić jej małe stopy. W pobliżu nie było widać nikogo, ani na plaży, ani na szczycie skały, ani w łódce.

- Strasznie wyglądało takie małe dziecko w tak niebezpiecznej sytuacji. Jeden krok w złym kierunku, jeden nieostrożny ruch i mogła runąć prosto do morza. Tak, na to byliśmy przygotowani. Żeby skakać do wody i ratować ją przed utonięciem, o tym rozmawialiśmy, kiedy siedzieliśmy w łodzi, bo wydawało nam się, że może spaść w każdej chwili - mówiła Ulla.

Ale dziewczynka nie spadała. Stała bez ruchu, zupełnie bez ruchu, jak rzadko które dziecko. Odchyłała się w tył do skały i spoglądała w dół na rodzinę w łódce.

Rolf wyłączył silnik łódki, która podskakiwała teraz tuż przy skalnej ścianie. Wszyscy troje krzyczeli, żeby zwrócić uwagę rodziców dziewczynki na niebezpieczeństwo, w razie gdyby znajdowali się w pobliżu. Nikt się jednak nie pokazał i zrozumieli, że będą ją musieli

ściągnąć sami.

Wtedy zdali sobie sprawę z prawdziwej beznadziejności tej sytuacji. Do półki, na której stała dziewczynka, nie prowadziła żadna droga. Skala była równie stroma pod nią i nad nią. Jak tam weszła? Spadła z krawędzi u góry i jakimś cudem wylądowała na skalnej półce? To wydawało się nieprawdopodobne, półka była zbyt wąska.

Reine zszedł na ląd. Zeskoczył z dziobu do płytkiej wody przy ławicy małży i popędził przez plażę, przez zarośla jałowca i po skale do góry. Ostrożnie zbliżał się do krawędzi, badał stromą ścianę, która oddzielała go od dziewczynki na dole, i musiał stwierdzić, że półka jest dokładnie tak niedostępna, jak wyglądała z dołu od strony wody.

Tymczasem Rolf i Ulla przywołali przepływającą obok większą łódź motorową z nadajnikiem radiowym na pokładzie. Szybko przybyła załoga ratownicza, ale im także trudno było dotrzeć do dziewczynki. Gdy zapadł zmrok, mała wciąż stała na półce.

Cała flota większych i mniejszych łodzi turystycznych zebrała się przy Plaży Muszli, gdzie stały na kotwicy albo wykonywały małe okrążenia, śledząc dramat na skale. Światła pozycyjne odbijały się w czarnej wodzie. Silniki warczały, tworząc na gładkiej powierzchni wiry i fale. Ludzie krzyczeli do siebie i do dziewczynki, która stała jak sparaliżowana, jakby przyciśnięta do ściany przez silne światła reflektorów.

Na skale zebrała się duża gromada ludzi. Wieść o tym, że przy Plaży Muszli znaleziono dziecko, rozeszła się szybko. Stałam tam razem z rodziną Gattmanów i tłoczyłam się z innymi między kępami wrzosów. W świetle latarki rozpoznawałam wiele znanych twarzy. Byli to ci sami ludzie, których widywało się wokół słupa świętojańskiego i na zabawie z okazji pełni lata w szkole pod koniec lipca. Ta sama nedorzecznie różnorodna grupa letników i miejscowych, zjednoczonych na jeden wieczór, to samo poczucie wspólnoty, oczekiwania i podniosłości. To było absurdalne.

Wszyscy wstrzymali oddech, gdy w końcu udało się opuścić strażaka na półkę. Z dziewczynką w ramionach został wciągnięty na szczyt skały. Gdy przeciągnięto ich przez krawędź, wśród ludzi na skale, na plaży i w łodziach wybuchała radość.

Karin objęła Maję, płacząc i dygocząc, a potem trzymała ją na odległość wyciągniętych ramion, żeby się jej przyjrzeć. Patrzyła i patrzyła na to dziecko, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom. Cud, o który prosiła, wydarzył się. Odzyskała córkę z zaświatów, całą i zdrową. Głaskała małe ciało, ciemną twarz, ręce, włosy, jakby świadectwo jej oczu nie wystarczało i jakby musiała upewnić się także palcami.

- Czy to ty, Maju? - pytała raz po raz.

I z całą pewnością była to Maja. Ponad wszelką wątpliwość. Zupełnie się nie zmieniła.

Może właśnie dlatego Karin powątpiewała. Jeśli dziecko znika na wysepce na pełnym morzu i zostaje odnalezione na niedostępnej półce na stałym lądzie sześć tygodni później, to oczekuje się u niego jakiejś zmiany. Że będzie brudne, głodne, ranne, w szoku, wszystko, co tylko możliwe - poza jednym: że będzie niezmiennione.

Wśród tego chaosu strażaków i policjantów, letników i miejscowych, huczących silników motorówek, rozkrzyczanych głosów i omiatających świateł latarek stała Maja, spokojna i cicha. Miała na sobie ten sam brązowy welurowy kombinezon, w który była ubrana, kiedy zaginęła. Nie miała najmniejszej nawet plamki. Była bosa, tak jak w noc świętojańską. Starannie zawiązane kucyki sterczały wysoko nad uszami. Włosy z tyłu głowy trochę się potargały w miejscu, które opierała o skalną ścianę, ale przedziałek pozostał prosty. Nie schudła i nigdzie nie było widać żadnych ran ani uszkodzeń. Wyglądała dokładnie tak jak wtedy, gdy widzieliśmy ją po raz ostatni.

I chociaż Karin prosiła właśnie o to - „Boże, oddaj mi moje dziecko, nietknięte i nienaruszone” - jej mózg wydawał się nie akceptować faktu, że te modlitwy zostały wysłuchane. Przez cały czas jej ręce wędrowały po ciele Mai. Rozsuwała zamek i opuszczała kombinezon, żeby odnaleźć ewentualne obrażenia. Pocierała dłonie dziewczynki i patrzyła głęboko w jej czarne oczy. Szukała i szukała czegoś niedobrego, piętna, którego wcześniej nie było.

I wreszcie coś znalazła. Tuż nad wiśniowoczerwonymi kulkami na lewym kucyku leżał śnieżnobiały puszek. To wszystko.

Zebrałiśmy się w kuchni, żeby szybko znaleźć Mai coś do jedzenia. Były tylko chrupki serowe, herbatniki czekoladowe, jogurt i pół opakowania lodów. Karin nakryła dla niej i wszyscy usiedliśmy wokół stołu, żeby popatrzeć, jak je. Maja posłusznie posmakowała wszystkiego, ale nie wydawała się głodna. Ake zaniósł ją do sypialni i położył w łóżku swoim i Karin.

Rodzeństwo Gattman i ja siedzieliśmy przy stole jeszcze godzinę, rozmawiając. Wszystko było takie przytłaczające. Nie mogliśmy w to po prostu uwierzyć. Że wróciła. Anne-Marie wyznała, że każdego wieczoru modliła się o to do Boga, i uznała odnalezienie Mai za dowód, że Bóg naprawdę istnieje i wysłuchuje modlitw.

Świtało, gdy w końcu poszliśmy spać. Już miałam wejść do pokoju na poddaszu i położyć się obok Anne-Marie, kiedy usłyszałam, jak na dole otwarte drzwi werandy uderzają w przeciągu od porannej bryzy. Zeszłam, żeby je zamknąć.

Ptaki zaczęły swój koncert o wschodzie słońca, a skały po drugiej stronie fiordu

zabarwiły się na różowo. W drodze powrotnej przeszłam przez salon. Drzwi do pokoju Åkego i Karin były otwarte. Leżeli skuleni, a pomiędzy nimi Maja. Kołdry obleczone powłóczką w duży wzór Marimekko podciągnęli wysoko i owinęli ochronnie wokół siebie. Ciało obojga falowało lekko w spokojnym rytmie snu. Ale w świetle brzasku widziałam białka Mai połyskujące w ciemnej twarzy na poduszce. Nie spała. Leżała nieruchoma i cicha, patrzyła przed siebie.

Gdy weszłam do pokoju na poddaszu, stwierdziłam, że Anne-Marie rozsunała nasze łóżka i każde stoi znów pod swoją ścianą.

Kilka godzin później wstali Tor i Sigrid. Zazwyczaj budzili się jako pierwsi, robili sobie śniadanie i jedli je na werandzie. W czasie nocnego zamieszania spali i nikt nie pomyślał, żeby ich obudzić, więc nie mieli pojęcia, że Maja wróciła.

Wyobrażam sobie, jak siedzieli w porannym słońcu pod żółtym parasolem, Tor w słomkowym kapeluszu, Sigrid w którejś ze swoich obszernych batikowych sukni. Podczas gdy my głęboko spaliśmy, oni mieszały herbatę w filiżankach, rozbijali czubki jajek na miękko i czyścili z ości sardele na talerzu. Tor szczypał palcami małe kawałki kanapki i rzucał je przez balustradę werandy na skałę, gdzie chwytały je mewy. Sigrid tego nie lubiła i próbował się powstrzymywać, ale kiedy był roztargniony, robił to mimowolnie.

- Przyniosłeś gazetę? - zapytała.

Gdy Sigrid przygotowywała śniadanie, Tor zazwyczaj przynosił ze skrzynki na listy gazetę. Po zniknięciu Mai ten zwyczaj dołożyli do pozostałych. Wcześniej to ona pędziła po gazetę.

- Nie, a chcesz?

Wstał, ale Sigrid położyła mu rękę na ramieniu.

- Usiądź. Możesz przynieść później.

W tej samej chwili Maja weszła na werandę z gazetą w ręce. Położyła ją na stole obok filiżanki Tora i spojrzała na niego swoim dziwnym wzrokiem bez wyrazu.

On też na nią spojrzał, uczynił usilną próbę, żeby wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na krzesło, ciężko i niezdarnie. Chwycił się krawędzi stołu tak gwałtownie, że filiżanka przewróciła się, a herbata pociekła na gazetę, na spodnie bermudy i żyłaste nogi. Maja przestraszyła się, popędziła do domu i po schodach na poddasze.

Gdy się obudziłam, siedziałam skulona na skraju łóżka mojej przyjaciółki. Podskakiwała lekko, żeby kołysanie sprężyn obudziło Anne-Marie, a kiedy się jej udało, zeskoczyła zwinnie na podłogę, stanęła i czekała.

Sigrid i Karin rozmawiały w przedpokoju cicho i z ożywieniem. Tor wciąż siedział na

krześle na werandzie i zanim do niego wyszliśmy, osunął się na stół. Słomkowy kapelusz spadł mu z głowy, a twarz spoczywała na zamoczonej gazecie. Miał otwarte oczy, ale jego spojrzenie było dziwne i nie odpowiadał, kiedy do niego mówiliśmy.

Karin zadzwoniła na pogotowie. Åke i Sigrid pojechali z nim do szpitala w Uddevalli. Około południa Åke zadzwonił i powiedział, że Tor zostaje. Miał wylew.

Karin obwinała się za to, że nie uprzedziła Tora i Sigrid. Ale kiedy późnym wieczorem otrzymaliśmy informację o dziewczynce na skalnej półce, nikt tak naprawdę nie przypuszczał, że może chodzić o Maję. Karin i Åke nie chcieli rozbudzać w starszych fałszywych nadziei. A kiedy potem Maja powróciła, zrobił się już środek nocy, a wszyscy byli oszołomieni i zmęczeni. Sądziliśmy, że dziewczynka jest tak samo zmęczona, że będzie spała tak długo jak my. Zapomnieliśmy, że ma minimalną potrzebę snu, że zawsze, jakkolwiek późno się położy, budzi się o wschodzie słońca i pędzi na dwór. Pamiętałam jej lśniąca białka oczu w ciemności świtu i pomyślałam, że tej nocy pewnie wcale nie spała. Leżała tylko między ciałem Åkego a Karin, nieruchoma i wyczekująca, aż usłyszała, jak schody skrzypią pod krokami dziadków.

Kilka dni później Tora przeniesiono do szpitala Karolińska, a Sigrid pojechała do ich mieszkania przy ulicy Valhallavägen, aby móc go codziennie odwiedzać. Miał sparaliżowaną prawą stronę ciała i stracił mowę. Opiekujący się nim lekarz był synem jednego z przyjaciół Tora i Sigrid. W długiej rozmowie z Åkem wyjaśnił, że Tor w zasadzie mógłby odzyskać sprawność, ale ponieważ ma osiemdziesiąt dwa lata, nie należy robić sobie zbyt dużych nadziei.

Powrót Mai nie stał się smacznym kąskiem dla prasy, jak można się było spodziewać. Karin i Åke wyciągnęli naukę z inwazji po jej zniknięciu. Karin, która całe życie przepracowała w prasie codziennej, po raz pierwszy doświadczyła, w jak odmienny sposób działają dziennikarze prasy popołudniowej, i dała się im zaskoczyć. Tym razem miała się już na baczności. Drzwi były zamknięte na klucz, wtyczka telefoniczna wyciągnięta, a wszyscy w rodzinie musieli złożyć obietnicę, że nie będą rozmawiać z dziennikarzami.

Policjanci mówili niewiele. Udzielali informacji zbyt zwięzłych i mało dramatycznych, żeby nadawały się na pierwsze strony i rozkładowki. Pojawiły się tylko krótkie artykuły na wewnętrznych stronach gazety, informujące po prostu, że Maja odnalazła się w dobrym stanie, a poszukiwania zakończono. Ani słowa o tym, gdzie i jak ją odnaleziono.

Ta wiadomość pozbawiała wcześniejsze zniknięcie dramatyizmu. Ludzie odebrali to chyba tak, że gazety przesadzały, że nigdy nie chodziło o prawdziwe zaginięcie, a jedynie o jakiś spór o sprawowanie władzy rodzicielskiej, kłótnię rodzinną albo małżeńską, w którą zostało wmieszane dziecko.

A lato płynęło dalej. Badanie lekarskie wykazało, że Maja nie odniosła żadnych obrażeń ani nie została wykorzystana seksualnie. Była niema, niedostępna, wymykająca się i natarczywa w dziwnym zestawieniu, czyli taka jak zwykle. Może tylko stała się troszkę bardziej smutna, zamyślona.

Początkowo Karin poświęcała jej dużo uwagi. Siedziała na biało-niebieskiej sofie w salonie, a Maja stała przed nią. Pytała, pocieszała, głaskała dziewczynkę po policzku, obejmowała ją. A mała stała nieruchomo i pozwalała się obejmować, przeczekiwała Karin z pustym, znudzonym spojrzeniem. I kiedy kobieta nie miała już siły, kiedy prostowała się ze zrezygnowanym uśmiechem i westchnieniem, Maja wybiegała, do ogrodu albo do góry na poddasze do Anne-Marie.

- Jak mam ją pocieszyć, jeśli nie wiem, co się jej przydarzyło? - pytała Karin.

Siedzieliśmy w kuchni i piliśmy herbatę. Karin położyła Maję w pokoju swoim i Åkego.

- Ona nie potrzebuje pocieszenia. Maja nigdy nie chciała pocieszenia - wyjaśnił Jens.

- Była u kogoś, to przecież jasne - ciągnęła Karin. - U kogoś, kto dawał jej jedzenie, czesał ją i prał jej ubrania.

- U kogoś, kto postawił ją na półce piętnaście metrów nad wodą i zwiął - powiedział Åke. - Świr. Wszystkie gazety umieściły jej zdjęcie na pierwszej stronie. Ten człowiek musiał wiedzieć, że jej szukamy.

- Ktokolwiek to był, on czy ona, dbał o nią - mruknęła Karin.

Zdjęła watowany pokrowiec z dzbanka z herbatą i dołała tym, którzy chcieli dolewki. W tej samej chwili Lis zauważyła leżący na stole zwinięty kawałek papieru. Nikt wcześniej nie zwrócił na niego uwagi, bo stał na nim dzbanek.

- Nie mogłam znaleźć korkowej podstawki - wyjaśniła przeprasząc Eva.

Lis rozwinęła poplamiony herbatą papier i przyglądała się mu ze zmarszczonym czołem. Karin nachyliła się do niej i poprawiła na nosie okulary.

- To rysunek Mai - powiedziała. - Nadal rysuje, to chyba oznaka zdrowia. Siedziała na dworze na schodach i długo rysowała. Hmmm. Malutkie, jak zwykle.

Wszyscy przechyliliśmy się ponad stołem w stronę kartki papieru, którą Lis trzymała pod lampą.

- Co to takiego? - zastanawiałam się.

- Ptaki - rzekł Jens i wskazał palcem. - Nie widzicie? Dziób. Skrzydła. Lecące ptaki.

- Ale dziwne. Czekać, zobaczę, czy inne kartki leżą jeszcze na schodach.

Karin wyszła do przedpokoju i wróciła z naręczem zmiętych papierowych kulek.

- Znalazłam. Zgniotła je i wetknęła między poręcz a ścianę. Karin odsunęła filiżanki, położyła papierowe kulki na stole i rozwinęła. Wszystkie przedstawiały to samo. Małe sylwetki ptaków, wysokie na centymetr lub dwa, w rzędach, wędrujących ukośnie do góry od lewej do prawej strony kartki. Czasami opuszczały swoje szeregi, ścieśniały się, zbierały w wirującą kompozycję z rozczapierzonych skrzydeł i dziobów.

- Czekaj - powiedziała Karin. - Pod łóżkiem ma więcej kartek. Zakradła się cicho do pokoju i powróciła z plikami zakurzonych arkuszy papieru.

- Mój papier maszynowy. Jak ona się do niego dobrała? - zapytał Åke.

Karin rozłożyła je na stole pod lampą. Każdą kartkę wypełniały te same maleńkie atramentowe sylwetki. Ptaki stojące, ptaki wysiadujące, fruujące ptaki. Ptaki w kłębiących się stadach. Tysiące ptaków.

KRISTINA

Nadszedł koniec kwietnia, morze było ciche i lśniące. Wybrała się na poszukiwanie skarbów. Szła powoli po plaży z koszykiem pod pachą. Nic w nim nie miała.

Kiedy przed rokiem zaczynała swoje wyprawy poszukiwawcze, koszyk szybko się zapelniał. Wszędzie widziała coś ładnego i godnego uwagi, wszystko zabierała ze sobą. Teraz zrobiła się bardziej wybredna. Odwracała muszlę i pozostawiała ją na miejscu. Trącała czubkiem tenisówki szczypiec kraba. Nie, nie wszystko, co wyglądało osobliwie, było osobliwe. I wiele rzeczy wyglądało pięknie właśnie tam na plaży, ale stawały się nieciekawe, kiedy trafiały do jej domku.

Szukała rzeczy, w których tkwił duch zwierzęcia albo rośliny. One miały głos. Kiedy trzymała je w dłoni i obracała, czasami do niej przemawiały. Także kamienie mogły mieć ducha, także one potrafiły mówić i to odkryła niedawno. Ich słabe, mamroczące głosy odkładały się tak głęboko w jej duszy, że aby je usłyszeć musiała być zupełnie wolna od myśli i uczuć.

Przedmioty, które zebrała, nie miały już własnego życia. Były pozostałościami, wspomnieniami. Pozostawały tylko ich głosy. A głosy chciały, aby coś z nimi zrobiła. Chciały, aby je zespoliła, pomalowała, aby powstał nowy kontekst. Tworzyła z nich istoty, a ich nowe życie było spokojne, tajemnicze i skoncentrowane. Istoty kochały ją jako swojego stwórcę, a ona kochała je jako swoje dzieła.

Ale dzisiaj wszystko było ciche, jej koszyk zaś pusty. Podeszła do skały na krańcu plaży. Usiadła na otoczonym wydmuchrzycami kamieniu i spojrzała na wyspy. Żałowała, że nie może się tam dostać. Były tam plaże i skały, których nigdy nie odwiedzała, przedmioty, które mówiły, a ona nie mogła ich usłyszeć. A za wyspami znajdowało się, tak przypuszczała, otwarte morze.

Właśnie wtedy przyplłynął kajakiem chłopak. Pojawił się tak nagle za skalnym cyplem, całkiem bezdźwięcznie, jakby nie był człowiekiem. Ludzi zawsze słyszać, kiedy się zbliżają. Słyszać ich kroki, głosy, oddech, szelest ich ubrań. Nawet jeśli próbują się skradać, zdradza ich otoczenie. Ptaki, drzewa, trawa. Wszystko w naturze się zmienia, kiedy przychodzi człowiek. Ale ten chłopak się po prostu ukazał, jak postać, którą nagle zauważa się na obrazie. Wydawał się niemal nierzeczywisty.

Kierował się w stronę plaży. Przesuwał się, silnie uderzając wiosłami. Ciął powierzchnię wody, płynąc prosto na Kristinę, a woda podwajała jego postać. Kajak uderzył

o dno. Chłopak wyskoczył i wciągnął go na plażę. Siedziała cicho w wydmuchrzycach, żeby jej nie zobaczył. Z zachwytem patrzyła na wąską, białą łódkę. Tylko cienka skorupa, pusty strąk. Że też można przesuwac się po wodze czymś tak prostym.

Gdy tylko wydostał się z kajaka, znów stał się człowiekiem. Jego kroki chrzęściły w piasku, starł pot z czoła i prychnął. Ale to bezgłośnie pojawienie się czyniło go wyjątkowym. Nie czuła ani strachu, ani niechęci.

Przemówiła do niego, zauważył ją i wzdrygnął się. Miał siedemnaście albo osiemnaście lat. Był ubrany w czerwoną kamizelkę ratunkową.

Zapytała o kajak. Czy trudno się wiosłuje, czy kajaki są drogie i gdzie można je kupić.

Odpowiedział, że to nie takie trudne, gdy się już umie, i jeśli jest zainteresowana, może kupić ten. On wyrusza w podróż i potrzebuje pieniędzy.

- Za ile? - zapytała.

Zrobił grymas, jakby się koncentrował na trudnej operacji obliczeniowej. Potem rozłożył ręce i zaproponował sumę.

Kristina jak błyskawica poderwała się z kamienia i popędziła przez plażę. Zostawiła koszyk.

- Poczekaj tu - krzyknęła przez ramię.

Po pięciu minutach wróciła z żadaną kwotą. Opowiedział, jak powinna wiosłować, a ona objaśniła mu, jak dojść do przystanku autobusowego. Wziął pieniądze i odszedł po skałach. Kiedy uszedł kawałek, zawrócił, zdjął kamizelkę ratunkową i dorzucił do reszty. Oboje zaśmiali się, zaskoczeni tym, jak łatwo zrobili interes.

Pływanie kajakiem okazało się trudniejsze, niż sądziła. Już dostanie się do kokpitu z początku wydawało się prawie niemożliwe. Raz za razem wpadała do lodowatej wody, więc z treningami, które odbywała w zatoce, postanowiła poczekać do czerwca. Ale nagle przyszła fala gorąca i woda zaczęła się powoli nagrzewać.

Kiedy zaczęło się lato, wypływała na dłuższe wycieczki. Zmieniła rytm dobowy i wstawiała o świcie. Trzymała się blisko wybrzeża, przesuwała się wzdłuż skał.

Zaskakiwała naturę w zupełnie nowy sposób. Pojawiała się tuż przy czapli siedzącej na tej samej półce każdego dnia. Czapla napinała wężowatą szyję i spoglądała na nią zdumiona, a zanim zdążyła się przestraszyć i zebrać do ucieczki, Kristina zniknęła. Dla czapli była tak samo nierzeczywista, jak dla niej tamten chłopak. Ludzi także zaskakiwała, ludzi, którzy dobijali łódkami do niedostępnych zatoczek i sądzili, że są zupełnie sami na świecie. Opalali się nago, sikali i kochali się.

Któregoś dnia zobaczyła norkę płynącą jakiś metr od kajaka. Zwierzę spojrzało na nią z ukosa swoimi czarnymi, lśniąco-czarnymi oczami. Kristina odłożyła wiosło i przez krótką chwilę sunęły obok siebie, a norka przez cały czas wlepiła w nią wzrok, przebierając łapami. Nagle po prostu znikła, jakby wytarta gumką.

Do sklepu, zamiast jechać rowerem, płynęła kajakiem. Z braku innego miejsca zakupy trzymała w nogach. Pływała wzdłuż wybrzeża i znajdowała nowe plaże, nowe łąki, nowe skały, a kiedy ruszała z powrotem, często miała ze sobą znaleziska. Kamizelkę ratunkową zostawiała w domu. Używała jej na początku, bo miał ją tamten chłopak, kiedy płynął kajakiem, ale teraz chciała pływać po swojemu. Kilka razy wyobraziła sobie, jak przewraca się, wpada do wody i traci kajak. Ta myśl wcale jej nie przerażała. Walczyć z falami i zimnem, zmęczyć się i w końcu utonąć - nie, nie bała się tego. Byłby to dobry sposób na śmierć, może najlepszy.

Opuściła wybrzeże i przecięła wodę w kierunku najbliższych wysp. Okrążyła je i po ich zewnętrznej stronie zobaczyła, jak morze otwiera się i spotyka z niebem. W oddali widziała wysepki i szkiery.

W spokojny letni dzień w samym środku lata, kiedy upał wibrował ponad morzem i nawet najśłabszy wietrzyk nie marszczył jego powierzchni, włożyła bikini i wyruszyła. Popłynęła do wysp, minęła je i sunęła dalej, ku małym szkierym. Już z daleka słyszała stamtąd krzyk ptaków. Kiedy dopłynęła, odkryła, że łatwo wejść na ląd po pochyłych skałach.

Szkiery stały się jej ulubionym miejscem, nawet jeśli mało było bezwietrznych dni, żeby mogła się tam dostać. Nigdy nie było tam ludzi, tylko ptaki. Tam miały swoje gniazda i tam znajdowała edredonowy puch, który zbierała do torebek. Gdy po takiej wycieczce wracała do domu, zawsze musiała zmywać z kajaka ślady ptasich odchodów.

Lato dobiegło końca, a wrzesień okazał się wietrzny. Jednak na początku października nadeszło kilka bezchmurnych dni, kiedy morze przypominało ciemne szkło, a słońce rzuciło złotawy, pozbawiony ciepła blask. Wykorzystywała te dni, jak potrafiła. Wstawiała o świcie, zabierała ze sobą kanapki i herbatę i wypływała.

Odczuwała niemal niebiańskie szczęście. Rozkoszowała się swoją szczupłą, przypominającą oszczep dolną częścią ciała, bliskością morza i rytmicznym wiosłowaniem. Nie potrafiła zrozumieć, że kiedyś nie miała kajaka. Że zawsze szła na piechotę, ciągnąc ciężkimi nogami po twardej ziemi. Już smuciła się z powodu zimy, która pozbawi ją tego nowego sposobu przemieszczania się. A może będzie mogła pływać dalej? Eskimosi używali przecież tego środka transportu w arktycznym klimacie. Poprzedniej zimy nie było lodu i

może ta też się taka okaże.

Ale po pogodnych dniach nadeszły jesienne sztormy. A kiedy ustały, zrobiło się tak zimno, deszczowo i nieprzyjemnie, że odbyła tylko jedną krótką wycieczkę wzdłuż najbliższych plaż, po czym wniosła swoją łódkę na działkę, umieściła ją na kilku polanach przy ścianie domu i przykryła brezentem.

W zimowe dni miała z kolei dużo czasu na uporządkowanie zbiorów. Jej chata zaczęła coraz bardziej przypominać warsztat z magazynem na materiały do produkcji.

Całą powierzchnię ściany zajmowały własnoręcznie sklecone półki. Na niektórych przechowywała swoje znaleziska. W pudłach leżały posortowane części szkieletów, zęby i rogi różnych zwierząt. Kawalki futra zająca, wełna z owcy i końskie włosie. Skorupy ślimaków i małży. Suszone rozgwieżdżone i jeżowce. Szczypce i pancerze skorupiaków. Pióra i puch. Skorupki jaj. Było tam też drewno z wraków, gałęzie, korzenie, żołądź dębu, kamienie. Suszone rośliny i grzyby. Martwe chrząszcze i motyle. Ptasie gniazda i gniazda os.

Wszystko leżało na swoim miejscu i dokładnie wiedziała, gdzie co jest.

Zaczęła także jeździć do miasta i kupować materiał w sklepikach. W sklepie dla majsterkowiczów małe puszkę z czarną, czerwoną, srebrną i złotą farbą malarską. W sklepie pasmanteryjnym tasiemki i frędzle. W sklepie żelaznym drut. W obuwniczym rzemyki. W spożywczym folię aluminiową. Także te materiały przechowywała w różnych pudłach i kartonach.

Na innych półkach stały gotowe dzieła. Dziwne przedmioty makabrycznie emanujące śmiercią i zagładą, a jednocześnie jakby wibrujące mistycznym, niedostępnym życiem.

Przy oknie stały jedyne meble, których nie spaliła: stół i krzesło. Tutaj siadywała w ciemne wieczory i pracowała. Potem wczłógiwała się do swojego gniazda z kołder i poduszek. Przed zaśnięciem myślała o kajaku, który miał swoje posłanie tak blisko niej. Opatulony w brezent drzemał po drugiej stronie ściany chaty i dzielił jej sny o lecie, morzu i ptakach.

ULRIKA

Od dnia powrotu Mai zostały jeszcze dwa tygodnie wakacji, dwa tygodnie, zanim tata odwiezie mnie do naszej willi w Göteborgu, dwa tygodnie, zanim rozpocznę liceum w zupełnie nowej szkole z nowymi kolegami. A rodzina Gattmanów wyjedzie do siebie, do Sztokholmu. Maja wróciła i wszystko powinno być jak przedtem.

Ale nie było. Coś się zmieniło. Gattmanowie, którzy wcześniej traktowali Maję jak centrum rodziny, teraz niemal ją omijali. Patrzyli na nią powątpiewającym wzrokiem i obchodzili się z nią w nowy, ostrożny sposób. A ona przecież się nie zmieniła. Czasami miałam wrażenie, że właśnie ta jej niezmiennność, ta wręcz niesamowita niezniszczalność stoi wokół niej jak szklany klosz i niewidocznie, lecz niewzruszenie oddziela ją od reszty rodziny

Nadal chodziła jak cień za Anne-Marie i za mną. Wydawało mi się, że Anne-Marie stała się bardziej skrupowana i bardziej przyjazna niż wcześniej. Na ogół pozwalała jej iść z nami i gdy czasem prosiła, żeby nas zostawiła w spokoju, to już nie w formie krótkich komend, ale rozwlekle i starając się ją nakłonić.

Któregoś wieczora widziałam, jak Maja przemierza ogród za Åkem, idącym z samochodu do swojej pracowni z zakupioną w mieście skrzynką Vino Tinto. Szła tuż za nim. Gdy on przystawał, ona też. Spojrzeli na siebie bez słowa. Ruszył znowu, szybciej, a ona tuż za nim. Ostatni odcinek do domku przebiegł, przyciskając do piersi ciężką skrzynkę. Udało mu się otworzyć drzwi łokciem. Zanim wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi, obejrzał się przez ramię. Jego twarz mignęła mi tylko przez sekundę, ale wciąż pamiętam jej wyraz. Bał się Mai.

Karin zapewniała jej jedzenie i opiekę, ale dała sobie spokój z bezowocnym okazywaniem czułości. Szybkie pogłaskanie czarnych, lśniących włosów stało się najdalej idącą pieśczęcią.

My często braliśmy Maję na kolana, kiedy siedzieliśmy w salonie i rozmawialiśmy wieczorami. Siadała bez protestów, układała się na czyjejs piersi jak na oparciu wygodnego fotela i ochoczo pozwalała przekazywać się z rąk do rąk, kiedy ktoś musiał wstać. Teraz siedziała sama na biało-niebieskiej sofie z niewielkim kręgiem pustki wokół siebie.

Przypominała młode zwierzę oddane matce po tym, jak dotknęły go ludzkie ręce. Lękaliśmy się jej, jakby wydzielala zapach obcego gatunku.

Dostała okulary przeciwsłoneczne w oprawkach z różowego plastiku. Jens kupił je dla niej na stacji benzynowej. Były oczywiście kiepskiej jakości. Jedno przyciemniane plastikowe

szkło prawie od razu wypadło z oprawki i nie dało się go ponownie włożyć. Ale Mai bardzo się podobały i nosiła je codziennie w każdą pogodę, w domu i na zewnątrz. Wyglądała dziwnie w tych okularach z prawym okiem za ciemnym szkłem i lewym, które lśniło kontrastującym białkiem w obrębie rażąco różowej oprawki.

Jeżeli Maja miała za złe rodzinie ów dystans, nie pokazywała tego, tak jak i nie pokazywała innych uczuć. Siedziała tak w rogu sofy w swoich jednookich okularach przeciwsłonecznych i rysowała uskrzydłone małe stworzenia.

Kiedy twierdzę, że Maja pozostała niezmieniona, nie mam racji. Tak naprawdę nastąpiła jedna zmiana, prawie o niej zapomniałam. Może nie było to nic nowego, może tylko coś, co właśnie wtedy odkryliśmy, ale zobaczyliśmy to po raz pierwszy kilka dni po jej powrocie.

Kąpaliśmy się przy plaży, Anne-Marie, Maja, Jens i ja. Maja siedziała nago na piasku z wiaderkiem i łopatką, a my jedno po drugim skakaliśmy z pomostu i nurkowaliśmy, leżeliśmy, przebieraliśmy nogami w wodzie i rozmawialiśmy. Od czasu do czasu spoglądaliśmy w stronę plaży na Maję. Nagle upuściła łopatkę, popędziła na pomost i skoczyła. Wpadła z pluskiem do głębokiej wody kilka metrów od nas, znikła na chwilę i zaraz potem jej czarna główka pojawiła się ponad powierzchnią wody. Wierzgając i szarpiąc się, przepłynęła w głębokiej wodzie obok nas i w stronę lądu. Wyszła na plażę, ukucnęła i kopała dalej, a woda skapywała jej z kucyków. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że ledwo zdążyliśmy zareagować.

- Skoczyła z pomostu. Płynęła - powiedziałam zaskoczona.

Nikt wcześniej nie widział, żeby Maja pływała.

- Bo ja wiem, czy płynęła. Raczej wierzyła - stwierdził Jens.

Gdy staliśmy na skraju plaży i dyskutowaliśmy, Maja wstała, wbiegła na pomost i zanim ktoś ją powstrzymał, zrobiła to raz jeszcze. Skoczyła z pomostu i dopłynęła w swój dziwny sposób do plaży. Potem robiła tak za każdym razem, gdy się kąpaliśmy i przyzwyczailiśmy się do tego.

Było ciepło popołudnie. Anne-Marie i ja leżałyśmy na łózkach i rozmawiałyśmy. Pokój na poddaszu znów był wysprzątny i czysty, a w dzbanie na sekretarzyku stały świeże kwiaty. Łóżka wróciły na swoje miejsca.

Długie włosy Anne-Marie, świeżo umyte i rozczesane, opadały na jej nagie ramiona jak kurtyna z jedwabiu. Znowu się opaliła, jej usta lśniły od błyszczycy, pachniała orzeźwiająco i świeżo dezodorantem. Trudno było sobie wyobrazić, że kilka tygodni wcześniej leżała

uczepiona mnie, spocona, z nieumytymi, rozczochranymi włosami i po nocach płakała mi w szyję.

Komiksy znikły. Przypuszczałam, że Karin je wyrzuciła, były zbyt poplamione i zniszczone, żeby mogły sprawić komuś radość, i właściwie nie należały do literatury, jakiej rodzina Gattmanów poświęcała na ogół uwagę. Leżały pogrzebane w ciemnym zakamarku pod schodami i wyjmowano je tylko wtedy, gdy ktoś nie miał siły na nic cięższego, kiedy któreś z dzieci leżało chore albo w czasie długotrwałej deszczowej pogody. Nadal pamiętam te historyjki. Czarno-białe okienka z obrazkami o silnie cieniowanych powierzchniach i zaskakujące perspektywy. Mężczyźni o kanciastych zarysach szczęki i kobiety o dużych piersiach. Cień drapaczy chmur padający na ciasne boczne uliczki i ciemności dżungli. Świat w ciemności. Nigdy, ani przedtem, ani potem nie czytałam takich gazetek i kiedy mi gdzieś czasem migną, zawsze wiążę je z czasem, kiedy zaginęła Maja.

Spędzałam swój ostatni tydzień u Gattmanów. Dopiero co dzwoniła mama i powiedziała, że przyjęto mnie do upragnionego liceum, szkoły w centrum miasta, gdzie można było spędzać przerwy obiadowe w którejś z kafejek na deptaku Aveny. Podzieliłam się z Anne-Marie moją radością.

- Ty też dostałaś się tam, gdzie się starałaś? - zapytałam.

- Tak - powiedziała. - Ale tam nie idę.

- Gdzie w takim razie pójdziesz?

- Nigdzie. Robię sobie rok wakacji.

- Jak to? To znaczy, że będziesz siedzieć w domu?

- Nie, może przyjmę pracę.

W tych czasach „przyjmowało się” pracę.

- Albo prysnę za granicę.

- Dokąd? - zapytałam ze zdziwieniem.

- Bo ja wiem? Może do Izraela. Pracować w kibucu jak Eva.

- Ale ona była tam tylko przez wakacje.

- Można pracować przez cały rok, jeśli się chce. Może pryśniemy razem. Albo pojedę do Anglii czy Francji i będę pracować jako *au pair*. Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Karin i Åke ci pozwolą?

Roześmiała się.

- Nie będą mi przeszkadzać. Brr, nie mam ochoty chodzić do szkoły. W każdym razie nie do klasy biologicznej jak Jens, straszne. Tylko kucie, kucie. Ale został mu jeszcze tylko rok, więc pewnie będzie to ciągnął.

- Taka roczna przerwa to może i dobry pomysł - powiedziałam z zadumą.

Sama nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Zacząć liceum rok później, być starszą od wszystkich. To jak zostać w tyle. A mnie się spieszyło. Chciałam szybko zdobyć wykształcenie. Liceum, a potem uniwersytet. Marzyłam o uniwersytecie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że wstrzymuje mnie jakaś roczna przerwa. Chciałam w świat, lecz tylko na wakacje.

- Ale zobaczymy się za rok, prawda? - zapytałam.

- Jeśli tu będę.

- Nie będzie cię tu za rok?

- Skąd mam to wiedzieć? Może będę na drugim końcu świata. W Australii czy coś takiego.

- Czy dopiero co nie mówiłaś o Anglii albo Francji? I Izraelu? - zapytałam zbita z tropu.

- Nie wiem, Ulriko. Zupełnie nie wiem. To właściwie nie ma znaczenia. Ja po prostu chcę stąd wyjechać. Jestem tym wszystkim zmęczona.

- Ale Tångevik jest przecież najfajniejszym miejscem na ziemi. I nikt nie ma tak pięknego domu, jak wy.

- Ech.

Zraniło mnie jej prychnięcie. Pokochałam ten dom.

Któregoś dnia po zaginięciu Mai, w trakcie samotnego spaceru dotarłam do naszego domku letniskowego. Nie byłam w nim przez całe lato.

Członkowie rodziny z Borås już odcisnęli na nim swoje piętno. Na trawniku postawili wypełniony wodą plastikowy basen, kupili nowe meble ogrodowe i założyli małą grządkę z warzywami. Na ogrodowym stole rozpoznałam duży hiszpański gąsior, który zazwyczaj stał z jakimiś suszonymi łodygami barszczu w rogu izby. Teraz został przekształcony w akwarium z zielonkawą wodą, wodorostami i zapewne jakimiś zwierzętami.

Pani domu z Borås, w zaawansowanej ciąży, klęczała na czworaka na grządce i zanurzała swój duży brzuch w natce marchewki. Była zbyt zajęta, żeby zwrócić uwagę na mnie stojącą przy ogrodzeniu.

Usłyszałam głosy dzieci i zza rogu domu wyłoniło się dwóch chłopców. Jeden wiózł drugiego w starej taczce taty i śmiejąc się, wysypał go przy basenie.

Pamiętałam, jak trudno było moim rodzicom coś na tej działce wyhodować. Przypomniałam sobie ukryte pod ziemią puste przestrzenie, połykające jeden ładunek ziemi za drugim. I oto przyjeżdża ta rodzina, hoduje warzywa i używa taczki jako zabawki. Może to jakaś inna, bardziej płodna rasa. Może po prostu puste szczeliny w końcu się wypełniły, a oni

przyjechali właściwego lata. W czasie krótszym niż dwa miesiące ta rodzina bardziej się tu zadomowiła niż my kiedykolwiek. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że jeszcze tu powrócimy.

Moje przecucie okazało się trafne. Praca zajmowała tacie coraz więcej czasu, a od kiedy rodzice kupili willę z ogrodem, uznali, że niepotrzebny jest nam domek letniskowy. Następnej zimy sprzedali go rodzinie z Borås.

Ale o tym oczywiście nie wiedziałam, kiedy stałam za ogrodzeniem. Doznawałam tylko dziwnej mieszaniny uczuć. Nostalgii za czymś utraconym, czego i tak nigdy tak naprawdę nie posiadałam. I jakiegoś jałowego potwierdzenia tego, co zawsze wiedziałam: Nie przynależałam tutaj, to nie było moje miejsce.

Wracałam do Gattmanów i kiedy zobaczyłam brązowy budynek między dębami na skale, pierś wypełniło mi ciepłe uczucie powrotu do domu.

- Możemy przecież do siebie pisać - powiedziałam do Anne-Marie.

- Tak. Chociaż wiesz, jak mi idzie pisanie listów. Ale będziemy w kontakcie, jasne.

Co za ohydne wyrażenie, „być w kontakcie”. Spojrzałam na Anne-Marie. Leżała na brzuchu z dłońmi pod brodą i patrzyła z uśmiechem na szczyt łóżka. Ale widziała coś innego, coś, czego ja nie mogłam zobaczyć. Już się ode mnie oddalała.

Na zewnątrz zatrzymał się samochód. Lis i Stefan wpadli z miasta samochodem taty Stefana. Szukali tam mieszkania i znaleźli kawalerkę w przeznaczonym do rozbiórki domu w Gårda w Göteborgu. Tak to się robiło w tamtych czasach. Wyskakiwało się na miasto i załatwiano mieszkanie albo pracę. Nędzne mieszkania, nieciekawe i brudne prace, ale łatwo je było znaleźć. Teraz polowali na meble i sprzęty domowe, a Sigrid obiecała im, że dostaną jej i Tora komodę z sypialni.

Lis wpadła do nas w biegu i przywitała się. Spieszyli się z powrotem do miasta, gdzieś mieli zostawić czy odebrać klucz. Miała zaróżowione policzki i lśniące oczy. Gdy to wspominam, zdaję sobie sprawę, że już wtedy musiała być w ciąży, chociaż pewnie sama o tym nie wiedziała.

Leżałyśmy z Anne-Marie na łóżkach, słuchając, jak walczą z komodą piętro niżej. Kiedy w końcu znieśli ją do ogrodu, ze swojej pracowni wyszedł Åke i chciał im pomóc. Był rozebrany od pasa w górę, miał obrzydliwie brudne spodenki khaki. Obserwowałyśmy ich przez otwarte okno, a Anne-Marie się śmiała. Åke był zbyt pijany, żeby w czymś pomóc. Zawadzał, wieszał się na i tak już ciężkim meblu, a Lis i Stefan mieli duże trudności z załadowaniem go do samochodu. Wspólnymi siłami udało im się wsadzić go na bagażnik dachowy i przywiązać, Åke zaś przez cały czas snuł się obok i mamrotał. Gdy tylko skończyli, wskoczyli do samochodu, zamknęli drzwi, pomachali gorączkowo i ostro ruszyli.

Kiedy samochód odjeżdżał, Åke nachylił się do drzwi, żeby powiedzieć coś przez opuszczone okno, ale odrzuciło go na bok i potoczył się po ziemi.

Lis i Stefan nie zatrzymali się. Może nie zdążyli zauważyć, co się stało, może nic ich to nie obchodziło.

Åke podniósł się powoli, brudny i z krwawiącymi otarciami na ramieniu. Przez chwilę stał spokojnie, przytrzymując się pnia dębu.

Potem obejrzał się, obrał kierunek na pracownię i skierował tam chwiejne kroki.

Anne-Marie zaśmiała się głośno. Åke usłyszał ją i zatrzymał się na ścieżce między skałami. Rozejrzał się na wszystkie strony, ale chyba nie zauważył, kto się śmieje. Kontynuował więc swoją chwiejną wędrówkę i okopał się w małym domku.

Kilka dni później przyjechał tata. Żegnała mnie silnie zdziśiatkowana rodzina. Åkego odwiedził przyjaciel. Razem pojechali do Göteborga do knajpy i jeszcze nie wrócili. Sigrid czuwała przy łóżku Tora. Eva szukała mieszkania w Sztokholmie, a Lis już się wyprowadziła. Przed domem na pożegnanie ściskali mnie Karin, Jens i Anne-Marie.

Maja siedziała na schodach. Spojrzała na mnie prawym nieprzysłoniętym okiem, a ja nachyliłam się do niej.

- Do widzenia, Maju. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy - powiedziałam i pocałowałam ją w policzek.

Wyrwała się, jakbym ją ugryzła, i popędziła do domu.

Pojechałam do domu do Göteborga i zaczęłam liceum. Podobało mi się w szkole. W końcu można było się naprawdę czegoś nauczyć. Zniknęły głąby i rozrabiaki, nauczyciele mogli poświęcać lekcje na uczenie, a nie utrzymywanie porządku. Miałam więcej znajomych niż kiedykolwiek.

W listopadzie przyszła kartka od Anne-Marie. Była w Kalifornii i pracowała jako *au pair* w szwedzkiej rodzinie. Nie podała żadnego adresu, więc nie mogłam odpowiedzieć. Miesiąc później dostałam kartkę świąteczną. Wtedy nie pracowała już u rodziny, tylko w pralni chemicznej w Teksasie. Później nie miałam już od niej żadnych wiadomości.

Przez kilka kolejnych lat używałam tuszu do rzęs tej samej marki co Anne-Marie. Nie dlatego, że wydawało mi się, że dzięki temu będę miała tak samo naturalnie czarne, długie rzęsy, ale jako swego rodzaju potwierdzenie naszej wzajemnej przynależności. Nosłam także bluzkę, którą po niej odziedziczyłam, małą z pomarszczonej bawełny. Najładniejsza była tuż po praniu, gdy zbiegała się i robiła obcisła. Miała kolor czerwonego wina, który wcześniej nie występował w mojej garderobie, ale który często nosiła Anne-Marie. Tę bluzkę wkładałam,

kiedy tylko mogłam. Zimą, gdy w naszej starej szkole było zimno, nosiłam ją najbliżej ciała, pod robionymi na drutach swetrami i grubymi flanelowymi koszulami.

Jak wspomniałam, podobało mi się w liceum i dzięki temu nie myślałam o Anne-Marie tak często, jak we wcześniejsze zimy. Moja tęsknota schowała się, stała się bardziej niewidoczna. Nosiłam ją, tak jak nosiłam winnoczerwoną bluzkę, tuż przy skórze, pod wszystkim innym.

Kiedy zbliżało się lato, tata zaproponował, żebyśmy pojechali na Majorkę. Pierwszy raz uznał, że ma czas i pieniądze na wakacje za granicą. Przez dwa lata intensywnie pracował, w dni powszednie i w święta, bez jednego dnia porządnego odpoczynku. Jego praca doktorska o paradontozie była gotowa, otrzymał posadę, o jakiej od dawna marzył, i przez kilka wakacyjnych tygodni postanowił spocząć na laurach.

Przed wyprawą na Majorkę miałam mieszane uczucia. Byłam przeszczęśliwa, że mogę jechać za granicę i na własne oczy zobaczyć jedno z tych egzotycznych miejsc z katalogów podróży. Ale chciałam być na miejscu, w razie gdyby Anne-Marie odezwała się i poprosiła mnie, żebym przyjechała do Tångevik. Poza tamtymi dwoma pocztówkami nie miałam od niej wieści. Nie wiedziałam, czy wróciła do Szwecji ani czy nadal jest w Ameryce. Oczywiście, mogłam podnieść słuchawkę, zadzwonić do Sztokholmu i zapytać. Ale miałyśmy niepisaną zasadę, że nigdy do siebie nie dzwonimy. A jeśli wróciła i chciała się ze mną spotkać, to ona powinna odezwać się do mnie. To na te ewentualne rozmowy czy listy czekałam i dlatego nie okazałam tego entuzjazmu, którego można się było spodziewać, kiedy tata zaproponował podróż na Majorkę. Czytał w moich myślach.

- Jeśli myślisz o Gattmanach, nie oczekuj zbyt wiele. Åke i Karin się rozwodzą. On pewnie mieszka teraz w Göteborgu, u jakiejś kobiety. Mało prawdopodobne, żeby tego lata jechali do Tångevik. Sądzę, że ani Karin, ani Åke nie pojedą tam w obecnej sytuacji, a Sigrid pewnie nie chce być tam sama po śmierci Tora.

Tor zmarł zimą, przeczytaliśmy o tym w gazecie. Czytaliśmy też, że Lis i Stefanowi urodziło się dziecko. Wraz z tymi dwiema pocztówkami od Anne-Marie były to jedyne wiadomości o rodzinie Gattmanów, jakie dotąd otrzymałam. Nowinę o rozwodzie tata zataił. (Skąd zresztą o tym wiedział? I gdzie usłyszał o kobiecie Åkego? Znajomość takich plotek do niego nie pasowała).

- Podejrzewam, że sprzedadzą ten duży dom. Mogą sporo za niego dostać. Za działkę na plaży, pomost i wszystko razem. Mogą to też oczywiście wynająć.

A więc pojechałam na Majorkę, brałam z mamą i tatą udział w zorganizowanych wycieczkach, chodziłam na dyskoteki z dwiema grubymi siostrami z Falun i kiedy szłam

plażą, miałam za sobą sznur przystojnych hiszpańskich chłopców. To ostatnie ogromnie wzmocniło moją wiarę w siebie, aż odkryłam, że także tłuste pyzy z Dalarny są obiektem intensywnych zalotów. Tak, nawet mama w swoim głupim kapeluszu przeciwsłonecznym i sukience frotte w duże kwiaty miała wielbiciela, który był od niej o połowę młodszy i wykrzykiwał po hiszpańsku słowa uznania za każdym razem, kiedy przechodziła obok restauracji na świeżym powietrzu, gdzie przesiadywał.

Któregoś wieczoru, kiedy siedziałam z rodzicami w małej knajpce z tańcami flamenco, usłyszałam, jak rozmawiają o zniknięciu Mai. Obróciłam krzesło w stronę występującej pary, siedziałam więc odwrócona do mamy i taty plecami. Orkiestra grała, a jeden z gitarzystów śpiewał, aż trzęsły się ściany, więc mama i tata pewnie sądzili, że nie słyszę, o czym rozmawiają. Ale żeby się nawzajem usłyszeć, musieli mówić dość głośno, wypili też trochę wina i chyba nie umieli ocenić siły swoich głosów. W każdym razie słyszałam, jak mama mówi, że zniknięcie Mai było osobliwe i dziwne, że gazety tak mało pisały o tym, jak ją odnaleziono. Tata wymamrotał coś i kątem oka widziałam, jak na mnie spogląda. Gapiłam się szeroko otwartymi oczami na parę flamenco, jakby całkowicie mnie zaabsorbował błazeński taniec, i jednocześnie słuchałam, co odpowie tata. Wysunął zdumiewającą teorię o tym, że Åke i Karin rozchodzili się już ubiegłego lata i że zniknięcie Mai to skutek jakiegoś sporu o sprawowanie władzy rodzicielskiej. Åke mógł ją ukrywać u swojej kochanki w Göteborgu albo Karin przeszmygłowała ją do jakiejś przyjaciółki.

Było to tak nedorzeczne, że z trudem się powstrzymałam, by nie odwrócić się i głośno nie roześmiać. Małżeństwo Åkego i Karin aż do zaginięcia Mai było harmonijne, zgodne, idealne, w każdym razie na ile mogłam ocenić ze swoim niewielkim doświadczeniem. Smutek obojga z powodu zniknięcia Mai był tak głęboki, że wykluczone, aby mogli odgrywać przedstawienie. Poza tym tata zapomniał, jak ją odnaleziono, na niedostępnej skale przy Plaży Muszli. Czy któreś z nich zainscenizowałoby tak niebezpieczną dla życia sytuację? W jakim celu?

Nie musiałam nic mówić, bo mama miała te same obiekcje. Ale z urwanych zdań zrozumiałam, że tata nie za bardzo wierzył w historię o skalnej półce. Słyszał ją tylko ode mnie i najwyraźniej uznał, że wszystko udramatyzowałam.

To, że mi nie wierzono, było na dobrą sprawę poniżające, lecz niezbyt mnie obchodziło. Sama muszę przyznać, że trudno uwierzyć w tę historię. Należało to wszystko przeżyć, smutek, winę i dziwny wieczór na skale, kiedy ekipa ratownicza wciągała Maję. Byłam przy tym. Mama i tata nie. Wybaczylam im.

Tylko ten jeden raz słyszałam, jak wspominają zniknięcie Mai.

KRISTINA

Kristina wypycha kajak na wodę. Ostrożnie podąża za nim po pochylej płycie skalnej pokrytej śliskimi, rdzawoczerwonymi algami. Kładzie siatkę z puchem w kokpicie i wciska ją w róg pod dziobem. Potem sama wsiada i odpycha się wiosłem.

Chmura ptaków przez chwilę podąża za nią. Ich białe brzuchy są zabarwione na pomarańczowo przez słońce, którego jeszcze nie widać. Morze lśni. Świat nie jest już szary.

Zbliża się do grupy większych wysepek i kiedy dociera do najbliższej, wschodzi słońce. Jakieś rybitwy pikują w jej stronę z szeroko otwartymi czerwonymi dziobami. Jakby była rybą, którą mogą pożreć.

Podąża wzdłuż brzegów wysepki. Nad spokojną zatoką po jej wewnętrznej stronie wznosi się maleńki obóz barwnych namiotów, czerwonych, niebieskich, pomarańczowych. To wydaje jej się brzydkie. Nienawidzi takich krzykliwych kolorów. Na plaży łodzie, wygasłe ognisko obozowe, puste puszki po piwie i pokryte piaskiem ręczniki kąpielowe.

Cicho unosi się na zatoce, dryfuje powoli po spokojnej wodzie, obserwując scenę.

Często schodziła na tę wyspę. Znajduje się tu ładna mała plaża, na którą łatwo wciągnąć kajak. Po zewnętrznej stronie jest wiele ptasich gniazd i często zbierała tu puch, pióra i skorupki jajek.

Nagle porusza się płótno jednego z namiotów. Ktoś wyczołguje się przez otwór. Pies? Nie, wstaje. To dziecko. Mała dziewczynka o ciemnej twarzy, w brązowym ubraniu i czarnych, potarganych mysich ogonkach. Mruży oczy w stronę porannego słońca, po czym biegnie na plażę. Sennymi, niezdarnymi ruchami opuszcza suwak i zdejmuje kombinezon. Następnie kuca i siusia na piasek. Kristina stoi nieruchomo w zatoce i patrzy na jej nagie, wygięte plecy.

Mała wstaje, dygocząc. Ranek jest chłodny, plaża spoczywa w cieniu. Nie zauważyła jeszcze kajaka w zatoce. Z pewnym trudem przewraca na prawą stronę kombinezon, który zrzuciła na plażę. Wytrząsa z niego piasek i wkłada. Wydaje się, że chce zrobić wszystko sama, chociaż jest taka mała. Nie obudziła żadnego dorosłego z namiotu, żeby poprosić o pomoc.

Fale przesunęły kajak w głąb zatoki. Kristina lepiej widzi teraz dziewczynkę. Brązowy miękki strój jest jak sierść, czarne potargane włosy jak grzywa.

Gdzieś w przeponie Kristiny coś zaczyna się poruszać. Jak wydobywające się z niej wycie, rozwlekle, zupełnie bezgłośnie wycie. Ale to tylko wrażenie. Siedzi całkiem cicho,

całkiem spokojnie, a fale pluskają delikatnie o kajak.

W końcu dziewczynka musiała usłyszeć. Zatrzymuje się w drodze do namiotu, odwraca się i zauważa Kristinę. Zasłania oczy ręką. Nisko stojące słońce oślepia ją. Wolno idzie z powrotem w stronę plaży.

Kristina czuje, że coś wyrywa się z jej ciała wyciągane przez tęsknotę, jak pomarańczoworóżowe wnętrze omułka wyrywane ze skorupy. To miękkie, bezkształtne coś z małym twardym jądrem - serce - tylko ono jest dość mocne, żeby wbić w nie haczyk. Dziecko stoi na plaży i obserwuje ją stanowczym wzrokiem.

„Jeśli coś powie, to minie - myśli Kristina. - Kiedy krzyknie do mnie cześć albo zawoła rodziców z namiotu”.

Ale dziewczynka nie wydaje z siebie żadnego głosu. Woda w zatoce jest czerwona od blasku słońca, które właśnie weszło, a fale rysują na białej burcie kajaka sieć migoczących cieni.

Kajak kołysze się coraz bliżej. Kristina i dziewczynka patrzą na siebie. Między nimi iskrzy.

Dziewczynka podwija nogawki kombinezonu i wchodzi kawałek do wody. Kristina delikatnie porusza wiosłem wodę i przesuwa się troszeczkę bliżej. Teraz są tuż obok siebie.

Dziewczynka jest czarno-brązowa, w potarganych kucykach ma gumki z koralikami jak dwie jasnoczerwone plamki sygnalizacyjne. Co ma wspólnego to bure zwierzątko z ludźmi w krzykliwym namiocie? W ogóle jej nie obchodzą, nie woła ich. Nie, nie przynależy tu.

Krople ześlizgują się z pióra wiosła, drżą i spadają do wody. Dziewczynka gładzi ręką kajak i patrzy na nią. Przez chwilę Kristina zastanawia się, jak wniesie małą, nie wywracając kajaka. I gdzie ona ma siedzieć? Miejsca w kokpicie wystarczy tylko dla jednej.

Wychodzi do wody, bierze małą w ramiona i z jej rękami wokół szyi ostrożnie wślizguje się do kokpitu. Dziewczynka jest zupełnie spokojna i tak miękko podąża za jej ruchami, że trudne balansowanie się udaje. Mała siedzi na kolanach Kristiny, zwrócona w jej stronę i owija nogi wokół jej talii. Jest miejsce tylko dla jednej, ale one są jednym. Jedną dużą istotą. Siedzą tak, pierś przy piersi, a ich serca biją przy sobie.

Kristina wypływa z zatoki. Kiedy okrąży wystającą skałę, odwraca się i spogląda w stronę lądu.

Kolorowe namioty stoją ciche i śpiące.

Nikt ich nie widział.

ULRIKA

Był sobotni poranek. Miałam odebrać chłopców w poniedziałek po południu. Zazwyczaj Anders odwozi ich do szkoły w poniedziałek rano po swoim weekendzie, a ja po południu odbieram ich ze świetlicy.

Obudziłam się wcześniej i gdy otworzyłam oczy, poczułam przede wszystkim zaskoczenie. Nigdy sama z siebie nie budzę się wcześniej, nawet słysząc budzik, nie wstaję o tej porze. Poprzedniego wieczoru zapomniałam zasłonić żaluzje i czerwony blask dopiero co wzeszłego słońca padał na białe drzwi szafy.

Po chwili przypomniałam sobie wieczorną wizytę w Mickey's Inn i zrozumiałam, że wypięłam więcej, niż powinnam i że to, bardziej niż niezasłonięte okno, jest powodem tak wczesnego przebudzenia.

Zazwyczaj po takim wieczorze nie śpię do późna, jak inni. Mam płytki sen, budzę się od czasu do czasu, o wschodzie słońca porzucam próby, by ponownie zasnąć, wstaję, bezczelnie rześka i pełna energii. Sprzątam, biegam, jadę na basen i oszukuję wszystkich, także siebie. O czwartej, piątej po południu padam trupem i śpię do bólu. Teraz zupełnie się rozbudziłam, bo właściwie w ogóle porządnie nie zasnęłam. Impreza nadal trwała w moim ciele, a sny tej nocy nie były dobrze wyreżyserowanymi spektaklami głębokiej drzemki, lecz urywanymi, niepowiązаныmi ze sobą szybkimi sekwencjami, jak migawki reklamowe dla zupełnie różnych produktów.

Wzięłam prysznic i zjadłam śniadanie. Delikatnie przypieczona kromka chleba razowego z twarogiem, pomidorem i bazylią, sok pomarańczowy i kawa. Na ulicy usłyszałam warkot silnika starej ciężarówki i poczułam, jakbym była za granicą, wstała wcześniej i dokądś podążała.

A czemu nie? Dlaczego nie miałabym dokądś podjechać? Mój samochód stał zatankowany na ulicy pod domem, nie musiałam wracać do popołudnia w poniedziałek. Zdążyłabym dojechać do Kopenhagi albo i jeszcze dalej.

Ale nie chciałam jechać do Kopenhagi. Zawiozłam pranie do pralni, poszłam na długi spacer po Slottskogen, podczas suszenia ugotowałam porządny obiad i kiedy wyjmowałam suche ubrania, wiedziałam, dokąd chcę się udać.

To miejsce wskazały mi pijane senne sekwencje ostatniej nocy. Dopiero co byłam tam z chłopcami, ale we śnie obowiązywał inny czas, a dom, który wtedy widzieliśmy opuszczony, w świecie mojego snu wypełniał się ówczesnymi mieszkańcami.

Nagle poczułam nieodpartą tęsknotę, żeby znów zajrzeć przez okno werandy i omieść wzrokiem pomalowane na niebiesko szafki kuchenne, sofy w szerokie pasy, przedstawiający statek obraz, secesyjną lampę i ten biały fotel bujany z orientalną poduszką. Tak jakbym nie napatrzyła się poprzednim razem. Nie byłam gotowa. Chciałam zobaczyć to znowu, bez chłopców, w spokoju.

Miałam autostradę prawie całą dla siebie i jechałam szybko, jakby dom miał zniknąć, jeśli przyjadę za późno.

Zaparkowałam pod dużym dębem. Na zewnątrz było dość ciepło, drzewa wciąż się zieleniły, ale czułam jesień. Krystalicznie czyste powietrze i wyostrome cienie czyniły świat niemal surrealistycznie wyraźnym.

I tym razem pod domem nie było samochodu.

Wspięłam się po schodach z bali. Okrążyłam dom i weszłam na werandę. Chwilę stałam w miejscu odwrócona plecami w stronę domu i rozkoszowałam się widokiem fiordu, trochę zaskoczona jego pięknem, którego nie potrafiłam docenić jako dziecko.

Zagłądanie przez okna nie stanowiło tego samego oszałamiającego przeżycia teraz, kiedy byłam przygotowana. Gdy tak stałam z nosem przytkniętym do szyby, jak małe dziecko przy oknie wystawowym sklepu z zabawkami, pomyślałam nagle o muszli.

Nie wiem, skąd się brał ten dziwny zapach zamkniętego morza, gnijących wodorostów i starych ryb, diegciu, wilgoci i ciemności, ale zawsze tak pachniało pod werandą Gattmanów. Pachniało tak, kiedy z Anne-Marie czołgałyśmy się po kamiennej płycie zupełnie pierwszego lata, gdy bawiłyśmy się i widziałam jej twarz w pasmach światła prześwitującego przez szpary w podłodze. Pachniało tak, kiedy chowałyśmy się, żeby szpiegować starsze siostry i ich chłopaków albo kiedy od czasu do czasu trzeba było się tu wczołgać po nóż lub długopis, który wpadł między deski podłogi. Albo kiedy czasem dom był zamknięty i należało wziąć klucz z wielkiej muszli leżącej na kamiennym fundamencie.

Pachniało tak i teraz, kiedy stałam na czworaka na zimnej, wilgotnej skale i próbowałam przyzwyczać oczy do ciemności.

Widziałam jakieś stare wężycierze, grabki do małży i cebrzyk do homarów, to pewnie one cuchnęły starą rybą. I tam, pokryta cienką, zielonkawą warstwą mchu, ale poza tym cała i niezniszczona, leżała na swoim miejscu duża muszla. Pochodziła pewnie z jakiejś zagranicznej plaży. Chwyciłam ją i potrząsnęłam ostrożnie. Usłyszałam głuchy brzdęk, a z jej tajemniczego, pokrytego masą perłową wnętrza wyslizgnął się klucz i wpadł mi do ręki.

Wyglądał na dawno nieużywany. Musiałam zdrapać warstwę rdzy, zanim zdołałam go włożyć do zamka drzwi frontowych. Ale kiedy się tam znalazł, bez trudu mogłam go

przekręcić. Z dłonią na klamce wahałam się chwilę i nasłuchiwałam. Było zupełnie cicho. Żadnego odgłosu silników samochodów ani łodzi. Żadnych kroków czy głosów w domu. Nacisnęłam klamkę i weszłam.

Cóż za bajkowe, nadprzyrodzone uczucie chodzić po tych pokojach, które wyglądały dokładnie tak samo, jak przed dwudziestoma czterema laty. Wspomnienia jak zapachy uwalniały się z każdego przedmiotu. Niektóre były tak silne i natarczywe, że musiałam się bronić, atakowały mnie całą serią zdarzeń, głosów, wirujących emocji. Inne słabsze, ledwie zauważalne, powodowały tylko lekkie drżenie głęboko we mnie.

Po chwili uczucie niereczywistości minęło. Odkryłam, że parę rzeczy się jednak zmieniło. Ten czy ów mebel zniknął, chociaż nie potrafiłam dokładnie powiedzieć który, brakowało też tych wszystkich drobiazgów, tak szybko rozprzestrzeniających się tam, gdzie mieszkają ludzie. Wydawało się bardziej pusto, w pokojach więcej przestrzeni i zdałam sobie sprawę, że jeszcze przed chwilą to nadawało domowi bajkowego charakteru.

Na piętrze Sigrid i Tora nie brakowało niczego poza dużą komodą, którą znieśli wtedy Lis i Stefan, oraz obrazu, o którym Åke powiedział, że jest zbyt cenny, aby wisieć w niestrzeżonym domku letniskowym.

Klitka na poddaszu, niegdysiejszy pokój Anne-Marie, wypełniona była rupieciami. Ale pokój starszych dziewczynek, ten pokój, który tamtego ostatniego lata stał się pokojem moim i Anne-Marie, wyglądał tak samo. Narzuta z niebiesko-białym wzorem jak z porcelany wyblakła od słońca. Ściągnęłam narzutę z łóżka najbliższej ściany, tego należącego do Anne-Marie. Stwierdziłam, że jest posłane ponadczasowymi białymi powłóczkami, jakich używa się w hotelach. Czy wtedy już tu były? Nie pamiętałam. Wyglądały w każdym razie na zupełnie nowe, lśniące białe i gładkie, jakby nikt nigdy ich nie używał.

Kiedy tak stałam przy łóżku, poczułam nagle niezwykle zmęczenie. Rzuciłam okiem na zegarek i, tak, była za dziesięć piąta, dokładnie ta godzina, kiedy zazwyczaj przychodzi pora, żeby zapłacić za wzięty na kredyt stan czuwania. Jak Złotowłosa w chatce trzech misiów wślizgnęłam się do obcego łóżka. Zauważyłam, że ruchoma ozdoba z muszli nadal wisi w oknie, i zamknęłam oczy.

Zanim zasnęłam, miałam wizję Anne-Marie z ustami pełnymi wiśni. Wychyliła ładną buzię w grymasie, wypluła trzy pestki i zaśmiała się. Zielone cienie falowały ponad jej czołem i policzkami.

KRISTINA

Dziewczynka chyba zrozumiała, że blokuje jej ruchy. Przycisnęła się do Kristiny, wtuliła twarz w jej szyję i zrobiła się jak najbardziej płaska i mała. Na początku Kristina czuła jej napięte mięśnie, ale wkrótce dziecko rozluźniło się i dostosowało do rytmu wioseł, kołysało się z boku na bok. Od ciepłych oddechów bluza Kristiny zrobiła się ciepła i wilgotna. Kobieta spojrzała na twarz pod czarnymi włosami. Dziewczynka miała zamknięte powieki, a usta lekko otwarte. Zasnęła jej na piersi.

Kiedy szła z plaży z małą śpiącą w ramionach, spojrzała na jej twarz. Była tak ciemna, że dopiero z bliska dało się dobrze zobaczyć jej rysy. Nos ładnie wyrzeźbiony, brwi szerokie. Ile mogła mieć lat? Dwa? Może trzy?

Słońce stało teraz wysoko na niebie, ale w domku panował mrok i chłód. Wszystkie okna zasłonięte były kocami. Kristina lubiła odbłaski słońca na wodzie i grę światła między liśćmi, jednak w domu nie chciała światła. Jej praca z przedmiotami przebiegała lepiej w ciemności albo w blasku lampy. Zawsze trudno było ich słuchać w świetle słonecznym. Słońce w jakiś sposób wpływało na ich powierzchnię. Zamykały się, chroniły pod powłoką.

Ostrożnie ułożyła małą na kołdrach na podłodze i sama położyła się obok. Dziewczynka pachniała słońcem i solą. Kristina wstała przed świtem. Teraz poczuła zmęczenie po długiej podróży kajakiem. Z twarzą we włosach dziewczynki zasnęła.

We śnie przez cały czas była świadoma obecności małej. Jej oddechu, zapachu jej włosów, miękkiej skóry.

Kiedy się obudziła, był środek dnia. Ostre światło słoneczne wdzierало się przez szpary w kocach i rysowało białe linie na podłodze. Brzęczała mucha, uwięziona między kocem a oknem. Zrobiło się ciepło i spocone ramię Kristiny kleiło się do barku dziewczynki.

Chciało jej się jeść. Podczas gdy dziewczynka dalej spała, ona przygotowała trochę jedzenia. Omlet, smażone pieczarki, pomidory, ser i chleb. Odwróciła krzesło oparciem do stołu i usiadła z talerzem na kolanach. Jadła, patrząc na małą.

Dziewczynka się obudziła. Białka jej oczu lśniły w ciemności domku. Przez długą chwilę leżała zupełnie nieruchomo i tylko patrzyła. Następnie usiadła, podrapała się po potarganych włosach i spojrzała na Kristinę.

Ta zatrzymała widelec w połowie drogi do talerza. Znieruchomiała, tak jak wtedy, gdy zobaczyła ją sarna. Co teraz robi dziewczynka? Zacznie płakać?

Nie. Wyskoczyła z legowiska. Zrobiła kilka kroków po pokoju i rozejrzała się. Miała

zdziwiony, pytający wzrok.

Kristina powoli opuściła widelec i odstawiła talerz na stół. Przywołała dziewczynkę kiwnięciem ręki, pokazała patelnię z omletem. Mała spojrzała na patelnię, ale nie podeszła. Chodziła powoli i ostrożnie po domku. Przeszła wzdłuż rzędu stworzeń Kristiny. Długo patrzyła na każdy przedmiot. Czasami wyciągała rękę, jakby miała dotknąć któregoś z nich, ale jej palce zatrzymywały się w powietrzu, jakby przez coś powstrzymywane, i z szacunkiem cofały.

Kiedy po półgodzinie wydawało się, że zakończyła to badanie, podeszła do Kristiny, a ta wstała i oddała jej jedyne w domku krzesło. Dziewczynka nie zwróciła na nie uwagi. Chwyciła talerz z zimnym już omletem i warzywami, które wyłożyła dla niej kobieta, zaniósła go na stos z kołder, usiadła i zaczęła jeść z apetytem, nie odrywając wzroku od przedmiotów Kristiny.

Zegar ścienny nad lodówką pokazywał za piętnaście trzecia. Kristina pomyślała o kajaku. Nie wciągnęła go porządnie, tylko prowizorycznie zepchnęła, bo miała na rękach śpiącą dziewczynkę. Za kilka godzin woda się podniesie i może zabrać ze sobą kajak. Musi zejść i się nim zająć.

- Zostań tu - poleciła dziewczynce. - Wyciągnę kajak na plażę. Zaraz wracam.

Przypomniała sobie, że w lodówce ma siatkę brzoskwiń. Wysypała je do miski i postawiła na podłodze przy stopach dziewczynki.

- Proszę.

Dziewczynka nie odpowiedziała, a Kristina pomyślała, że nie rozumie szwedzkiego.

- Zaraz wracam - powtórzyła i miała nadzieję, że brzoskwinie ją zatrzymają.

Popędziła na plażę, wyciągnęła kajak na bezpieczną odległość od wody i pośpieszyła z powrotem.

Dziewczynka siedziała tam, gdzie ją zostawiła. Jadła brzoskwinie, a sok ciekł jej po brodzie. Kiedy Kristina wycierała twarz małej papierowym ręcznikiem, zauważyła, że drżą jej ręce. Brakowało jej tchu po szybkim truchcie. Bardzo się bała, że straci kajak, ale tak samo bała się, że straci dziewczynkę.

Wyjęła grzebień, ostrożnie ściągnęła sznureczki z czerwonymi kulkami i zaczęła czesać włosy dziewczynki. Długo to trwało, bo włosy były potargane i uważała, żeby nie chwycić za mocno. Drobnymi ruchami, od dołu ku górze, rozplątywała kołtuny, a dziewczynka nie wydała z siebie odgłosu protestu. Zrobiła przedziałek i gumkami ściągnęła dwa wysokie kucyki.

Jak mogłaby ją zatrzymać?

Dziewczynka wyraźnie interesowała się przedmiotami. Kristina pokazała jej, co ma w pudłach. Włożyła jej do ręki skorupkę jajka, pozwoliła potrzymać. Opowiedziała, że pochodzi ze szkieletu daleko na morzu.

- Możesz ją teraz odłożyć. A zresztą nie. Niech leży tutaj na półce. Chcę trochę na nią popatrzeć. Widzisz ptasie gniazdo z kłakami wełny? Połóż ją tam, na wełnie.

Dziewczynka wykonała dokładnie polecenie i Kristina zdała sobie sprawę, że mała rozumie po szwedzku.

Usiadła przy stole, zaczęła pracę i pozwoliła dziewczynce grzebać w pudłach. Wcześniej nikomu na to nie zezwalała. Dziewczynka ostrożnie podnosiła kawałki kości, muszli i skorupki jajek, po czym długo obserwowała je na swojej dłoni. Kristina zrozumiała, że mała słyszy ich głosy.

Spędziły tak resztę dnia, każda pochłonięta swoimi zajęciami. Na zewnątrz świeciło lśniące białe słońce i słychać było ludzką wrzawę. Od strony morza warczały silniki, a gdzieś w powietrzu krążył terkoczący helikopter.

Dopiero gdy zapadł zmrok, opuścili dom. Kristina szła drogami saren, a dziewczynka podążała za nią jak cień. Znalazły wysmukłe zwierzęta, pasące się na polanach. Stały cicho w szarej ciemności letniej nocy, aż sarny je zauważyły, odwróciły do nich swoje rosłe, ładne głowy, po czym uciekły dużymi susami.

Gdy znowu położyły się na legowisku z kołder, był środek nocy. Dziewczynka natychmiast zasnęła. Kristina na nią patrzyła.

Przez cały dzień się nie rozstawały. Od wschodu do zachodu słońca. Dziewczynka została w domu i czekała, kiedy Kristina zeszła do kajaka. Słuchała opowieści o znaleziskach w pudłach i najwyraźniej wszystko rozumiała. Siedziała jej na kolanach w kajaku i szła za nią po ścieżkach saren. Jadła jej jedzenie. Pozwoliła się uczesać. Przyłgnęła ciasno do Kristiny na posłaniu z kołder. Patrzyła na kobietę dużymi, czarnymi oczami. Śmiała się do niej. Ale przez cały dzień nie wypowiedziała ani słowa - ani jednego słowa.

Przez kolejne dni siedziały w domu. Pogoda była ładna, morze spokojne, ale na zewnątrz panował ogromny hałas. Motorówki krążyły między wyspami. Ludzie wydzielali się i krzyczeli do siebie. Nisko krążył helikopter. Spowodował ogłuszający hałas i pokarbował spokojną powierzchnię wody w migoczące, niespokojne zmarszczki.

Kristina odwróciła dobę - robiła tak od czasu do czasu. Gdy słońce stało wysoko na niebie, one spały na stosie starych kołder. Kiedy słońce zaczynało zachodzić, budziły się. Kristina przygotowywała jedzenie i majsterkowała w domku, a o zmroku wychodziły.

Włoczyły się po plażach i skałach. Letnia noc dawała dostatecznie dużo światła. Płynęły kajakiem w głąb fiordu, ale na długie wycieczki poza szkiery musiały poczekać. Zmęczone nocnymi wędrówkami, siadały oparte o siebie na jakiejś skale i patrzyły, jak niebo staje się różowe i nowe. A kiedy pierwsze promienie słońca budziły ptaki w starych dębach wokół domku, one wycofywały się w ciemność i zwijały w kłębek na kołdrach jak dwa zadowolone nocne zwierzęta w norze.

Po kilku dniach na dworze się uspokoiło. Odgłosy silników od strony fiordu wróciły do normalności. Nadal panowała bezchmurna i bezwietrzna pogoda. Kristina przygotowała suchy prowiant i zanim wzeszło słońce wyruszyły kajakiem z ujścia fiordu, obok wysp, aż rozpostarło się przed nimi morze, otwarte, wolne i ogromne, ale i tu spokojne. Dziwnie spokojne. Jakby znajdowały się na dalekim Morzu Sargassowym, a nie w wietrznym Bohus. Dziewczynka kołysała się w rytm wiosłowania Kristiny. Niema buzia przy jej łomoczącej piersi. Czarna główka ograniczająca widok. Ciężar, który teraz zawsze miała nosić.

Już się przyzwyczaiła. Kiedy dziewczynka we śnie odsuwała się od niej na posłaniu, Kristina budziła się z niepokojem. Po omacku błędziła ręką, nieświadoma, czego szuka. Zasypiała ponownie, kiedy natrafiła na ciepłe ciało.

Minęły edredony śpiące na płaskich skałach, zwinięte w ciemności świtu jak brązowe koty, i dotarły do najdalej wysuniętych w morze szkierów, tak małych, że nie cumują tam łodzie. Dla ludzi z łodzi to tylko kilka wystających skalnych płyt zdradliwie otoczonych niewidocznymi podwodnymi skałami, wzbudzające strach dno, od którego należy się trzymać z daleka. Po długim okresie flauty i słońca poziom wody opadł i niezwykle dużo szkieru wystawało teraz ponad powierzchnią.

Kristina pozwoliła, aby kajak lekko sunął po falujących gęstwinach wodorostów. Dziewczynka uwiesiła się na jej ramieniu i przyglądała się podwodnemu światu. Zauważyła coś tam w dole, rybę albo kraba, zaśmiała się i przechyliła w bok, żeby lepiej widzieć.

Kristina poczuła napięcie mięśni w ciele dziewczynki i silny uścisk obejmujących ją ramion, kiedy kajak się obracał. W następnej chwili znalazła się pod wodą. Mała puściła się w momencie wywrotki. Kristina zobaczyła pod sobą wodorosty, woda miała metr głębokości, więc mogła dosięgnąć nogami dna. Ale było ono nierówne, a wodorosty alkaliczne i śliskie. Jej stopy ślizgały się na tym podłożu. Krztusząc się, nieustannie zanurzała się pod wodą. Przez cały czas po omacku szukała dziewczynki, znajdującej się gdzieś w pobliżu.

Kiedy stanęła, dziewczynki nie było. Zmroziło ją. Zanurkowała i pod wodą szeroko otworzyła oczy. Widziała tylko gęstwinę musztardowo żółtych wodorostów. Ponownie

wyrzwała na powierzchnię.

Wtedy zauważyła dziewczynkę. Mała płynęła w stronę szkieru, wierzgając rękami i nogami. Gdy tam dotarła, wczłogała się ostrożnie na śliską półkę skalną.

Brodząc, Kristina podążyła z kajakiem za nią. Podniosła go, wylała wodę z kokpitu i pozwoliła, żeby kajak zanurzył się w przestrzeni między dwoma kamieniami na brzegu.

Dziewczynka siedziała na skale, lśniąca od wilgoci jak norka. Potrząsnęła głową, aż krople wody skapnęły z kucyków. Ale nie płakała. Zdjęła z siebie mokry welurowy kombinezon i majtki. Kristina wyżeła je i położyła na skale do wyschnięcia. Dobrze było wiedzieć, że dziewczynka umie pływać.

Potem wyruszyły na ekspedycję po szkierze. Ptaki oczywiście krążyły wokół nich, ale nie były tak agresywne jak zazwyczaj. Nie pikowały z otwartymi dziobami, co na początku tak przerażało Kristinę. Teraz wydawały się tylko ciekawskie, ale nie groźne. Krążyły głównie wokół dziewczynki i Kristina była gotowa ją pocieszyć, gdyby się przestraszyła.

Dziewczynka jednak nie okazywała wcale strachu. Wręcz przeciwnie: chyba jej się to podobało. Stała zupełnie naga pośród wirujących ptaków. Jej ciemna skóra i ich białe pióra iskrzyły się w słońcu. Wyciągała ręce do ptasich skrzydeł i śmiała się, kiedy muskały jej palce.

Potem pobiegła przez gładkie skały, a ptaki podążyły za nią. Biegała w kółko, zygzakiem, szybciej, wolniej, krztuszając się ze śmiechu, a ptaki cały czas latały za nią. Jakby ptaki i ona grały w jakąś grę.

Kiedy zjadły zamoczony prowiant, dziewczynka rzucała okruchy ptakom, a one łapały je w powietrzu. Położyła sobie kawałek chleba na głowie. Usiadła tam rybitwa, zjadła chleb i dalej siedziała, zanurzając czerwone łapki w czarnych włosach.

Mrużyła szklano-perłowe oczy i zamiast krzyku wydawała z siebie łagodny pomruk. Dziewczynka siedziała z zamkniętymi oczami i uśmiechała się do siebie.

Kristina nigdy nie widziała, żeby ptaki zachowywały się w ten sposób. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, dlaczego to z dziewczynką jest tajemnicą. Było to intuicyjne odczucie, które miała od chwili, kiedy mała wypełzła z namiotu i kucając, nasiusiała na piasek. Dziewczynka nie przynależała do ludzi w namiocie. Nie pasowała do ludzi w motorówkach ani w sklepie, wrzaskliwych, upartych gaduł, które trzeba czasem spotykać, żeby kupić jedzenie i artykuły pierwszej potrzeby, ale które opuszcza się jak najszybciej. Nie, ona należała do innego świata. Do saren, ptaków, muszli, kawałków kości.

Jeśli Kristina kiedykolwiek w to wątpiła, to zyskała pewność, kiedy zobaczyła rybitwę we włosach dziewczynki.

Poza tym jej milczenie było znakiem. Że odwróciła się od paplaniny. Że zwróciła się w innym kierunku.

Kristina unikała kontaktowania się z dziewczynką za pomocą słów. Najczęściej nie było to zresztą potrzebne. Wymieniały spojrzenia, dotykały przedmiotów i swoich ciał. Nietrudno było zrozumieć, co chciała ta druga. Przywoływały się, cmokając. To dziewczynka zaczęła. Kiedy znajdowała coś ładnego, co chciała pokazać Kristinie, wydawała językiem delikatny, trzaskający wybuchowy dźwięk, jak wiewiórka. Brzmiał żarliwie, z zadowoleniem i zachęcająco. Kristina próbowała go naśladować. Trudno jej było go wyartykułować, nie pojmowała, jak dziewczynka to robi. Znalazła swój własny wariant i dziewczynka na niego reagowała.

Kristina wiedziała, że cichy świat i świat gadatliwy muszą być od siebie oddzielone. Dlatego rzadko pokazywała komuś swoje dzieła. Cichy świat tak łatwo się cofał, kiedy ten gadatliwy się zbliżał. Należało chronić wszystko, co należało do cichego świata.

Kiedy więc jechała rowerem albo płynęła kajakiem do sklepu, zostawiała dziewczynkę w domu. Wiedziała, jakie kobiety przy kasie potrafią być w stosunku do dzieci. Jak na nie napierają, dotykają ich włosów, wpychają w nie słodycze. Jej ciemna mała dziewczynka nie zniosłaby tego. Może pojawiłyby się pytania. Może znów musiałyby siedzieć naprzeciwko kogoś, oddzielona biurkiem. Kuratorka znów zaczęłaby tu przyjeżdżać. Znów będzie pod lupą. Nie, dziewczynkę powinna zatrzymać dla siebie.

Przed wyjazdem do sklepu pokazywała na zegarze ściennym, o której wróci, ale dziewczynka była oczywiście za mała, żeby zrozumieć. Kristina śpieszyła się co sił i zawsze niepokoiła się, że coś stanie się małej pod jej nieobecność. Studnię przykryła dużym kamieniem, schowała noże, narzędzia i zapalki. Ale wydarzało się jedynie to, że dziewczynka zasypiała. Często, kiedy Kristina wracała z pełnym plecakiem, znajdowała małą spokojnie oddychającą na kołdrach, z któryms z znalazisk z pudeł przy sobie.

Pewnego dnia dziewczynka znalazła długopis. Kiedy Kristina wróciła ze sklepu, mała siedziała na kołdrach i mazała po ścianie. Kobieta zobaczyła dużo maleńkich ptaszków. Pozwoliła dziewczynce dalej rysować. Kiedy ta zrozumiała, że Kristina się nie gniewa, kontynuowała swoje dzieło. Od czasu do czasu, kiedy kobieta pracowała nad swoimi dziełami albo gdy wychodziła załatwić sprawy, dziewczynka brała długopis i rysowała na ścianie ptaki.

Miała szczególny stosunek właśnie do ptaków. Tak jak Kristina potrafiła nawiązać

kontakt z sarnami w ciemności, zbliżyć się do zajęcy, nie płosząc ich i sprawić, że pokazywał się zazwyczaj płochliwy lis. Ale ptaki były jej najbliższe. Kiedy przybijała do najdalszych szkieł, zbierały się wszystkie wokół niej, a w ich krzyku rozbrzmiewał ton zadowolenia i radości, których Kristina nie słyszała nigdy, kiedy była tam sama.

Dziewczynka potrafiła sprawić, że siadały jej na wyciągniętych rękach i dłoniach. Mogła trzymać je przy twarzy, a z jej ust płynęły dźwięki, dźwięki tak dziwne, że Kristina nie potrafiła uwierzyć, że może je wydawać człowiek, dźwięki, które nie powstawały w ustach, tylko niżej, w gardle, w piersi, gdzieś głęboko w jej wnętrzu, a potem wyłaczały się z nich jak wiatr. A ptak obok słuchał, spokojnie siedząc z przechyloną głową i oczami jak czarne krople.

Kristina prała brązowy kombinezon dziewczynki ze swoimi ubraniami w dużej balii i wieszała go na sznurku między jabłonią a jarzębiną. Ciepła, słoneczna pogoda utrzymywała się i ubrania były zawsze suche, kiedy nadchodziła pora na wędrowkę albo wycieczkę kajakiem o zmroku.

Czasami kąpała też w balii dziewczynkę. Szczególnie stopy mała miała bardzo brudne.

Przez cały czas nie miała butów. Była bosa, gdy wyczołgała się wtedy z namiotu. Kristina myślała, żeby kupić parę dziecięcych bucików, nie wiedziała jednak, jaki powinna nabyć rozmiar. Ale dziewczynka chyba dobrze radziła sobie na boso, więc postanowiła poczekać z tym do jesieni.

Kristina uważała, że przebywa we wznoszącej się spirali szczęścia. To było niemal przerażające. Gdzie to się skończy? Zaczęło się, kiedy dostała ten domek i potem, kiedy odkryła głosy w przedmiotach, a kiedy zaczęła tworzyć swoje dzieła, wzniosła się jeszcze wyżej. Potem jak biały oszczep pojawił się kajak i cisnął nią jeszcze wyżej. A teraz dziewczynka! Wznosiła się i wznosiła w wieży ze szkła i światła.

Aż pewnego ranka coś poczuła. Muśnięcie zimna. Cień. Na razie był daleko od niej, ale zbliżał się. Nieznośne, dobrze znane uczucie. Na początku pobytu w domku cienie często na nią polowały.

Nadal miała swoje tabletki i wiedziała, że są skuteczne. Sprawiały, że cienie się cofały. Nienawidziła jednak tabletek i jak najdłużej unikała ich zażywania. Przytępiały jej zmysły, tłumiły instynkty. Broniły ją przed cieniami, ale jednocześnie oddzielały ją od natury, od jej nocnych snów, od szepczących głosów, muszli i piór.

W końcu i tak je zażyła. Nie chciała ryzykować i być znów stworzeniem-cieniem,

zamykającym się w sobie i ukrywającym twarz za maskami. Dziewczynka nie mogła jej takiej zobaczyć.

Było to o świcie. Płynęły kajakiem w głąb fiordu. Delikatny wiatr malował nikle wzory na powierzchni wody. Tylko bryza, niewiele wiatru, ale dostatecznie dużo, żeby nie wybierać się kajakiem na otwarte morze.

Płynęły wzdłuż wybrzeża. Wrzosa i skały rozciągały się na pustkowiu, tu i ówdzie poprzecinanych szczelinami, w których zebrała się cała urodzajność. Wypełniała je przypominająca dżunglę zieleń, a korony drzew wytryskiwały pomiędzy szarymi skałami, jakby na dole wzrosło ciśnienie, a roślinność wykipiała z brzegów.

Wybrzeże stało się bardziej strome. Skała miała ciemniejszy kolor. Wysokie, pionowe ściany wznosiły się z szarego fiordu jak mury niezdożytego zamku czarnoksiężnika. Dziewczynka wygięła szyję i patrzyła w górę. Uwiesiła się ramienia Kristiny, przeszkadzając jej w wiosłowaniu. Ta przestała wiosłować i też spojrzała w górę. Skała była czarno-biała, tu i ówdzie występowały pofalowane słoje. Na najwyższej półce siedziało kilka mew srebrzystych. Od ściany bił chłód.

Kristina poprawiła dziewczynkę i popłynęła dalej. Duży, niemal sześcienny blok skalny zmusił ją do zmiany kursu. Za blokiem ukazała się mała plaża. Zeszły na ląd i wciągnęły kajak. Kristina wyjęła dwa koszyki. Dziewczynka miała teraz własny. Z koszami w rękach rozpoczęły poszukiwania.

Kristina nie przypominała sobie, by wychodziła tu na ląd. Pamiętałaby to miejsce. Pionowa, czarna ściana, a tuż obok wszystkie te geometryczne bloki o ostrych krawędziach. Leżały w stosach pod skalną ścianą, w nieładzie, niektóre na sztorc, jakby stanęły w trakcie toczenia się. Jakby były z innej skały niż czarna ściana obok. Duża brązowo-czerwona powierzchnia pęknięcia wysoko w górze zdradzała, gdzie tkwiły, zanim runęły. Jak rana, która się jeszcze nie zagoiła.

Kristina wiodła wzrokiem po ziemi. Rozłogi z gęsiówki pełzały po piasku, a srebrnik rozpościł swoje gumiate liście pokryte matową mgiełką. Wydmy muszli pokrywały plażę przy wodzie.

Dziewczynka przeciskała się przez grubą ścianę roślinności, która zatykała wylot szczeliny. Znikła w wąskiej przestrzeni między dwoma jałowcami. Koszyk utknął i wystawał w zagadkowy sposób, a dziewczynka szarpała i mocowała się z nim, aż w końcu udało jej się go pociągnąć za sobą.

Kristina włóczyła się po plaży. Muchy brzęczały w czarnych, wysuszonych przez

słońce wodorostach.

Dziewczynka wróciła z koszykiem. Kristina zauważyła, że wciąż jest pusty. Mała podnosiła muszle i kamienie, przyglądała się im, trzymała w ręku, słuchała, czekała, jak to podpatrzyła u Kristiny. Ale nie, nic, nic nie mówiło do niej tego poranka. Podała się, odrzuciła koszyk i zwinnie wspięła się po jednym ze skalnych bloków. Potem zeszła na drugą stronę i znikła między głazami.

Kristina podążyła za nią. Pod kamieniami usłyszała zduszony śmiech małej, jak ptasi świergot, a następnie cmoknięcie, głośne i żarliwe.

Kiedy płynęły z powrotem, ich koszyki nadal były puste, ale Kristina wiedziała, że dokonały największego odkrycia lata.

Miały teraz nowy azyl, chłodną kryjówkę przed słońcem i ludźmi. Kiedy były już na najdalej wysuniętych szkiełach, dopływały w to miejsce. Czasami docierały tam drogą lądową, wędrując przez skały.

Wczołgiwały się w naturalnie uformowaną kryptę, pod głazy, po kamiennej ścianie, do miejsca, gdzie podstawa wyrównywała się w półkę i gdzie kończył się korytarz. Tam pościeliły paprociami i puchem edredonowym, moszcząc sobie gniazdo.

W środku było jak w osobnym świecie. Skała miała ciepły brązowo-czerwony kolor, jak stare złoto. Słońce wsączało się w szczeliny między kamiennymi blokami.

Wzniesienie w korytarzu było strome, a sufit w jednym miejscu tak niski, że Kristina musiała się kawałek czołgać. Kiedy brała tabletki, brakowało jej zwykłej zręczności i siły. Osunęła się obok dziewczynki na puchowe posłanie, wyczerpana, z podrapanymi rękami i kolanami.

Zazwyczaj leżały, żartowały i bawiły się bez słów, w sposób, który się między nimi wykształcił. Chwytały się delikatnie, łaskotały, dmuchały sobie na skórę. W otworze między dwoma głazami widziały czarną skalną ścianę wpadającą do morza. Niekiedy długo leżały nieruchomo i patrzyły, jak mewy srebrzyste siadają na wąskich półkach.

Z czasem robiły się senne. Kristina obejmowała dziewczynkę ramieniem i przy plusku fal i wrzasku mew zapadały wspólnie w południową drzemkę. Spały przez kilka godzin, blisko siebie, a gdy słońce zaczynało zachodzić, wracały do domu.

ULRIKA

Śniło mi się, że stoję na werandzie Gattmanów i zaglądam przez okno. Na zewnątrz panowała ciemność i chłód. W środku nad stołem w jadalni paliła się secesyjna lampa, a w ciepłym kręgu jej światła widziałam Andersa i Åse jedzących kolację z Jonatanem, Maxem i małą Heddą. Ta siedziała na wysokim krzeselku dziecięcym, a Åse karmiła ją kawałkami grubo pokrojonej kromki chleba. Anders siedział przy jej drugim boku. Chłopcy byli odwróceny do mnie plecami. Świeżo wypieczonym chlebem pachniało aż na werandzie.

Zapukałam w szybę, ale chyba mnie nie zauważali. Wtedy poczułam, jak ziemia drży od zbliżających się ciężkich kroków, i jeszcze mocniej uderzyłam w okno.

Anders wstał, nachylił się nad stołem i zaskoczony spojrział na mnie. Åse chwyciła go za rękę i trzymała w silnym uścisku. Drugą dłonią zakryła Heddzie oczy, jakby chroniąc ją przed spodziewanym okropnym widokiem. Tuż za mną na drewnianej podłodze werandy słychać było ciężkie kroki. Chłopcy odwrócili się do mnie. Najpierw spojrzeli na mnie, a potem na coś za mną, osłupiali i przerażeni. Zamknęłam oczy i chwyciłam się mocno parapetu.

Kiedy się obudziłam, chwilę zajęło mi zrozumienie, gdzie się znajduję. Zupełnie, jakbym ocknęła się ze snu i odkryła, że jestem w innym śnie.

Było ciemno. Okno w pokoju znajdowało się nie w tym miejscu, co trzeba. Pod przeciwległą ścianą zobaczyłam drugie łóżko i przypomniałam sobie, że jestem w domu Gattmanów. Weszłam do starego łóżka Anne-Marie około piątej, a teraz musi być już wieczór. Albo może noc. Czułam się niesamowicie dezorientowana.

Nie mogłam teraz jechać samochodem do domu. Co za szalony pomysł, żeby tu wejść! Żeby w ogóle tu przyjeżdżać. Najlepsze, co mogłam zrobić, to ponownie zasnąć i wrócić do domu, gdy tylko zrobi się jasno.

Ale nie mogłam zasnąć. W pokoju panował chłód. Wstałam i zadygotałam, kiedy zdjęłam z siebie kołdrę. Nagle uświadomiłam sobie, co sprawiło, że po przebudzeniu byłam tak zmieszana. Wciąż czułam zapach świeżo wypieczonego chleba ze snu!

Założyłam buty i kurtkę, wyszłam z pokoju na strome schody.

Zatrzymałam się na podeście na piętrze Tora i Sigrid. Tak, rzeczywiście pachniało świeżo pieczonym chlebem. Usłyszałam dźwięk. Słaby i trudny do zidentyfikowania. Jak krople drobnego deszczu. Albo drepczący, chrzęszczący odgłos łapek szczura.

Krok za krokiem schodziłam po schodach. Czasami dźwięk cichł, a gdy stałam przez

chwilę nieruchomo - wyczekując, nasłuchując - znów się pojawiał. Szybko. Wolno. Szybko. Zrozumiałam, że to nie może być deszcz ani szczur. Odgłosy natury nie brzmią w ten sposób, natura jest bardziej celowa, wytrwała. Ten pęd, a potem powstrzymywanie się, posuwanie się po omacku, ponowny pęd mogły pochodzić tylko od człowieka.

Minęłam dolny korytarz. W kuchni i salonie było zupełnie ciemno. Dźwięk dochodził z pokoju Karin i Åkego. Poszłam tam.

Zatrzymałam się w drzwiach i obserwowałam źródło tajemniczego dźwięku. Trochę się zdziwiłam, że wcześniej go nie rozpoznałam - tego dźwięku, który sama często wytwarzałam.

Cichy, nieregularny stukot dobywał się z klawiatury laptopa.

Jeśli nie liczyć księżycowej poświaty ekranu komputera, w pokoju było zupełnie ciemno, a piszący mężczyzna siedział tyłem do wejścia. Zrobił jeszcze jedną przerwę, odwrócił się i dopiero wtedy mnie dostrzegł.

Całkowicie rozumiałam jego reakcję. Zadygotał, gwałtownie i spazmatycznie, jakby rażony prądem, więc czym prędzej powiedziałam:

- To tylko ja.

Szukałam po omacku włącznika światła i znalazłam go.

- Co u diabła? - zaczął mężczyzna, kiedy lampa rzuciła na nas światło.

Wtedy go poznałam. Nosił okulary w wąskich owalnych czerwonych oprawkach i miał siwe włosy. Zabawna była ta siwizna. Jakby warstwa matowego, delikatnego kurzu osiadła na blond głowie. Miałam ochotę nachylić się i go zdmuchnąć. Poza tym się nie zmienił. Ciemne brwi, zdrowa, brązowa twarz. Nieco bardziej posępne, mocniej zaznaczone rysy twarzy.

- Jens - odezwałam się. - Nie wiem, co powiedzieć. Bardzo przepraszam.

Wzdrygnął się na dźwięk swojego imienia, ale tym razem już nie tak bardzo. Jeszcze mnie nie poznał. I dlaczego właściwie miałby poznać? Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, miałam piętnaście lat. Teraz miałam trzydzieści dziewięć. Założyłam oczywiście, że to właśnie Jens jest w tym domu, ponieważ wcześniej tu mieszkał. On nie mógł równie naturalnie założyć, że obcy, który nagle schodzi po schodach, to dziewczynka z sąsiedztwa bywająca tu dwadzieścia cztery lata temu.

Dałam mu chwilę. Ale on nadal mnie nie poznawał. Sprawilo mi to przykrość, nie wiem właściwie dlaczego. Bo się postarzałam? Bo tak niewiele dla niego znaczyłam? Nie, nie wiem, dlaczego zrobiło mi się przykro. To było zupełnie naturalne, że mnie nie rozpoznał.

Musiałam powiedzieć, kim jestem. I nie wystarczyło się przedstawić - z imienia i nazwiska - musiałam mu też przypomnieć o domku letniskowym, w którym mieszkała nasza rodzina, o tym że byłam wakacyjną przyjaciółką Anne-Marie, że mieszkałam w ich domu

latem 1972 roku. Nic nie powiedziałam o śpiworze na Kannholmen, trochę mógł sobie dopowiedzieć sam.

Wolno pokiwał głową. Teraz wiedział już, kim jestem. Ale nadal się mnie obawiał. Przez cały czas uważnie mnie obserwował. Jakbym była szaleńcem, który może zrobić coś niebezpiecznego, jeśli odwróci się do niego plecami.

- Przykro mi, że cię przestraszyłam. Nie wiem, dlaczego zachowałam się tak nieodpowiednio. Przyjechałam tu pod wpływem impulsu. Wzięłam zapasowy klucz z muszli. Niczego nie dotykałam. Chciałam tylko popatrzeć i zrobiłam się strasznie senna. Wczoraj późno poszłam spać. Położyłam się w starym łóżku Anne-Marie i zasnęłam.

Trochę się odprężył.

- Położyłaś się w starym łóżku Anne-Marie?

Spuścił wzrok na podłogę, podrapał się po brodzie i kiedy spojrział do góry, rysy miał bardziej rozluźnione. W kątku ust można było niemal dostrzec uśmiech.

- Próbowalaś najpierw innych łóżek? Jak Złotowłosa? Zrobiliśmy kiedyś z tego reklamówkę.

- Tę dla firmy Björnsängen? Najpierw twarde sosnowe łóżko, potem miękkie, w którym prawie znika, a potem takie w sam raz?

- Widziałaś ją?

- Tak. Całkiem zabawna.

- Mój pomysł.

- Więc zajmujesz się reklamą?

- Tak. Napijesz się herbaty? Upiekłem chleb. Chyba już ostygł.

Jens robił herbatę, a ja siedziałam przy kuchennym stole i na niego patrzyłam. Miał na sobie dzinsy i granatowy, robiony na drutach sweter z kołnierzykiem, wyglądający jak rzecz z lat czterdziestych znaleziona w sklepie z odzieżą używaną. Prawdopodobnie był jednak bardziej ekskluzywny. Okulary w owalnej czerwonej oprawce zmienił na okrągłe w pomarańczowej. Mówił na luzie i zabawnie, rozstawiając jednocześnie garnek i filiżanki. Od czasu do czasu rzucał mi przez ramię szybkie spojrzenie. Miał w sobie tę poprawną sympatyczność, grzeczną, ale chłodną, do niczego niezobowiązującą; och, jak ja zazdroszczę ludziom, którzy potrafią być sympatyczni w taki sposób. Sama jestem jak małż, twarda i zamknięta, aż ktoś mnie podważy i cała ohydna maż wypływa w jednej chwili. Chlup! To nic sympatycznego.

Na nakrytym stole stały dwie świece w cynowych świecznikach. Jens zapalił je, zgasił

lampę, usiadł i nalał nam herbaty. Posmarowałam masłem kromkę chleba i przez chwilę wahałam się, zanim wzięłam ją do ust. Często tak robię, gdy jem u obcych ludzi. W dzieciństwie nigdy nie chciałam jeść, kiedy byliśmy w gościach. Ani ciastek, ani lodów, ani tortu. Sądzono, że jestem rozpieszczona, a mama się za mnie wstydziła. Teraz wiem, że to naturalna reakcja. Spożywanie stawy obcych ludzi to poważna sprawa. Kiedy ich jedzenie wchodzi w moje jelita, oni mają nade mną władzę. Jeść to jakby się oddać. To dlatego porwani odmawiali spożywania jedzenia trolli, bez względu na to, jak byli głodni.

- Więc nadal macie ten dom? - zapytałam.

Chleb był jeszcze ciepły, ciastowaty w środku i bardzo smaczny.

- To mama jest jego właścicielką. Ale nigdy tu nie przyjeżdża. Mieszka na Gotlandii. Można powiedzieć, że wstąpiła do klasztoru. Chociaż obecnie tak to się chyba nie nazywa. Ona mówi o tym „wspólnota”. Mieszka razem z siedmioma katoliczkami w gospodarstwie, gdzie hodują owce i uprawiają warzywa. Nie widziałem się z nią od kilku lat. Nie chce, żeby tam przyjeżdżać. Ale czasami do siebie dzwonimy. Chyba ma się dobrze. Od lat nie słyszałam jej tak wesołej.

- A Åke? Gdzie mieszka?

- Åke nie żyje.

- Czytałam kiedyś, że miał atak serca - powiedziałam.

Przypomniałam sobie nagłówki ze zdjęciami chudego Åkego z jakąś kobietą o rozjaśnianej, trochę tandetnej fryzurze.

- Ale wtedy przeżył. Szkoda. Tak, naprawdę. Wówczas jeszcze go szanowano. Napisano by mu ładne długie nekrologi i wszystkim znanym postaciom kultury zadano by w ankiecie pytanie: „Jak zapamiętałeś Åkego Gattmana?”, a wtedy pamiętano by tylko wiele dobrych rzeczy. Nikt nie wspomniałby, że upłynęło kilka lat, odkąd coś opublikował. Wcześniej był przecież niezwykle twórczy. Postrzegano by to może jako śmierć w trakcie jakiejś przerwy na tworzenie.

Wtedy go odratowano. Mona, z którą mieszkał, znalazła go w toalecie, odwiozła do szpitala i postawili go na nogi. W gazetach twierdził, że był po drugiej stronie i został wskrzeszony. Chyba trochę dramatyzował. Sądzę, że przesadzał. Ale później często zastanawiałem się, czy Mona nie żałowała, że pozwoliła go wskrzesić. Potem pewnie miała z nim już tylko piekło. Zupełnie się rozpił i kiedy pod koniec nie miała już siły, on się stoczył. Nie było już trzeźwych okresów. Tylko równia pochyła. Cztery ściany na przedmieściu opłacane przez opiekę społeczną. A potem już nawet i to się skończyło. Ulica. Zamarzył na śmierć w 1989 roku. Wyobrazasz sobie? Tata był kloszardem. Ale nie zdawaliśmy sobie z

tego sprawy, dopóki nie przeczytaliśmy świadectwa zgonu. Nie mieliśmy z nim żadnego kontaktu przez ostatnie lata, ani ja, ani mama, ani moje rodzeństwo.

Próbowałam wyobrazić sobie Åkego Gattmana jako kloszarda. O dziwo, okazało się to nietrudne. Widziałam, jak rumiana twarz staje się coraz bardziej rumiana, czerwono-sflaczała, nieogolona. Widziałam, jak potargane blond włosy robią się coraz bardziej potargane, szare, posklejane. To jego trochę zarozumiałe zmanierowanie, napuszenie, które brałam za pewność siebie, z czymś takim spotkałam się też u pijaków. „Jestem naprawdę kimś, nie jestem tym śmieciem, na którego wyglądam”. Obrona swoich praw. Uderzyło mnie, że przecież mogłam go kiedyś widzieć. Na ławce w parku Brunnsparken czy gdzieś indziej. Obszarpany, cuchnący tłumok, obok którego przeszłam szybkim krokiem. Åke Gattman. Dobry Boże.

- Kto się teraz opiekuje domem? - zapytałam. - Jest przecież w bardzo dobrym stanie.

- Eva i jej mąż. Oboje pracują w szkole ludowej w Smalandii, ale każdego lata przez kilka tygodni coś tu reperują. Czasem na weekend przyjeżdża Lis ze Stefanem, ale mają swój dom na Koster. I dużą rodzinę, czwórkę dzieci. Więc brakuje im czasu. Dokroić chleba?

- Tak, poproszę. Bardzo dobry.

Zabrał do zlewozmywaka jedną ze świec, żeby poświęcić sobie przy krojeniu chleba. Jego wielki cień ruszał się po niebieskich drzwiczkach szafek.

- Musiałem upiec. Nie dotrę do sklepu bez samochodu.

- A Anne-Marie?

- Anne-Marie mieszka w Stanach. Nie była w Szwecji od dziesięciu, dwunastu lat. Nie podoba jej się tu. Dom stoi przeważnie pusty.

- Dziwne, że jest w tak dobrym stanie. Materiał na sofie jest przecież ten sam, co wtedy? Zupełnie się nie zniszczył. Musi być dobrej jakości.

- Pewnie dlatego, że nikt tam nie siada.

Postawił na stole świecę i kosz z pokrojonym chlebem. Potem z szafy gdzieś w ciemnościach przyniósł butelkę i dwa kieliszki do wina. Zdarł aluminiową osłonę i szybkim, sprawnym ruchem wkręcił korkociąg.

- W sumie trochę szkoda - dodał przez zaciśnięte zęby, wyciągając korek.

- Nigdy nie myśleliście o sprzedaży? Albo wynajmie?

Pokręcił głową i uśmiechnął się pogodnie. Nie pytając, nalał wina do kieliszków.

- Nie. Mama nigdy nic o tym nie wspominała. Czasami zastanawiam się, czy pamięta, że ma dom w Tångevik. Nie przyjeżdża tu od dwudziestu lat. Ostatni raz byliśmy tu wszyscy latem 1972, kiedy tu mieszkałaś.

Upiłam trochę wina.

- Często się zastanawiałam, co stało się z Mają? Czy kiedykolwiek nauczyła się mówić? Jens pokręcił głową.

- Nie. Nigdy. Jak wiesz, mama i tata rozwiedli się. Tata przeprowadził się do Göteborga. Zamieszkał z Moną, wprowadzał się do niej i wyprowadzał, wiele zwrotów, wiele kobiet, ale do niej zawsze wracał. Aż i to się skończyło, liczył się tylko alkohol. Mama sprawowała opiekę nad Mają. Nagle ona stała się jej jedynym dzieckiem. Anne-Marie wybyła do Stanów i już nie wróciła. Eva i Lis usamodzielniały się. Ja zostałem jeszcze rok, aż skończyłem liceum, mogłem ubiegać się o pożyczkę studencką i stanąć na własnych nogach. Kiedy się wyprowadziłem, dom w Bromma zrobił się za duży dla mamy i Mai. Sprzedała go i kupiła mieszkanie na Kungsholmen. Wypowiedziała pracę w „Dagens Nyheter” i załatwiła sobie kontrakt wolnego strzelca. Na początku różnica nie była tak znaczna, zawsze dużo pracowała w domu. Ale o wiele więcej czasu poświęcała Mai. Jeździła z nią do różnych lekarzy i wkrótce usłyszała diagnozę: autyzm. Nie wiem, czy to trafna diagnoza. Ale Maja wyraźnie odstawała od normy i jakoś przecież trzeba to było nazwać.

Maja pochłaniała coraz więcej czasu mamy, a ona otrzymała zasiłek opiekuńczy i coraz mniej pisała. Zresztą w DN nie byli już specjalnie zainteresowani. Pisała coraz więcej o religii i dopóki dotyczyło to buddyzmu albo prymitywnych religii, było okej, ale kiedy pojawiło się za dużo chrystianizmu, znużyło ich to. Wygasł jej kontrakt z DN, a wtedy zgłosiła się do czasopism chrześcijańskich. Nie były równie hojne, więc pogorszył się jej standard życia. Ale nie sądzę, żeby się tym zbytnio przejmowała. Koncentrowała się tylko na Mai i przemyśleniach religijnych. Kiedyś pożyczyła ode mnie pieniądze na podróż. Ona i Maja jeździły po południowej Europie, odwiedzały klasztory i święte miejsca. Podróżowały w najtańszy sposób, autostopem i pociągiem. Staraly się o stypendia. Mieszkały w klasztorach, w zamian wykonując prace domowe.

Mama zawsze poszukiwała nowych metod pomocy Mai. Przez jakiś czas był to hipnotyzer, w którego bardzo wierzyła. Próbował nakłonić małą do powrotu do czasu niemowlęctwa w domu dziecka w Bangalore. Nie udało im się. Wtedy chciał, żeby jeszcze raz przeżyła lato, w czasie którego zaginęła. To też się nie powiodło. Nigdy nie spotkał człowieka tak odpornego na hipnozę.

Kiedy Maja miała dwanaście lat, przeprowadziły się do Varberg. Mama skontaktowała się z tamtejszym lekarzem, specjalistą od autyzmu, który prowadził jakieś badania we współpracy z tamtejszym szpitalem. Bardzo w niego wierzyła i zaprzyjaźniła się z nim. Cholera wie, czy coś ich nie łączyło. W każdym razie to z jego powodu przeprowadziła się do Varberg i zamieszkała w małym trzypokojowym mieszkaniu blisko szpitala. Tak czy owak

nie osiągnął z Mają widocznych rezultatów, chociaż pisał o nich w swoich raportach. Po roku zarzucił projekt dotyczący autyzmu i przeprowadził się do USA. Karierowicz, zdaje się. Ale Maja i mama zostały w Varberg jeszcze przez kilka lat. Wiodły chyba dość samotnicze życie, które nie służyło żadnej z nich.

Kilka lat później mama przechodziła jakiś kryzys i znalazła się w szpitalu psychiatrycznym. Lekarz, z którym wtedy rozmawiałem, stwierdził depresję i symptomy przypominające neurozę. Tymczasem Maja mieszkała u rodziny zastępczej, która przez kilka lat odciążała mamę.

- A gdzie teraz jest Maja? - zapytałam.

- Zamieszkała w grupowym mieszkaniu chronionym, kiedy miała dwadzieścia trzy lata. Nadal tam mieszka. Chyba dobrze sobie radzi. A co u ciebie, Ulriko? Czym się zajmujesz?

- Jestem etnologiem. Zajmuję się mitem uprowadzenia przez trolle. Rozwiedziona. Dwóch synów, sześć i dziewięć lat. A ty?

Zaśmiał się.

- Już skończyłaś mówić o sobie?

- Potem mogę więcej - powiedziałam i napiłam się wina. - Pamiętam, że byłeś w klasie biologicznej. To było dobre przygotowanie do pracy w reklamie?

- O tak, mój Boże. Ta wiedza często mi się przydawała. Ale oczywiście nie myślałem o reklamie, kiedy uczęszczałem na ten profil, ani o karierze naukowej. Wybrałem go pewnie dlatego, że był najtrudniejszy. Chciałem sprawdzić, czy dam sobie radę. Potem przez semestr studiowałem filozofię, a następnie rozpocząłem naukę w Wyższej Szkole Dziennikarskiej. Wtedy wydałem tomik wierszy. Dzięki temu trafiłem do dziwnego artykułu prasowego.

- Ach tak? Nie wiedziałam, że opublikowałeś tomik wierszy.

Zdziwiłam się, że mi to umknęło. Zawsze podskakiwałam na widok nazwiska Gattman. Ale było to przypuszczalnie wtedy, kiedy sama miałam dużo roboty.

- Chociaż nie tylko z powodu tomiku wierszy. W równym stopniu także przez moje nazwisko. Jens Gattman. Syn Åkego Gattmana. Wydaje mi się, że to ten artykuł zdecydował o moim losie.

- Jak to?

- Ktoś w redakcji gazety wpadł na błyskotliwy pomysł, żeby zebrać elitę jutra. „Kogo będziemy słuchać w przyszłości?” zapytano i ruszyły poszukiwania młodych ludzi, którzy wyróżniali się w różnych dziedzinach. Zaproszono nas do redakcji, załatwiono przejazd i nocleg tym, co potrzebowali. Potem zebrano nas, zrobiono grupowe zdjęcie i przeprowadzono wywiady. Mój Boże, co za brygada! - Zaśmiał się. - Była tam więc nieśmiała trzynastolatka,

która komponowała symfonie. Prawie się nie odzywała. Pamiętam też chłopaka z Dalarny, małego, krępego kolesia w wieku dziewiętnastu lat, który miał zostać naszym nowym Jussim Björlingiem. Człapał z rękami założonymi z tyłu i kiedy mówił, przypominał pomrukującego niedźwiedzia.

Była też niewiarygodnie pewna siebie dziewczyna z młodzieżowej federacji partii umiarkowanej, przekonana, że zostanie pierwszą kobietą-minister finansów Szwecji. Nie premierem, tylko ministrem finansów. Znała mianowicie idealne rozwiązanie problemów ekonomicznych kraju. Potrafiła odeprzeć wszystkie zarzuty szybko, składnie i z lodowatym uśmiechem. Gdy się jej słuchało, przechodziły dreszcze.

I - mój Boże, to było niesamowite zgromadzenie - nowy Stenmark z Växjö. Miał dziesięć lat i każdy tydzień spędzał na trasach narciarskich we włoskich Alpach. Jeździł slalomem, odkąd skończył dwa lata.

Zaprosili też zabawną odrzucającą włosy dziewczynę. Wypinała piersi i wyglądała na przebiegłą. Zrobiła karierę w organizacji uczniowskiej i przedstawiała się jako feministka. Nie pamiętam, w jakiej dziedzinie miała się wspiąć na szczyt.

Tak, i był też oczywiście mały śliski sprzedawca, wiesz, taki, który wyłudzał kieszonkowe od swoich kolegów, podwędzał jabłka sąsiadowi i sprzedawał innemu oraz przez cztery lata z rzędu inkasował wygraną za najwyższą sprzedaż gazety bożonarodzeniowej.

Nie pamiętam wszystkich. Zebrano nas piętnaścioro. Ja byłem pisarzem z przyszłością. Kompletny absurd. Najpierw robienie zdjęć. Wieziono nas kilkadziesiąt kilometrów na jakąś budowę drogi. Tam musieliśmy stać na prostej, świeżo wyasfaltowanej drodze, która, zamknięta jeszcze dla ruchu, znikąca wśród pól, i patrzeć triumfalnie w obiektyw.

The dream team. Potem powrót do redakcji i wywiady w cztery oczy. Siedzieliśmy w poczekalni, gapiliśmy się na siebie i wchodziliśmy pojedynczo do dziennikarza. Nagrywano także naszą dyskusję. Mieliśmy rozmawiać o przyszłości, cała piętnastka. Pojawiło się kilka rozsądnych i mądrych monologów. Nikt z nikim nie dyskutował. Poza feministką, która wdała się w jakąś sprzeczkę z nowym Jussim Björlingiem i niemal się na niego rzuciła. Nie rozumiem dlaczego, prawie nic nie mówił i wydawał się taki dobroduszny. Ale wyjątkowo ją sprowokował. Sądzę, że wyzwolił w niej jakiś kompleks ojca.

Wieczorem odbyła się uroczysta kolacja w wynajętym lokalu. Siedzieliśmy tam, wszyscy ci młodzi geniusze, Mały Stenmark, Mały Jussi - cała brygada. Mieliśmy się odprężyć i być sobą, ale dziennikarze nie potrafili się powstrzymać. Zaglądali przez drzwi, machali i uśmiechali się. Chcieli pewnie wychwycić coś z iskrzącej talentem rozmowy, która

miała się wywiązać przy kolacji. Nikt nie powiedział ani słowa. Był to najbardziej cichy posiłek, jaki w życiu jadłem. Dziewczyna z partii umiarkowanej zerkała od czasu do czasu w stronę dziennikarzy w drzwiach, ale kiedy zdała sobie sprawę, że nikt nie będzie dokumentował jej mądrości, uznała, że nie oplaca się otwierać ust. Feministka chyba straciła zapal i wyglądała po prostu na zmęczoną. Jedliśmy i żuliśmy, a sztucce dzwoniły o porcelanę. Pamiętam, że podali indyka.

- Teraz musisz powiedzieć, kto tam był - powiedziałam.

- Chodzi ci o to, jak się nazywali? Mój Boże, nie pamiętam.

- Ale nikt, kto potem stał się sławny?

- Nikt. Ani jeden z tej piętnastki nie został kimś. W każdym razie nie na tyle znanym, żeby się o nim słyszało. Nikogo nie widziałem w mediach. To zresztą oczywiste. Być mianowanym elitą przyszłości! To aż nadto, by zupełnie kogoś pogrzyźć. Mnie w każdym razie zrobiło się niedobrze, kiedy zobaczyłem to zdjęcie grupowe na rozkładówce i nieco niżej moje - poważny, młody poeta patrzący melancholijnie spod niesfornej blond grzywki. I opis, w którym znalazły się nazwiska mamy i taty. Oraz dziadka.

Mówiąc, dolewał nam do kieliszków. Czerwone cienie od wina kołysały się nad blatem. Za oknem i drzwiami werandy widać było tylko gęstą ciemność, bez najmniejszego śladu światła.

- Prawie się od tego artykułu pochorowałem - ciągnął Jens. - Byłem wtedy na drugim semestrze Wyższej Szkoły Dziennikarskiej i kończyłem akurat drugi zbiorek wierszy, ale postanowiłem, że nie, nigdy więcej. Nigdy. Rzuciłem uczelnię w połowie semestru. Rozpocząłem pracę na poczcie i kiedy zarobiłem trochę pieniędzy, wyjechałem w kilkuletnią podróż. Maroko, Indie, Australia, typowo.

Któregoś razu, w drodze do domu, zanim złapałem samolot, przesiedziałem całą dobę na lotnisku w Singapurze. To mi nie przeszkadzało, lotnisko zupełnie jak miasto, można mieszkać tam całe życie. Chodziłem po piętach. Reklamowali jakąś japońską markę samochodu. Wszędzie wisiały ogromne plakaty i spędziłem z nimi całą tę dobę. Myślałem o wszystkich, którzy patrzyli na nie, te setki tysięcy ludzi przewalały się tutaj i dostrzegały nazwę japońskiej marki. Leżałem na ławce z głową na plecaku, widziałem ludzi, plakaty i myślałem o tym, jak by to było oddziaływać na setki tysięcy, miliony ludzi. Zamiast na tych dwustu, którzy czytali mój zbiorek wierszy. Co za władza! Po powrocie do domu postanowiłem zająć się reklamą. I od tego czasu to robię. Dwanaście lat w biurze reklamy, a potem własna działalność.

- Czy okazało się to tak cudowne, jak ci się wydawało? - zapytałam.

Pochylił się do przodu. Oczy lśniły za okrągłymi okularami.

- Lepiej. Wiesz, reklama, to był... zakazany owoc! Naprawdę *dirty*. Komercja. I to wywieranie wpływu bez konieczności ujawniania się, to mi idealnie pasowało. Moi rodzice byli znani i wcale mnie to nie pociągało. Lubię iść anonimowo po mieście, widzieć duże plakaty z moim pomysłem i dostrzegać, jak wszyscy na nie patrzą, ale nikt nie patrzy na mnie.

Potem robiłem też inne rzeczy - ciągnął. - Pisałem dla telewizji. Rewie. Opery mydlane. Robiłem szkolenia dla firm. Co się dało. Napisałem nawet tekst piosenki na festiwal.

Teraz to całkiem okej zajmować się czymś takim. Nie jest się już nieposłusznym chłopcem. I dlatego to trochę mniej zabawne. Parę dni temu młoda studentka pisząca pracę o roli płci w operach mydlanych przeprowadziła ze mną wywiad. Sądziłem, że będzie zadzierać nosa. Ale nie. Pytała mnie o metody twórcze, zbieranie materiałów, o to, jak kształtuję postaci. Uważnie i z powagą wsłuchiwała się we wszystko, co mówiłem. Traktowała mnie z szacunkiem, niemal czią. Jak starego mistrza jakiegoś wytwornego rzemiosła. I w pewnym sensie miała rację. Dziwnie mnie to jednak zirytowało. Ostatnio coraz bardziej marzy mi się napisanie czegoś zupełnie innego. Zabrałem więc laptop i przyjechałem tutaj. Żona zostawiła mnie z zapasem jedzenia i obietnicą, że przyjedzie po mnie w przyszły poniedziałek. Jest na szkoleniu w Kopenhadze.

- To dlatego nie widziałam samochodu.

- Tak. Jestem tu całkowicie odosobniony - powiedział ze śmiechem. - Czy raczej byłam - dodał.

- Przeszkadzam ci.

- Nie.

Wyciągnął szybko rękę nad stołem i przez chwilę przytrzymał ją na moim przedramieniu.

- Miło jest mieć z kim pogadać. Zacząłem dziwaczeć. Tak, w zasadzie stwierdziłem, że zdziwaczałem, kiedy wróciłem ze spaceru i zauważyłem, że drzwi są otwarte. A kiedy zaskrzypiały schody i stanęłaś w ciemności, prawie umierałem ze strachu.

- Naprawdę to rozumiem - powiedziała. - Strasznie mi wstyd. Zupełnie nie pojmuję, dlaczego tu przyjechałam i weszłam do środka. Jakiś czas temu byłam tu z moimi chłopcami. Chciałam im pokazać to miejsce. Domek letniskowy, gdzie bywałam jako dziecko, plażę, gdzie się kąpałam. Dom, w którym mieszkała moja koleżanka. No wiesz. Chłopcy nie byli może aż tak zaciekawieni. Jak większość dzieci nie potrafią sobie pewnie wyobrazić, że ich rodzice też byli dziećmi. Oczywiście to wiedzą, ale trudno im to sobie wyobrazić, nie mogą w

to uwierzyć.

- Tak, wiem - rzekł Jens. - Mama często opowiadała o swoim dzieciństwie. Kiedy wyobrażałem sobie ją jako dziecko, widziałem głowę mojej dorosłej mamy na tułowiu dziewczynki. Potrafiłem zrozumieć, że miała małe ciało, ale nie że miała inną twarz.

- Samemu trzeba najpierw dorosnąć - zauważyła. - Przeżyć duże zmiany zachodzące w ciele i osobowości, zanim się w pełni pojmie, że inni też się zmieniają. Więc to, co opowiadałam chłopcom, było całkiem abstrakcyjne. „Tu na plaży bawiłam się w piasku. Ten czarny kamień był zamkiem, a ja kopałam wokół niego fosę” i tak dalej. Ciekawiło ich to pewnie tak samo jak patrzenie na groby wikingów i kamienie runiczne. Czas, kiedy jeszcze nie było mnie na świecie, pamiętam jako mało interesujący. Taki nierzeczywisty. Właściwie wiedziałam, że tak zareagują. Zaplanowałam to również jako wyprawę na ryby. Wzięliśmy ze sobą spinning Jonatana. Kiedy zobaczyłam nasz domek letniskowy, nic nie poczułam. Tak się zmienił. Zupełnie przebudowany. Działka rozparcelowana. Dookoła stało więcej domków. Ale kiedy doszłam do waszego domu, oładnęły mną tak silne uczucia. Jakby to był mój prawdziwy dom z dzieciństwa. Wiesz, że zawsze marzyłam, żeby należeć do waszej rodziny?

Jego ciemne brwi uniosły się z zaskoczenia.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem. Nie dlatego, że byliście znani czy tym podobne, ale dlatego że posiadaliście to coś starego. Dziedzictwo.

- Wy też pewnie je mieliście. Wszystkie rodziny mają. Chociaż dziedzictwo różnie wygląda.

- Ale ja nigdy nie identyfikowałam się z dziedzictwem rodziców. Niczego nie rozpoznaję. Kiedy jednak przyszłam do waszego domu, od razu się odnalazłam. Przez jakiś czas fantazjowałam, że znalazłam dokument poświadczający, że jestem bliźniaczką Anne-Marie. Karin i Åke oddali mnie do adopcji po moim urodzeniu.

- Skąd taki pomysł?

Odstawił kieliszek i obserwował mnie badawczo.

- Takie fantazje ma chyba większość dzieci. Czy to nie całkiem normalne? Powątpiewanie, czy oby jest się prawdziwym dzieckiem swoich rodziców? To pewnie jakiś proces emancypacji czy coś w tym rodzaju. Ta fantazja była przyjemna, a zarazem miała w sobie coś nieprzyjemnego. Bo jeśli oddali mnie do adopcji, to dlaczego to zrobili? I dlaczego zatrzymali Anne-Marie, a nie mnie? Dlatego, że się nie nadawałam. Zatrzymali Anne-Marie, bo była słodsza, zabawniejsza, lepsza.

- Skąd ci się to u licha wzięło, Ulriko?

- Skąd się biorą takie rzeczy? Z wewnątrz oczywiście. To było poczucie. Odczuwałam z wami wszystkimi silne pokrewieństwo. Wasze zainteresowanie sprawami społecznymi i kulturą. Sposób, w jaki dyskutowaliście i prowadziliście rozmowy. Powiązywaliście ze sobą różne sprawy, widzieliście w egzystencji wzory. U mnie w domu tego nie było. Nigdy tak ze sobą nie rozmawialiśmy. Znalazłam u was coś bardzo ważnego. A potem nagle tego nie było. Znikliście z mojego życia. Kilka pocztówek od Anne-Marie. Poza tym kompletna cisza.

Mówiłam szybko, żarliwie, jękałam się.

- Wydaje mi się, że od tego czasu was poszukiwałam, chociaż nie uświadamiałam sobie tego w pełni. Wiesz, że urządziłam swój salon dokładnie tak jak ten pokój? W ogóle o tym nie myślałam, dopóki nie zajrzałam przez okno, będąc tu z chłopcami.

- Może cię to rozśmieszy - rzekł i rozlał nam resztkę wina - ale czasem chciałem się z tobą zamienić. Kiedy widziałem twojego tatę, myślałem, że to taki zwykły tata, którego bez wstydu można posłać na wywiadówkę. Wiele było dobrego w naszej rodzinie, masz zupełną rację, i jestem wdzięczny za takie dzieciństwo. Ale przez wzgląd na moje dzieci obiecałem sobie jedną rzecz: nigdy nie być znaną osobą. Posiadanie znanych rodziców jest obrzydliwe. Tak, jakby wszyscy inni wiedzieli o tobie więcej niż ty sam.

Pod koniec szkoły podstawowej miałem nauczyciela historii, który najwyraźniej wiedział wszystko o mamie i tacie. Przeczytał każdą książkę, każdy artykuł, oglądał każdą debatę telewizyjną, w której występowali. Wiedział oczywiście, że sympatyzowali z lewicą i z jakiegoś powodu otwarcie ich nienawidził. Kiedy uczyliśmy się historii rosyjskiej, mówił o milionach ofiar stalinowskiego terroru - a na marginesie do mnie: „Czy tata ci o tym opowiadał, Jens?”.

Napomykał o jakiejś publicznej debacie, w której brał udział tata, i mówił do mnie, jakbym wiedział, o co chodzi, a oczywiście nie wiedziałem. Tata i mama nigdy nie rozmawiali z nami o polityce. Czułem wstyd. Wstydzilem się, bo nie miałem pojęcia, czym zajmują się moi rodzice, wstydzilem się, że najwyraźniej było to coś oburzającego, wstydzilem się, bo nie potrafiłem ich obronić.

Gdy byłem w czwartej, piątej klasie podstawówki, w prasie toczyła się debata o filmie ze scenami erotycznymi i w tę debatę musiał wmieszać się tata. Świadomy efektu napisał jakieś prowokacyjne zdanie, które zawierało nieprzyzwoite słowo. Zdenerwował wielu innych ekspertów i debata się rozrastała, a wszędzie cytowano zdanie z nieprzyzwoitym słowem. Wiedział o tym każdy dzieciak na boisku szkolnym. Oczywiście znał nie samą treść debaty, ale słowo, które napisał tata. Dziewczyny mówiły, że mój stary jest obrzydliwy. Gorąco pragnąłem mieć zwykłego tatę ze zwykłą pracą. Żebym mógł opowiadać innym, co robi w

pracy, a nie żeby inni to mówili. Rozumiesz mnie?

- Tak - powiedziałam. - O tak, rozumiem.

- I co potem robiłaś? Po tym ostatnim lecie? - zapytał.

- Poszłam do szkoły średniej. Może i dobrze mi to zrobiło, że Anne-Marie wyjechała. Wcześniej tylko przetrzymywałam szkołę, tęskniąc za nią. Teraz byłam zmuszona znaleźć sobie przyjaciół w klasie. Później studiowałam mnóstwo przedmiotów na uniwersytecie. W końcu odnalazłam to, co chcę robić. Napisałam doktorat z etnologii o micie o wchłonięciach w skałę. Kontynuowałam badania na ten temat. Poszerzyłam to trochę i porównuję te mity ze współczesnymi opowieściami o porwaniach przez statki kosmiczne. Najchętniej pojechałabym do USA, bo tam jest wiele opowieści o porwaniach na statki kosmiczne. Ale to musi poczekać, aż dorosną chłopcy.

- Nie jestem pewien, czy wiem, co to jest porwanie przez trolle - wyznał Jens.

Wyjaśniłam mu więc. Ponieważ wyglądał na zainteresowanego, opowiedziałam też kilka historii. Ślady paznokci na parapecie, Zaklęty górnik i kilka innych. Jeśli nikt mnie nie powstrzyma, mogę tak w nieskończoność. A Jens mnie nie powstrzymywał. Siedział naprzeciwko mnie w blasku świec i słuchał. Kiedy wypaliła się ostatnia świeca, a jego twarz znikła w ciemności, zamilkłam. Był środek nocy.

Powiedzieliśmy sobie dobranoc. Jens wycofał się z powrotem do dawnej sypialni Karin i Åkego, gdzie się urządził, a ja weszłam po skrzypiących schodach na górę i znowu położyłam się w łóżku Anne-Marie w chłodnym pokoju na poddaszu. Uruchomiłam elektryczny podgrzewacz, w który wyposażył mnie Jens. Długo leżałam i słuchałam jego szumu, aż zasnęłam.

Jest historia porwania, której nie opowiedziałam Jensowi. Historia, którą zna i on. I na pewno to o niej myślał przez cały czas.

Obudziłam się w świetle słońca i ciszy. Masa perłowa w muszli w ruchomej ozdobie w oknie lśniła delikatnie. Spałam długo.

Ubrałam się i zeszłam na dół. Dzisiaj też słyszałam nieregularne dreptanie, ale tym razem odgłos wywołał u mnie uśmiech. Od razu powinnam była rozpoznać ten rytm. To w tym domu usłyszałam go po raz pierwszy. Stukot maszyny do pisania Karin dobiegający z werandy. Szybki i powolny, pewny i niezdecydowany. Rytm poszukującego, zastanawiającego się człowieka. Rytm, który stał się moim własnym.

- Weź, co chcesz, z kuchni. Ja już jadłem śniadanie - krzyknął Jens.

W kuchni nie było widać najmniejszego śladu po jego posiłku. Żadnego okruszka ani

łyżeczki do herbaty. Pusty zlew, blat suchy i lśniący. Nic dziwnego, że uznałam dom za niezamieszkały, kiedy się tu wczoraj włóczyłam.

Odkroiłam kromkę chleba Jensa i zrobiłam kawę.

Na parapecie leżał jednak zwinięty papier. Rozwinęłam go. Wycinek prasowy. Opatrzony tytułem „Martwa kobieta odnaleziona po dwudziestu czterech latach” i zdjęciem głazów przy Plaży Muszli, zrobionym z morza. Czytałam, gdy gotowała się woda na kawę. Pisali, że jakieś dzieci dokonały makabrycznego odkrycia podczas zabawy. Wycinek musiał pochodzić z „Bohusläningen”. Nie widziałam tej informacji w „Göteborgs-Posten”. Max i Jonatan ucieszyliby się, gdybym się postarała o ten artykuł. Byliby zawiedzeni, gdyby opowiedzieli o swoim odkryciu w szkole i nikt by im nie uwierzył, ani nauczyciele, ani koledzy z klasy.

Już wczoraj wieczorem miałam wspomnieć Jensowi o tym zdarzeniu, ale w ostatniej sekundzie powstrzymałam się. Ta kobieta zaginęła w tym samym roku, co Maja. Nie wiedziałam, czy Jens chce, żeby mu przypominać o zaginięciu Mai. Tamte upalne piekielne tygodnie. Poczucie wyobcowania, kiedy wróciła. Szkielet w miejscu, gdzie ją odnaleziono, nie, nie było potrzeby o tym mówić. Ale przeczytał o tym i może miał podobne przemyślenia, co ja, bo zachował wycinek. Zwinęłam go i położyłam z powrotem na oknie.

Kiedy zjadłam, dolałam sobie kawy i poszłam z filiżanką do salonu. Poranne słońce padało prostokątami żółtego światła na deski podłogowe. Ogarniałam wzrokiem fiord. Na dworze wciąż było ładnie.

Poszłam do sypialni, gdzie siedział Jens. Oparłam się o framugę, piłam kawę i obserwowałam jego plecy, a on pisał. Miał na sobie kraciastą koszulę. Spuścił roletę, żeby słońce nie konkurowało ze światłem z ekranu. Prześwietlone słońcem płótno o żółtawej, woskowanej powierzchni przypominało mi o ciężkich od smutku tygodniach, kiedy zaginęła Maja. Patrzyłam na ekran, ale z mojego miejsca nie mogłam odczytać słów.

- Pilny jesteś - powiedziałam.

- Tak. Ale teraz zrobię sobie przerwę.

Wyłączył komputer i odwrócił się do mnie. Zdjął okulary, przetarł oczy i znowu je założył.

- Muszę się rozruszać. Pójdziemy na spacer?

- Chyba pora, żebym wracała do domu - powiedziałam.

- Nie możesz trochę z tym poczekać? Taka ładna pogoda. Moglibyśmy pójść na długi, fajny jesienny spacer.

Zawahałam się i spojrzałam na niego znad krawędzi filiżanki. Znowu nabrałam ochoty,

żeby podejść i zdmuchnąć matowy kurz z jego włosów.

- Na spacerze chciałbym ci o czymś opowiedzieć - dodał.

- Okej.

Pogoda była łagodna, dodatnia temperatura, prawie ciepło. Mieliśmy na sobie wełniane swetry, bez kurtek. Szliśmy kawałek główną drogą, a potem skręciliśmy w małą ścieżkę. Pomiedzy zwiędłymi, brązowo-różowymi kępami wrzosów pająki rozpięły tysiące sieci tak ciasno, że wyglądało to, jakby nocą jedna olbrzymia sieć opadła z nieba i pochwyciła całą okolicę. Wszędzie w lekkim wietrze wibrowały pokryte rosą nitki.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś o swojej fantazji - powiedział Jens. - Że jesteś oddanym do adopcji dzieckiem Åkego i Karin. Czy słyszałaś, by ktoś tu mówił coś takiego?

- Nie - odpowiedziałam ze śmiechem. - Nie rozumiem, dlaczego tak się tego uczepliłaś. To zwykła fantazja u nastolatków. Jest częścią normalnego rozwoju. Nie wiedziałaś?

- Powiem ci, dlaczego pytam. Kilka lat po śmierci taty skontaktowała się ze mną Mona, jego była partnerka. Mówiła, że ma u siebie w domu papiery Åkego. Nie wiedziała, co z nimi zrobić, i zastanawiała się, czy ja bym je chciał. Poprosiłem, żeby je wysłała, po czym odebrałem na poczcie duże pudło. Najwyraźniej miał ambicję literackiego powrotu. Znajdowały się tam szkice i notatki, ale nic skończonego. Nie przypominały tego, co robił wcześniej. Były bardziej osobiste, introwersyjne. Miały inny styl. Nieśmiały i pokorny. Zastanawiam się, co by z tego powstało, gdyby tyle nie pił.

- Pisał książkę? - zapytałam.

- Trudno powiedzieć. To było bardzo nieuporządkowane. Tylko krótkie teksty i luźne kartki. Tajemnicze zdania. Niektóre wyglądały na wiersze. Inne szły bardziej w kierunku prozy. Ale wszystko krążyło wokół tego samego tematu: porzuconego dziecka.

- Jakiego dziecka?

- Tak, to właśnie nad tym się zastanawiałem. Czy to o Mai myślał. To przecież mamie przyznano opiekę nad nią, poświęciła jej całą swoją energię i czas, podczas gdy tata zupełnie stracił z nią kontakt. Ale coś się nie zgadzało. Rozłożyłem wszystkie kartki na podłodze, jakbym miał układać puzzle. I zrozumiałem, że chodziło o białe dziecko. Było dużo białego koloru: biała skóra, białe płaszcze, białe ściany, biały śnieg, biały puch.

W tych tekstach panował wielki smutek. Czułem, że tata pisał o czymś, o czym nigdy wcześniej nie opowiadał. Czego nie dało się opowiedzieć jego zwykłym prostym językiem. Wszystkie te kartki, te urwane w połowie zdania i przekreślenia oddawały poszukiwanie nowego sposobu wyrazu.

Zadzwoiłem do Mony, ale nie umiała mi pomóc. Tata nigdy nic jej nie pokazywał, a

ona nie była szczególnie zainteresowana. i nigdy nie rozmawiał z nią o dziecku.

Wtedy odwiedziłem mamę. Ponownie mieszkała w Sztokholmie, działa się to po okresie Varberg, ale zanim przeprowadziła się na Gotlandię. Rzadko się jednak widywaliśmy. Spotykała się tylko z przyjaciółmi z parafii. Mieszkała w kawalerce z kilkoma meblami i krucyfiksem na ścianie. Siedzieliśmy w jej maleńkiej kuchni i piliśmy herbatę z dzikiej róży. Opowiedziałem o kartkach taty i zapytałem, czy zna jakieś porzucone dziecko. A ona powiedziała: „Jasne. To Lenę miał na myśli”. Zapytałem, kim jest Lena, a ona odparła, jakby to było coś zupełnie oczywistego: „Twoją siostrą”.

- Twoją siostrą? - powtórzyłam.

- Tak powiedziała. Miałem świadomość, że jest trochę dziwaczna, zamknięta w sobie, zamyślona, religijna i tak dalej, ale wtedy zrozumiałem, że mówi poważnie. Sądziłem, że zwariowała. Ale wtedy ona wszystko mi opowiedziała. Spokojnie i z dystansem, jakby mówiła o kimś innym, nie o sobie.

Jens przerwał, przystanął i ściągnął sweter. W słońcu było ciepło. Zarzucił sobie sweter na ramiona i zawiązał z przodu rękawy. Niecierpliwie czekałam na ciąg dalszy.

- Wiedziałem przecież, że ona i tata poznali się wcześniej i pobrali bardzo młodo. Mama miała tylko siedemnaście lat i musieli mieć pozwolenie na ślub.

- Bo spodziewała się dziecka? - zapytałam.

- Ta myśl zawsze się gdzieś czaiła. Ale Eva urodziła się przecież kilka lat później, więc dotychczas sądziłem, że ta pierwsza ciąża skończyła się poronieniem albo że był to po prostu fałszywy alarm.

Ale to nie było poronienie. Dziecko przyszło na świat. Dziewczynka. Coś było z nią nie w porządku. Mama nie potrafiła powiedzieć dokładnie co. Ale według lekarza nie mogła żyć normalnie. Mamie nie wolno było jej zobaczyć. Zapytałem ją, dlaczego. Odpowiedziała: „Albo dlatego, że wyglądała jak potwór i chcieli mnie chronić, albo była tak słodka, że nie mogłabym jej potem oddać”.

A miała zostać oddana, tak zdecydował lekarz. Mama odmówiła. Lekarz długo z nią rozmawiał. Rozmawiał z tatą i udało mu się go przekonać. Rozmawiał z rodzicami taty i rodzicami mamy. A wszyscy z kolei próbowali przekonać mamę. Była taka młoda, sama prawie jak dziecko. Zmarnowałyby sobie życie. Ona, tak utalentowana. Nie zapewniłaby dziewczynce opieki, jakiej ta potrzebowała. Istniały instytucje, które specjalizowały się w opiece nad takimi dziećmi. Na mamę posypały się argumenty. Leżała w jednoosobowym pokoju szpitalnym. Co cztery godziny przyjeżdżano z pompką i odsysano jej z piersi pokarm. Kilka razy dziennie ktoś do niej przychodził, krewny, lekarz, specjalista i wyjaśniał, co jest

najlepsze dla niej, dla dziecka i ojca. Cały czas mówiła nie. W końcu tacie udało się ją przekonać. Miał ze sobą dokument i podpisała go. Inaczej by ją opuścił. Nie powiedział tego, ale widziała to po nim. Dopiero co się pobrali, ale nie zostaliby, gdyby zatrzymała dziecko. Była o tym przekonana.

Kiedy podpisała, pocałował ją i prawie wybiegł z pokoju z kartką w rękę. Wtedy przeżyła załamanie nerwowe. Krzyczała, płakała, porwała prześcieradło i poszewkę na strzępy. Potem rozerwała szew w poduszce i potrząsała nią, aż wyleciało całe pierze. Kiedy tata wrócił z pielęgniarką, stała na łóżku i potrząsała poduszką. Cały pokój był pełen pierza. Tak jakby w środku padał śnieg. To musiała być ta scena, która raz za razem powracała w próbach poetyckich taty.

- Ale dziewczynkę oddano? - zapytałam.

- Tak, trafiła do domu opieki. Tata i mama nigdy jej nie odwiedzali. Ani razu. Tak radził też lekarz: żeby jej nie „dezorientować” wizytami. Personel nazwał dziewczynkę Lena, a tata i mama kolejnym podpisem potwierdzili to imię. Gdy Lena miała pięć lat, zmarła na gripę. Miała bardzo niską odporność. Wtedy mama była już w ciąży z Evą.

Kiedy mama mi to opowiedziała, poczułem, że to coś, z czym się uporała. I zrozumiałem, że zmagala się z tym przez te wszystkie lata. Jej rozmyślania, pielgrzymki, pobyty w klasztorach - to była pokuta za tamten podpis. I teraz najwyraźniej otrzymała rozgrzeszenie. Albo inaczej na to patrzyła. Kiedy opowiadała o tacie siedzącym z tym brzemienym w skutki dokumentem w rękę, trochę się nawet śmiała. Mówiła niemal z tkliwością o słabości i lęku, które widziała w jego twarzy. Tak jakby dotarła do końca długiej drogi. Tej samej, którą tata dopiero co zaczął, pisząc swoje niepewne notatki. Ale nigdy dalej nie zaszedł.

- A kiedy Karin zaczęła tę drogę? - zapytałam. - Kiedy zaadoptowali Maję?

- Nie wiem, na ile to wtedy było świadome.

Zobaczyłam przed sobą zdjęcie w gazecie: Maja z przywiązaną butelką ze smoczkiem, łódeczko dziecięce, muchy.

- Ale kiedy stali w sali domu dziecka w Bangalore - powiedziałam - i zobaczyli małą dziewczynkę w łódeczku, musieli przecież pomyśleć o tej drugiej dziewczynce w innym ośrodku. Prawda?

- Może. Chociaż wydaje mi się, że mieli też wiele innych myśli. Trafili tam przecież jako dziennikarze. Mieli zbierać materiały, składać sprawozdania. Sądzę, że postrzegali swoje własne życie jako zupełnie oderwane od tego kontekstu. Narodziny Leny należały do odległej przeszłości. Od tego czasu urodziło im się czworo dzieci, a oni stali się dwojgiem

doświadczonych, cenionych fachowców. Nie, nie sądzę, że myśleli wtedy o Lenie. Mieli szerszą perspektywę. Patrzyli ostrym i krytycznym spojrzeniem na świat i ludzi, nie w samych siebie.

Szliśmy ścieżką, która wcześniej była drogą. Kiedyś jeździły tędy samochody, traktory i fura siana. Teraz w pobliżu biegła nowa, lepsza droga, a stara zarosła w ścieżkę. Nie mogliśmy już iść obok siebie. Ruszyłam przodem, a Jens za mną. Patrzyłam pod nogi i przez cały czas widziałam tę starą drogę, tę, której już nie było: szaro-białe, lśniące od wyjeżdżenia koleiny z mocno ubitego piasku z muszlami i pas trawy z babką pośrodku.

- Przychodzą mi na myśl historie o odmieńcach - powiedziałam. - Wiesz, troll zabiera matce dziecko, podrzucając do kołyski swoje własne. Większość z nich opowiada o tym, że matka wyrządza małemu trollowi krzywdę - parzy go szczypcami do ognia i tak dalej - a wtedy pojawia się matka trolla, żeby go obronić i oddaje jej dziecko. Można tylko domyślać się faktycznych tragedii kryjących się za tymi opowieściami. Dzieci, które wydawały się normalne przy urodzeniu i u których potem ujawnia się kalectwo. Selma Lagerlöf napisała bardziej chrześcijański, humanistyczny wariant tej historii, o matce, która próbuje być dobra dla złośliwego odmieńca, a kiedy w końcu odzyskuje w nagrodę własne dziecko, okazuje się, że żyło ono w jakimś równoległym bycie, sterowanym jej działaniami. Kiedy nie miała już siły i dawała małemu trollowi klapsa, w górach matka trolla dawała klapsa jej ludzkiemu dziecku, a kiedy dobrze traktowała małego trolla, mama trolla też była dobra dla jej dziecka.

- Tak, czytałem to dawno temu - rzekł Jens. - Mocna historia.

- Wydaje mi się, że można postrzegać adopcję Mai jako taką historię o odmieńcu.

- Chodzi ci o to, że mama próbowała stworzyć Lenie pełną miłości egzystencję w ośrodku, opiekując się Mają? Że próbowała wpłynąć na przeszłość?

- Tak. To oczywiście niemożliwe, ale czy nie to właśnie robimy przez cały czas? Czy całe dorosłe życie nie polega na przekształcaniu zdarzeń z dzieciństwa i młodości? Powtarzaniu ich, ulepszaniu, wygładzaniu, aż będą się zgadzać z naszym wyobrażeniem o moralności, szczęściu i estetyce. Oczywiście nie jesteśmy tego świadomi. Ja na przykład nie zdawałam sobie w pełni sprawy, że umeblowałam swój salon na wzór pokoju w waszym domu letniskowym.

- Ale jeśli tak było, jeśli mama chciała przekształcić życie Leny, obdarzając szczęściem inne opuszczone dziecko, musiało być dla niej straszne, że Maja nie przyjmowała jej miłości. Maja ją przecież odtrącała. Nie chciała być przytulana i głaskana. Mama musiała to odbierać jak karę.

- Straszne, że i to dziecko straciła - dodałam.

Milczał przez chwilę. Słyszałam za sobą tylko jego kroki na ścieżce.

- Rozmawiałem o tym zresztą z mamą - podjął w końcu - kiedy piliśmy herbatę z dzikiej róży w jej małej kuchni. Po raz pierwszy mówiliśmy o zniknięciu Mai. Wcześniej o tym nie wspominaliśmy. Było to bez znaczenia, nie dało się tego wytłumaczyć. Tylko pytania, żadnych odpowiedzi. Ale wtedy sama o tym wspomniała. Powiedziała, że wie, gdzie Maja przebywała w trakcie tamtych tygodni. Oczywiście bardzo się zdziwiłem i zapytałem: „Gdzie?”. Przez cały czas mówiła spokojnie i rozsądnie, więc nie byłem przygotowany na jej odpowiedź. Spokojnie uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: „Nie rozumiesz? Oczywiście u Leny”.

Zupełnie mnie zmroziło, bo od razu zdałem sobie sprawę, że jest szalona, mimo wszystko. Opanowałem się i zapytałem najspokojniej, jak mogłem: „Dlaczego tak myślisz?”. A ona odpowiedziała: „Puch w jej kucykach. Drobnny biały puch. To było pozdrowienie od Leny”. Wyglądała tak pogodnie i szczęśliwie, gdy to powiedziała, więc nie protestowałem.

- Musiała postrzegać to pierze z rozdartej poduszki jako jedyny pozytyw tego, co się wtedy stało - zauważyłam. - Ta dzika, zbuntowana śnieżycą była jej rozpaczliwym protestem, jej niezgodą, którą w sobie zachowała.

Szliśmy ścieżką i widziałam obie drogi, tę istniejącą i tę nieistniejącą, jak w podwójnym naświetleniu. Czasami się rozchodziły. Mała nowa ścieżka biegła skrótem, którym stara nie mogła albo który musiała obiegać i omijać krzaki, wcześniej tu nieobecne. Zaobserwowałam, że przez cały czas byliśmy spychani na lewą stronę krzaków. Las wywierał nacisk, któremu ścieżka nie mogła się oprzeć. Stopniowo całkowicie oddzielała się od biegu starej drogi, wypędzona przez roślinność. Zauważyłam, jak to się dzieje. Zadrapałam się o wystające pnącze jeżyn i zrobiłam krok w lewą stronę. Następnym razem, kiedy zobaczyłam pnącze, w odpowiednim momencie zesłam w lewo. Potem już cały czas szłam po trawie z lewej strony ścieżki.

- Tam jest bajorko, w którym łowiliśmy małe żabki. Pamiętasz? - zapytał Jens.

Otworzyliśmy furtkę i weszliśmy na łąki. Nie wszystko jednak zarosło. Najwyraźniej pasły się tu konie, bo tu i ówdzie leżało końskie łajno. Jesienny pejzaż z pożółkłą trawą, niskimi kamiennymi murkami i płonącymi krzewami dzikiej róży przypominał mi Anglię. Gdyby nie szare skały dokoła, w każdej chwili moglibyśmy pogalopować konni myśliwi.

- Dużo myślałem o innym zdarzeniu - ciągnął Jens. Szedł teraz obok mnie i widziałam go, kiedy mówił. - Było to wiosną 1973, a więc rok po zniknięciu Mai. Tata przez całą zimę mieszkał w Göteborgu. Nie mieli jeszcze z mamą rozwodu. Nie wiedzieliśmy, jak to będzie. Czy wróci do mamy, Mai i do mnie, czy zostanie tam, gdzie jest. Wtedy w każdym razie

jechaliśmy do niego w odwiedzinę. To był jego pomysł. Nie chciał nas przyjmować w domu - właściwie nie wiedzieliśmy, gdzie mieszka i nie powiedział nam - mieliśmy się spotkać w lokalu. Zaprosił nas na kolację do chińskiej restauracji. Nie widzieliśmy taty, od kiedy wyprowadził się od nas poprzedniej jesieni, rozmawialiśmy z nim tylko przez telefon.

Od początku wszystko było nie tak. Nie mogliśmy znaleźć knajpy. Tata niezbyt dokładnie opisał, jak tam trafić, ale twierdził, że łatwo, blisko promenady Avenyn, wszyscy wiedzą, gdzie jest restauracja Ming. W każdym razie ci, których pytaliśmy, nie wiedzieli i kiedy w końcu tam dotarliśmy, tata czekał już trzy kwadranse i zdążył wlać w siebie sporo sake. Potem przez cały posiłek kłócił się z mamą. Był pijany i głośny, a mama płakała. Zaprowadziłem Maję do akwarium i karmiłem ryby ziarenkami ryżu oraz kawałkami kaczkę po pekińsku. Chińczycy zachowywali się jak gdyby nigdy nic, chodzili tylko na palcach, pobierali kawałki szklanki, którą tata stracił na podłogę, kłaniali się i uśmiechali. Byliśmy jedynymi gośćmi. Kiedy tata miał płacić, zabrakło mu pieniędzy, więc mama musiała się dołożyć.

Pożegnaliśmy się z tatą i wracaliśmy na stację, mama, Maja i ja. Przechodziliśmy obok małej galerii. Mieściła się w piwnicy i nigdy nie zwrócilibyśmy na nią uwagi, gdyby Maja nagle nie zatrzymała się przed oknem i odmówiła pójścia dalej. W środku zobaczyła coś, co ją zainteresowało. Zostało jeszcze dużo czasu do odjazdu naszego pociągu - nie sądziliśmy, że spotkanie z tatą zakończy się tak gwałtownie - więc mama zaproponowała, żebyśmy weszli.

Była to dziwna wystawa. Znajdowały się na niej różne przedmioty, wytworzone głównie z naturalnych materiałów. Pamiętam czaszkę sarny w kapturku z błyszczącej folii aluminiowej i z rogami owiniętymi puchem. Ptasie gniazda wypełnione kulkami ostu i gniazdami os. Klatka z gałęzi zawierająca rozerwane ptasie skrzydło i jeszcze klatka z połączonym jajkiem. Duży rybi szkielet ubrany w płaszcz ze splecionej trawy i srebrnych nitk.

Te przedmioty mogłyby być wytworzone przez jakieś prymitywne plemię, gdyby nie złote i srebrne elementy i folia aluminiowa, która kojarzyła mi się z epoką lotów w kosmos.

Mama była oczarowana i zastanawialiśmy się, czyje to prace. Właścicielka galerii powiedziała, że artystka nazywa się Kristina Lindäng. Mama poprosiła o ulotkę. Kobieta wskazała stół w pomieszczeniu w głębi.

Na stole stało portretowe zdjęcie w ramce. Przedstawiało młodą dziewczynę o długich włosach z przedziałkiem i dużych, poważnych oczach. Obok zdjęcia paliła się świeczka. Wyglądało to trochę jak ołtarzyk. Na stole leżał stos ulotek. Nie była to typowa lista szkół artystycznych, stypendiów i wystaw, jedynie kilka wersów informujących o nazwisku

artystki, roku urodzenia i miejscu zamieszkania. Oraz zbijająca z tropu informacja: artystka zaginęła w 1972 roku i prawdopodobnie nie żyje.

Mama spytała właścicielkę, jak zdobyła te dzieła sztuki. Powiedziała, że kuratorka ze szpitala Lillhagens namówiła ją, żeby zorganizować wystawę. Te przedmioty wykonała jej była pacjentka.

Ale najdziwniejsza ze wszystkiego była reakcja Mai. Karin wiele razy ciągała ją po muzeach, teatrzykach dziecięcych, gdzie się da, ale Mai nigdy to nie interesowało. Tym razem było inaczej. Wydawała się urzeczona. Najpierw chodziła powoli od jednego przedmiotu do drugiego, długo je obserwowała szeroko otwartymi oczami, ostrożnie wyciągała rękę i dotykała ich.

Potem jakby czegoś szukała. Chodziła po pomieszczeniu i wszędzie zaglądała, a gdy nie znalazła tego, czego szukała, chciała wejść do biura właścicielki. Nie mogliśmy jej powstrzymać, koniecznie chciała się tam dostać. A kiedy już znalazła się w środku, szukała pod biurkiem i w szafkach, w komórce na sprzęt do sprzątania i w toalecie. Przez cały czas cmokała językiem jak wiewiórka. Nigdy wcześniej nie słyszeliśmy u niej tego odgłosu. Zachowywała się bardzo dziwnie. Kiedy mieliśmy iść, ona nie chciała. Musieliśmy nieść ją do pociągu, a ona gryzła i kopała.

Minęliśmy łąki i znaleźliśmy się wśród skał. Znowu poruszaliśmy się na północ. Ciepłe zapachy suchej trawy i butwiejących roślin odprowadzały nas kawałek, a potem zastąpił je zimny zapach morza.

Zirytowało mnie trochę, że Jens był wtedy w Göteborgu i nie odezwał się do mnie. Tak bym się ucieszyła, gdyby zadzwonił i zaproponował krótkie spotkanie. Popędziłabym gdziekolwiek i machnęła ręką na wszystkie inne plany. Spotkanie z Jensem byłoby prawie tak samo cudowne jak z Anne-Marie.

Wędrówka stała się fizycznie bardziej wymagająca i nasza rozmowa ucichła. Znowu szliśmy jedno za drugim. Jens pierwszy. Zauważyłam, że porusza się dość niezgrabnie, dostał nawet lekkiej zadyszki. Kiedy rozchyliła mu się koszula, zobaczyłam, że ma lekki brzuszek, co mnie zaskoczyło. Dotąd sądziłam, że jest beczelnie dobrze zakonserwowany i wysportowany. Minęłam go i zauważyłam, że trudno mu dotrzymać mi kroku, z czego, wstyd powiedzieć, miałam małą satysfakcję.

Stałam nieruchomo na wysokiej skale i czekałam na niego, taktownie udając, że podziwiam widok. Nie musiałam zresztą udawać, bo był rzeczywiście fantastyczny: fiord otwierający się na potężną przestrzeń otwartego morza. Wyspy z samotnymi domami, białe jak kostki cukru w słońcu. Gdy tak stałam, w mojej głowie pojawiło się nazwisko Kristina

Lindäng. Wiedziałam, że je wcześniej słyszałam, ale nie pamiętałam, gdzie.

Szliśmy dalej i kiedy schodziliśmy po stromej, pochylej ścianie, rozpoznałam wypełnioną zaroślami szczelinę pod nami. Szczelinę prowadzącą do Plaży Muszli. Nadłożyliśmy spory kawałek drogi, ale i tak w końcu tu dotarliśmy.

Torowaliśmy sobie trasę przez małe dęby, jałowce i splątane pnącza wiciokrzewu. Znowu przypomniało mi się, jakie to dziwne uczucie być jakby głęboko w puszczy, a jednocześnie czuć ten silny zapach słonej wody, wodorostów i małży.

Przecisnęliśmy się przez ścianę jałowców w jedynym miejscu, w którym to było możliwe, tuż przy skale. Jens też je pamiętał, bo od razu poszedł we właściwym kierunku.

Oślepieni ostrym światłem staliśmy na plaży. Woda stała nisko i w zatoce widać było ławice małży. Bałwany brudnej morskiej piany drżały na skraju plaży.

Przyglądałam się dużym głazom pod ścianą. Pęknięcie ponad nimi, miejsce, z którego kiedyś odpadły, lśniło w świetle słonecznym czerwono-brązową, mięsistą barwą, różniącą się od reszty powierzchni. Wtedy nagle przypomniałam sobie, gdzie słyszałam nazwisko Kristina Lindäng. To tak się nazywała kobieta, którą Max znalazł pod głazem. Szkielet.

Opowiedziałam Jensowi o naszym odkryciu.

- To ty ją znalazłaś? - spytał zaskoczony.

- Max. Mój syn - poprawiłam.

- Czytałem o tym w „Bohuslänningen”. W drodze tutaj kupiłem na stacji benzynowej gazetę. Zobaczyłem jej nazwisko i przypomniałem sobie wystawę. Wtedy nie byłem całkiem pewny, ale wydawało mi się, że dziewczyna, która wykonała te dziwne przedmioty tak się nazywała. Kristina Lindäng. To naprawdę ty ją znalazłaś, Ulriko?

- Mój syn - sprostowałam znowu.

- Ale że też nikt nie znalazł jej wcześniej - wymamrotał.

- Niewiele więcej osób oprócz ciebie i mnie zna prowadzącą tu drogę lądową - powiedziała. - A łodzią trudno się tu przecież dostać. Ludzie zatrzymują się przy ławicach małży i zbierają je, ale nie przedostają się na ląd, bo jest tu płycizna. I właściwie nie ma plaży. Chyba bardzo rzadko ktoś tu bywa.

Usiadł na skale tuż przy jednej z wielkich niecek. Wypełniała ją woda. Porastały ją wodorosty. Ponad powierzchnią wody w lśniących kołach unosiła się warstwa soli.

Spojrzałam na niego i zastanawiałam się, czy Anne-Marie też posiwała. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

- Wczołgałaś się tam? - zapytał.

Pokręciłam głową z grymasem na twarzy.

- Nie, nie, w życiu. Tylko chłopcy tam byli.

- A ja się wczółgałem - powiedział.

Wpatrywałam się w niego.

- Ty? A kiedy?

- Kilka dni temu. Nie mogłem się powstrzymać, kiedy przeczytałem o tym w gazecie. Że rzeczywiście jest taki korytarz, po prostu nie mogłem w to uwierzyć. Że nigdy go nie odkryliśmy. Przeczołgałem się w górę wzniesienia. Wszędzie są małe otwory i szczeliny, nie jest szczególnie ciemno. Chociaż dla dorosłego człowieka bardzo ciasno. W najwyższej położonej części znajduje się dość duża płaska przestrzeń. Prawdopodobnie tam twój mały ją znalazł. Jest tam wyjście na ścianę, dokładnie na wysokości półki, na której stała Maja.

Wstał i przeszliśmy kilka kroków do przodu, żeby zobaczyć ścianę wpadającą stromo do morza po drugiej stronie bloków skalnych. Półka była słabo widoczna, gdy światło padało pod tym kątem.

Ale kilka skulonych mew siedzących w rzędzie zdradzało, gdzie się znajduje.

KRISTINA

To przez tabletki. Nie powinna była brać tabletek.

Zasnęły jak zwykle, tuż obok siebie w grocie o ścianach w kolorze moreli.

Dotarły tu drogą przez łąd, zgrzały się i zmęczyły, idąc po skałach. Gdzieś zobaczyły dwóch mężczyzn zdążających w stronę żaglówki zacumowanej w zatoce. Dziewczynka zwinnie kucnęła za skałą. Leżała tam i kryła się jak mały zajaczek, aż mężczyźni przeszli. Kristina nigdy nie mówiła jej, żeby chowała się przed ludźmi. Ale mała i tak to robiła.

W grocie dziewczynka długo nie dawała jej zasnąć, łaskotała ją puchem i śmiała się. Ale w końcu się uspokoiła i Kristina usłyszała jej regularne, senne oddechy.

Gdy się obudziła, cały świat był odmieniony. Przez szczeliny nie sączyły się promienie słońca i nie wydobywały blasku ze ścian. Z zewnątrz wchodziło tylko żółtoszare światło zmierzchu, pozostawiając większą część grotu w ciemności.

Miejsce obok niej było puste. Pierwszy raz od sześciu tygodni obudziła się, nie mając obok siebie małego ciepłego ciała.

Kristina szukała po omacku w ciemnościach, dotykała legowiska z puchu i paproci, od ściany do ściany. Dziewczynki nie było.

Hałasy na zewnątrz. Krzyki. Silnik łódki. Jak mogła spać w tym zgiełku? Ona, która budziła się od najmniejszego trzasku? Ale to przez tabletki.

Podczołgała się do wejścia, wychodzącego na pionową ścianę, gdzie siadywały mewy, i wyrzała.

Nie było ptaków. Ale na półce skalnej stała dziewczynka.

Zupełnie bez ruchu z plecami przyciśniętymi do ściany, wpatrywała się w wodę. Półka, na której stała, była zaledwie tak szeroka, żeby mogły się tam zmieścić jej stopy.

Kristina lekko cmoknęła, tak jak zazwyczaj, gdy się nawoływały. Dziewczynka spojrzała na nią wytrzeszczonymi, przestraszonymi oczami, ale pozostała na miejscu. Nie miała odwagi wrócić. Nie mogła. Musiała wejść na półkę, przeciskając się przez otwór między głazami. Znalazła się gdzieś pośrodku ściany, a potem przedostała się dalej, wsadzając ręce i stopy w szczeliny i wybrzuszenia. Wspięła się do góry, patrząc przed siebie. Gdyby chciała wrócić, musiałyby zejść, nie widząc, gdzie stawia stopy. Znajdowała się w miejscu, do którego przy dużym szczęściu i zręczności można się było dostać, ale z którego nie można się było wydostać.

Jak długo tam stała? Przypuszczalnie ocknęła się przed Kristiną, może próbowała ją

bezsukutecznie obudzić. Przez otwór widziała mewy na skalnej półce i chciała się do nich dostać.

Kristina gorączkowo głowiła się, jak może uratować dziewczynkę. Gdyby były same, zachęciłaby ją do skoku. Wysokość była duża, ale tu, przy skalnej ścianie woda miała dużą głębokość, a dziewczynka pływała jak ryba. Kristina wypłynęłaby i leżąc w wodzie, zachęcałaby ją, tak jak samica nurzyka zachęca swoje młode, żeby odważyło się na skok ze skał. A kiedy dziewczynka by skoczyła, Kristina płynęłaby blisko przy niej, wokół dużego bloku skalnego i aż do plaży. Tak by zrobiła, gdyby były same. Udałoby się. Mała odważyłaby się. Nie od razu, ale w końcu tak. Wystarczyłoby jej ufności.

Ale teraz nie były same. Ze swojego miejsca pod głazem nie mogła patrzeć na morze, tylko w górę skały. Słyszała cienkie, podenerwowane głosy i silnik łódki.

Wkrótce zrobiło się więcej łodzi, więcej głosów. Na szczycie skały pojawili się ludzie.

Zapadała ciemność, skałę podświetlono latarkami i silnymi reflektorami. Dziewczynka stała przyciśnięta do ściany, przekłuta promieniami światła jak przyszpilony owad. Była śmiertelnie przerażona. Ale zupełnie cicha.

Opuszczono do niej mężczyznę przepasanego liną. Chwycił ją mocno i został z powrotem wciągnięty. Owacje poniosły się echem w fiordzie.

Silniki łodzi zawarczały, oddaliły się. Zamilkły głosy na skale. Wszystko ucichło. Odeszła.

Żyła jak wcześniej. Jeśli pogoda pozwalała, pływała kajakiem do fiordu i do szkierów. Włóczyła się po skałach i łąkach. Zbierała skarby do koszyka. Siadała przy stole i łączyła ze sobą pozostałości natury, budziła życie w tym, co martwe. Jeździła rowerem do sklepu, prała ubrania, piekła chleb.

Ale nie podążała już dalej w górę w wieży ze szkła i światła. Odczuwała samotność i było to dla niej nowe uczucie. Zawsze myślała, że ma wszystko, czego potrzebuje. Broniła się przed tym, co niepotrzebne, chroniła przed tym, co szkodliwe. Często chciała uciec od ludzi. Pierwszy raz w życiu tęskniła do człowieka. Po raz pierwszy czuła tęsknotę.

Ponad jej światem spoczywała mgielka smutku. Wszystkie miejsca, które odwiedzała z dziewczynką, kamienie, na których siadała mała, skały, na które się wspinała, łąki i plaże, po których biegała, wszystko pokryło się tą matową mgielką.

Lato się skończyło. Fiord ucichł. Woda zrobiła się czarna, a między skałami przechodziły ulewy.

Za każdym razem, kiedy się budziła wśród kołder na ziemi, chciała wyciągnąć rękę i

dotknąć dziewczynki. Odruch pozostał, chociaż wiedziała. Wtedy, zanim się na dobre obudziła, jej wspomnienie o małej było tak silne - jej zapach, miękka skóra, łaskoczące podmuchy jej oddechu. Długo leżała, przymykając oczy, aby to wszystko zatrzymać. Kiedy podnosiła powieki, widziała tylko puste miejsce. Ale na ścianie tłoczyły się wszystkie małe ptasie sylwetki.

Wokół niej powoli się ściemniało. Wciągnęła kajak, opatuliła go brezentem i przywiązała do ściany domu.

Ciemność wciskała się w nią. Nie była już gęsta. Wkopywała się w nią, wydrążała ją, wypełniała pusty otwór w piersi.

Nigdy rzeczy nie mówiły do niej tak, jak teraz. Słyszała ich głosy, gdy tylko wchodziła do domku. Szeptaly i krzyczały z jej pudeł.

Wyjęła je na stół - pancerze krabów, sroczę pióra, kłaki futra zająca, cienką czaszkę mewy. Mówiły do niej o więdnieniu, rozkładzie, wysychaniu, rozpadzie.

- Dotknij nas - prosiły. - Obudź nas. Daj nam życie.

I dotykała ich, łączyła je klejem, drutem i rzemykiem, żeby ich głosy zbliżyły się do siebie, wpływały w siebie, stały się nowymi głosami.

- Ochroń nas. Wzmocnij nas - szeptały.

A ona malowała na nich ochronne znaki, splatała klatki z gałęzi, ubierała je w hełmy z aluminium, płaszcze z trawy i drutu.

Pracowała aż do wyczerpania, kładła się na podłodze i długo spała.

Któregoś dnia przygotowała termos z herbatą. Zapakowała go do plecaka, dołożyła tabletki i powędrowała przez mokre od deszczu skały na plażę z grotą.

Wczołgała się przez korytarz do posłania z puchu. W otworze między gładzami widziała dużą mewę siedzącą na ścianie. Nastroszyła pióra w deszczu.

Nalała sobie ciepłej herbaty, wzięła tabletki jedną po drugiej i popiła. Nie śpieszyła się. Opróżniła całe opakowanie. Wtedy się położyła. Już nie marzła.

W grocie pociemniało. Mewa usiadła w otworze. Wiatr podnosił puch z jej upierzenia i wprawiał go w drzenie. Patrzyła okiem z żółtego, zimnego szkła.

ULRIKA

- Mogę coś ugotować - powiedziałam. - Jeśli chcesz popisać.

Jens stał przy spiżarni i patrzył zadumany na jej zawartość.

- Doskonale - rzekł i z wdzięcznością odwrócił się do mnie. - Jutro odbiera mnie żona i chciałbym do tego czasu skończyć.

Założyłam fartuch w szachownicę, wiszący na haczyku na drzwiach, przejrzałam zawartość spiżarni oraz lodówki i użyłam całej swojej fantazji, żeby wymyślić coś interesującego z tego, co się tam znajdowało. Miałam do dyspozycji dużo przypraw i orientalnych past, a także sporo warzyw. Uduśiłam kalafior, brukiew, cukinię, marchew, jabłka i pomidory z puszki, doprawiłam curry i chili. Do tego ugotowałam kuskus. Znalazłam podkładkę i postawiłam garnek na stole, wyjęłam piwo z lodówki, wymieszałam kuskus z odrobiną margaryny na puszystą masę.

- Jedzenie gotowe - zawołałam.

- Mhm. Będę za chwilę - odpowiedział.

Zupełnie jak w starym małżeństwie. Przyszło mi do głowy, że tak mogłoby być. Gdyby Maja wtedy nie znikła, gdyby rodzina nie rozpadła się tak nagle, gdyby oni wszyscy razem wrócili następnego lata i znowu mnie zaprosili, a ja przyjechałabym z nową wiarą w siebie i późno rozbudzonym zainteresowaniem chłopcami...

Nie, to mało prawdopodobne. Bo młodsze związki rzadko kiedy prowadzą do ślubu, a małżeństwo raczej nie wytrzymałoby tyle lat. Dawno by się skończyło.

- Chodź, bo wystygnie - krzyknęłam.

- Idę.

Zaczęłam jeść sama. Dyskretne dreptanie w środku zastąpił inny dźwięk: monotonne pomrukiwanie drukarki.

- Musi być włączona, kiedy jemy? - zapytałam, gdy się w końcu pojawił.

Miał teraz okulary w pomarańczowych oprawkach. Wrócił i zamknął drzwi do sypialni.

- Tak lepiej?

Podczas posiłku mówił w ten lekki, poprawnie miły sposób, przy akompaniamencie przytłumionego hałasu z drukarki. Kiedy nagle ucichła, przerwał i po chwili znów zaczął mówić. Jesienne słońce padało na stare drzewo blatu stołu i przemieniało piwo w szklankach w złoto.

Po jedzeniu poszedł do sypialni i wrócił z plikiem kartek.

- Poczytaj sobie, kiedy będę zmywał - rzekł. Jest chyba wystarczająco ciepło, żeby usiąść na zewnątrz.

Przyniósł leżak z szafy w korytarzu i rozstawił go na werandzie.

- No - ponaglił i oparł się na nim, żeby sprawdzić, czy stoi stabilnie.

Narzuciłam kurtkę na ramiona i usiadłam z plikiem kartek na kolanach. Wody fiordu były ciemnoniebieskie i mieniły się, jakby ktoś między skałami strząsnął płachtę ciężkiego, starodawnego jedwabiu. Słyszałam, jak w kuchni płuczą się naczynia. Poza tym cały świat tonął w ciszy.

Opuściłam wzrok na kartkę leżącą na wierzchu. Widniało na niej tylko jedno słowo: „Kristina”. Na następnej zaczynał się tekst: „Świat, który przemierza, jest szary. Słońce jeszcze nie wzeszło. Kocha ten świat, gdzie nie ma ani światła, ani ciemności. Świat bez cieni, bez kolorów. Niczego dobrze nie widać, nic się na dobre nie skryło, wszystko jest domysłem, niedopowiedzeniem”.

Czytałam z roztargnieniem, niekiedy podnosząc wzrok na fiord i skały. Potem opowieść bardziej mnie wciągnęła. Nim skończyłam, słońce zaszło, a weranda skryła się w cieniu. Zrobiło się zimno.

Złożyłam leżak i zabrałam go do środka. Kuchnia była pusta. Stół posprzątanym. Błat wytarty. Ani kropli wody w zlewie.

Wyszłam na korytarz i wstawiłam leżak do szafy pod schodami. Kiedy go wpychałam, poczułam, jak coś potrąca, a to coś się obsuwa. W środku w ciemności dostrzegłam stos komiksów. Nie powinni ich tak niedbale przechowywać. Niektóre z nich mogą być teraz wiele warte.

Jens siedział w fotelu bujanym w salonie i patrzył przez okno. Oparł głowę o małą orientálną poduszkę z frędzlami i powoli kołysał się tam i z powrotem. Wzrok utkwił daleko po drugiej stronie fiordu, między wierzchołkami skał, gdzie słońce jeszcze świeciło i wydobywało z nich nowe odcienie. O ile to widział. Nie miał teraz ani czerwonych, ani pomarańczowych okularów. Na stole stał imbryk, przykryty starym watowanym ogrzewaczem w kratkę, którego kiedyś używała rodzina, i dwa kubki ceramiczne.

- Sądzisz, że tak było? - zapytałam, trzymając przed nim plik kartek. - Szalona porywaczka w bezgłośnym kajaku?

- Może.

- To dobra teoria - powiedziałam i położyłam kartki na stole.

- Wydaje się sensowna.

- W każdym razie bardziej prawdopodobna niż twoje historie o porwaniu przez trolle. I

to więcej niż teoria. Przeprowadziłem dochodzenie. Przez telefon.

Skinął w stronę komórki leżącej na marynarskiej skrzyni.

- Wytropiłem właścicielkę galerii pokazującej prace Kristiny Lindäng. A przez nią odnalazłem kuratorkę, Gudrun Samuelsson, która zainicjowała wystawę. Przyjaźniły się i dlatego właścicielka dała się przekonać. To przecież nie była wystawa, na której mogła coś sprzedać. Długo rozmawiałem z Gudrun Samuelsson. Teraz jest na emeryturze, ale bardzo dobrze pamięta Kristinę.

- Czy to na jej informacjach budujesz tę historię?

- Częściowo. Chcesz herbaty?

Kiwnęłam głową i usiadłam na sofie w niebiesko-białe paski. Zdjął pokrowiec i nalał nam naparu. W ciemnym kubku ceramicznym nie było widać koloru, ale po smaku rozpoznałam, że to zielona herbata.

- Podala mi trochę faktów o pochodzeniu Kristiny. Opowiadała, że mieszkała po naszej stronie fiordu, na samym końcu przylądka. Na wyspie zwanej Kalvön, chociaż właściwie to już nie jest wyspa. Od lądu dzieli ją tylko dwadzieścia metrów i wiele lat temu usypano tam groble. Ale zawsze było to odosobnione miejsce. Głównie pastwiska.

- Pojechałeś tam? - zapytałam.

- Nie, ale Gudrun Samuelsson wybrała się tam kilka lat temu i mówi, że nie ma co oglądać. Domek dawno zburzono. Ktoś kupił całą Kalvön, wybudował luksusową willę i zamknął drogę.

- Czy dobrze znała Kristinę?

- Nikt chyba dobrze nie znał Kristiny. Ale wiedziała trochę o jej pochodzeniu i próbowała być z nią w kontakcie po jej wyprowadzce. Nie było to proste, bo nie miała telefonu.

Gudrun opowiedziała, że bardzo się niepokoiła, kiedy Kristina znikła. Była taka przygnębiona, kiedy kuratorka odwiedziła ją po raz ostatni. Leżała na podłodze na stosie koców i wpatrywała się w ścianę. Na oknach powiesiła kawałki materiału, tak że w domku panowały niemal całkowite ciemności. Był bałagan, a lodówka świeciła pustkami. Zaskoczyło to Gudrun, bo Kristina zawsze utrzymywała porządek.

Ale to wszystko zauważyła po chwili. Najpierw zobaczyła wszystkie przedmioty. Całe setki. Wszędzie, gdzie można było coś zmieścić, stały te dziwne przedmioty z piór, kości, muszli i trawy. Nie widziała ich wyraźnie, bo w domku panował mrok, ale na tyle dobrze, żeby zauważyć, że nie chodzi już o nieszkodliwe zajęcie terapeutyczne. To była - że użyję jej własnych słów - wstrząsająca, głęboko poruszająca sztuka.

Poza tym ciemność w domku stwarzała dziwne złudzenie optyczne. Wydawało się jej, że rzeczy w jakiś sposób wibrują. Odrobinę. Jakby oddychały i drżały. Jakby rzeczywiście żyły. A jednocześnie miała dokładnie odwrotne uczucie. Że są martwe. Że są to najbardziej martwe przedmioty, jakie kiedykolwiek widziała. Były - znowu cytując Gudrun Samuelsson - jak sama śmierć. Promieniowały śmiercią. Oddychały śmiercią. Pamiętam, że dokładnie tak samo odbierałem tamte przedmioty na wystawie. W ten sam sposób.

Najpierw sądziła, że w domku nie ma nikogo oprócz niej. Kiedy między kocami zauważyła Kristinę, w pierwszej chwili pomyślała, że nie żyje. Mówiła do niej, ale nie otrzymywała odpowiedzi. Wtedy nachyliła się i zobaczyła, że kobieta jednak żyje. Wpatrywała się w ścianę, w małe ptasie sylwetki nabazgrane długopisem na ścianie.

Poprosiłem, żeby opisała ptaki, ale słabo je pamiętała. Były bardzo małe, narysowane „maczkiem”, jak stwierdziła. Zapytałem, czy to możliwe, żeby ktoś inny niż Kristina je narysował. Może dziecko? Zdaniem Gudrun Samuelsson to mało prawdopodobne, bo Kristina nigdy nie przyjmowała w domku gości. Zapytałem, czy gryzmoły nie wydały jej się dziecinne, a ona skłonna była się z tym zgodzić, ale zaznaczyła, że Kristina była pod wieloma względami dzieckiem. A jej artystyczne środki wyrazu szybko się zmieniały. Jeśli przedmioty, które Gudrun widziała w domku, stanowiły rezultat wybuchowego, artystycznego rozwoju, może prymitywne bazgroły były równie nagłą regresją. Wyrazem psychicznego dołka, w którym się najwidoczniej znalazła.

- Pytała Kristinę o gryzmoły?

- Nie dało się z nią nawiązać kontaktu. Gudrun Samuelsson odniosła wrażenie, że jej podopieczna przedawkowała leki. Kiedy jechała do domu, postanowiła, że trzeba zabrać Kristinę i zapewnić jej leczenie. A jej dzieła sztuki pokazać na wystawie.

Nigdy jednak do tego nie doszło. Kiedy Gudrun wróciła w towarzystwie dwóch kierowców karetki, Kristiny nie było. W domku nie znaleziono opakowań z tabletkami, mimo że według lekarza powinny być jeszcze dwa opakowania z ostatniej recepty. Został jednak jej portfel i inne rzeczy osobiste. Wszystko wskazywało na samobójstwo.

To, że nigdy nie odnaleziono ciała, było dla rodziców podwójną tragedią. Gudrun utrzymywała z nimi kontakt, odkąd Kristina została zapisana do Lillhagen. To między innymi dla nich tak uparcie urzeczywistniała marzenie o wystawie. Ostatnio też się kontaktowali. Ojciec już nie żyje, ale z matką rozmawiała, zanim zadzwoniłem. Bardzo się cieszyła, że w końcu odnaleziono Kristinę i że może mieć prawdziwy pogrzeb.

- Ale nigdy nie widziała u Kristiny żadnego dziecka? - zapytałam.

- Nie. Ale przecież nie było jej tam przez całe lato. Jeździła tam tylko raz, dwa razy do

roku.

- Kiedy więc ostatni raz ją odwiedziła? Czy w domku nic nie wskazywało na obecność dziecka?

Pokręcił głową.

- Pytałem ją. Ale nie przypominała sobie niczego takiego.

- Czy skonfrontowałeś Maję z tą historią?

- Nie. I nie sądzę, żeby to miało sens.

- Gdzie ona teraz jest?

- Kawałek na północ od Stenungssund. W domu dla dorosłych z zaburzeniami zachowania. Masz przecież samochód. Moglibyśmy tam jutro pojechać. Tak, moglibyśmy tak zrobić. Spotkałabyś się z nią. Spróbuję skontaktować się z Suzanne i poproszę ją, żeby tam po mnie podjechała. Potem ruszysz dalej do Göteborga.

- Przed szóstą muszę odebrać chłopców ze świetlicy.

- Na pewno zdążysz.

Jens chwycił komórkę i zadzwonił, ale były jakieś zakłócenia i musiał próbować później.

Wyszperał stare karty i zagraliśmy w grę, o której, jak się nam zdawało, zapomnieliśmy, ale którą przypominaliśmy sobie stopniowo. Czasami mówiliśmy: „Ale tak nie można. Tak się nie da wygrać”. Albo nagle uświadamialiśmy sobie: „Ale o co w tym chodzi?”. Aż któreś z nas przypominało sobie, o co, drugie odtwarzało w pamięci coś jeszcze i jakoś szło. Dziwne, ale naprawdę dobrze się bawiliśmy.

Kiedy zapadła ciemność, zapaliliśmy świece i otworzyliśmy butelkę wina. Jensowi udało się skontaktować z żoną i ustalili, że odbierze go na stacji Shella w Stenungssund o trzeciej następnego dnia.

Przypomniałam sobie, że powinnam zadzwonić i powiedzieć chłopcom dobranoc, nie zrobiłam tego poprzedniego wieczora. Mieli się dobrze. Byli w aquaparku Vattepalatset w Lerum, a wieczorem obejrzeli dwa filmy na wideo, więc nie zauważyli, że nie dzwoniłam. Jens dał mi wycinek z „Bohuslänningen” i obiecałam chłopcom, że dostaną go, jak wrócę. Anders chwycił słuchawkę.

- A gdzie ty się podziewasz? - zapytał cierpko.

- Jestem w Tångevik w odwiedzinach u znajomego z dzieciństwa - odparłam.

- Nie zadzwoniłaś wczoraj wieczorem.

- Wiem, ale chłopcy nie przywiązują już do tego wagi.

- Ktoś widział cię w Mickey's Inn z jakimś tandetnym typem. Nie żeby to była moja

sprawa, ale czy ty wiesz, co to za miejsce? Wiesz, kto tam przychodzi? Pokątni alkoholicy i ludzie, którzy chcą szybkiego bzykanka. Dość żalosne postaci, w większości.

- Nic o tym nie wiem. Nigdy tam wcześniej nie byłam. Ale ty najwyraźniej dobrze znasz to miejsce.

- Gównu mnie obchodzi, co robisz, Ulriko. Myślę o chłopcach. Wiesz, że Åse to porządna dziewczyna, kiedy tu są, czują się dobrze. Wiesz to, prawda? Nigdy nie musisz się niepokoić. Ale ja nic nie wiem o tym, co ty robisz.

- Ależ tak, wiesz. Badam mit o uprowadzeniu przez trolle.

Prychnął.

- Mam nadzieję, że odbierzesz ich jutro ze świetlicy.

- Jasne.

- Chyba nawet nie jesteś trzeźwa - rzucił i odłożył słuchawkę.

Jens stał na werandzie. Wysłałam do niego. Rozgwieżdżone niebo było tak doskonałe, jak tylko potrafi być jesienią na wsi. Im dłużej się patrzyło, tym więcej gwiazd dało się dostrzec. W ciemności morze było niewidoczne, ale czuło się jego bliskość w postaci słonego chłodu na twarzy.

- Pamiętasz, jak pokazywałeś mi gwiazdozbiory? - spytałam.

Nie pamiętał. Nie pamiętał także, jak się one nazywały i nie potrafił wskazać ani jednego oprócz Wielkiego Wozu.

- Poczulałam ulgę, że te gwiazdozbiory to wymysł ludzi. Po prostu interpretacja. Potem tworzyłam własne. Na przykład konia - powiedziałam.

I pokazałam mu. Nie umiał dostrzec konia, nieważne jak długo bym mu to tłumaczyła.

- Co zrobisz z maszynopisem? - zapytałam.

- Nie wiem. Na jakiś czas go odłożę. Potem znów się do niego zabiorę. Może będzie z tego książka. Albo dam temu spokój.

Spojrzałam na niego, jak stał w słabym świetle księżycy i gwiazd. Właściwie nie było to światło. Raczej białe cienie na negatywie. Stał pochylony do przodu z łokciami opartymi na balustradzie werandy, z kieliszkiem wina w dłoniach.

Dużo mi opowiedział. Ale on sam w tych opowieściach pozostał dziwnie niewidoczny. Niewiele wyjaśnił ze swego obecnego życia. Między zdaniem wspominał o dwóch nastoletnich córkach. O żonie na szkoleniu w Kopenhadze. Zastanawiałam się, kim właściwie jest. Umiejący się dostosować, pełen wdzięku, przyjemny w obcowaniu. Pedantyczny - ani okruszka w kuchni. Miał wyobraźnię - wczuł się w świat chorej kobiety. Żadnych skłonności do klaustrofobii - przeczołgał się przez korytarz pod głazami.

Wypowiadał się na dwa sposoby. Jeden przypominał prezentację. Miałam wrażenie, że mówił to setki razy w ten sam sposób do różnych ludzi. Jak wtedy, kiedy opowiadał o wyborze zawodu, afiszach z samochodem na lotnisku w Singapurze, artykule prasowym o elicie jutra. Ale o porzuconym dziecku Karin i Åkego opowiadał inaczej. Jakby dobierał słowa po raz pierwszy. Jakbym była słuchaczem, a nie publicznością.

Odwrócił się do mnie i patrzył badawczo. Może z takim samym zaciekawieniem myślał o mnie. Ja także zachowałam powściągliwość na swój temat. Opowiedziałam sporo o badaniach, ale nic osobistego. I właściwie nie odgrywało to żadnej roli. Nasze obecne życie nie miało tu znaczenia.

- Dziwne, że jesteśmy tu oboje - rzekł. - I że upłynęło tyle lat. To nierzeczywiste.

Wtedy zrobiłam to, co długo chciałam zrobić. Pochyliłam się do przodu i powoli dmuchnęłam mu we włosy.

Trzeci dzień z rzędu budziłam się w domu letniskowym Gattmanów. Przyzwyczaiałam się już do łóżka Anne-Marie i do pokoju na poddaszu, dlatego w pierwszej sekundzie byłam zaskoczona brakiem ozdoby z muszli i wilgotnego chłodu. Potem spojrzałam na zamknięty laptop i drukarkę na stole i przypomniałam sobie.

Jens już wstał, ale łóżko małżeńskie po jego stronie nadal było przyjemnie ciepłe. Przetoczyłam się na to miejsce i przyłożyłam twarz do poduszki, gdzie zatrzymał się jego zapach. Pachniał naprawdę niesamowicie przyjemnie. W swoich wyszukanych okularach, drogich swetrach i ze lśniącoymi zlewozmywakami sprawiał wrażenia, że w ogóle nie pachnie. A jednak. Nie miałam o tym pojęcia do chwili, gdy poprzedniego wieczora nie nachyliłam się i nie dmuchnęłam mu we włosy. Czy pachniał tak samo, kiedy był młody? Nie pamiętałam. Może zapach powstał wraz z upływem lat, jak siwe włosy i jego tęsknota, żeby napisać coś innego niż teksty reklamowe.

Wierzę głęboko, że sterują nami zapachy. Wymyślamy zawsze mnóstwo racjonalnych powodów, dla których lubimy albo nie lubimy ludzi, ale to wszystko kłamstwo. Po prostu się wywąchujemy. Zanim poznałam Andersa, byłam z egocentrycznym, arcynudnym doktorantem, który pisał (i, z tego co wiem, nadal pisze) pracę o warunkach życia dzieci imigrantów i za każdym razem, kiedy chciałam zerwać, znów się w to pakowałam, bo facet pachniał grzesznie dobrze. To było jak narkotyk. Właściwie to też temat na pracę. „Znaczenie zapachu w relacjach międzyludzkich”. Prawdopodobnie zupełnie niezbadana dziedzina.

Ale teraz pachniało kawą. Weszłam na piętro Tora i Sigrid, wzięłam prysznic i umyłam włosy. Wytarłam się wilgotnym ręcznikiem Jensa, wiszącym na krześle w górnym korytarzu.

Nie wiedziałam, jak wygląda jego żona, ale mogłam się założyć, że jest dość szczupła. Ze sposobu, w jaki mnie dotykał, wywnioskowałam, że brak mu kobiecych krągłości. Większość mężczyzn lubi pulchne kobiety, gdy jest z nimi sam na sam. Ale kiedy pokazują się publicznie, chcą mieć obok siebie szczupłą panią; szczupłe żony to lepszy status i lepiej leżą na nich ubrania.

Pomalowałam się mascarą wyjętą z torebki, przed lustrem, przed którym stałyśmy kiedyś obok siebie z Anne-Marie i malowałyśmy się. Żałowałam, że nie mam ze sobą ubrania na zmianę, ale jak, jadąc tu, żeby zajrzeć przez okno na werandzie Gattmanów, mogłam przypuszczać, że zostanę tu przez trzy dni?

Zjedliśmy śniadanie i razem pozmywaliśmy naczynia. Od czasu do czasu delikatnie dotykaliśmy się, patrzyliśmy na siebie, ale prawie nic nie mówiliśmy. Tyle rozmawialiśmy przez ostatnie dni, cisza była przyjemna.

Rozpoczęliśmy przygotowania do wyjazdu. Jens zwinął prześcieradła w łóżku małżeńskim i spakował je do ekskluzywnej torby podróżnej z wytłaczanego aluminium. Włożył laptopa do specjalnej walizki, a drukarkę do innej. Zajęło mu to dwie minuty, po czym pokój wyglądał, jakby nigdy tam nie mieszkał. W kuchni zapakował do plastikowej siatki resztki jedzenia. Jedyнным moim bagażem był wycinek z gazety i maszynopis Jensa, który od niego dostałam.

Wcisnęliśmy rzeczy do mojego samochodu. W ostatniej sekundzie wyczułam zardzewiały klucz zapasowy w kieszeni kurtki. Wczołgałam się pod Werandę i wsadziłam go z powrotem do muszli. Jens uważał, że niepotrzebnie to robię, ani Lis, ani Eva nie pamiętają już o muszli, ale nalegałam, żeby go odłożyć na miejsce. Kiedy na czworakach pośród dziwnego morsko-ziemnego zapachu, w ciemności szukałam po omacku muszli, zdałam sobie sprawę, że mówiąc „niepotrzebnie”, miał może na myśli „niestosownie”.

- Nie martw się - powiedziałam, kiedy otrzepałam kolana i ręce i otworzyłam drzwi samochodu. - Nie użyję już więcej tego klucza. Uważam tylko, że należy odkładać rzeczy tam, skąd się je wzięło.

Uśmiechnął się, ale nic nie odrzekł i wszedł do samochodu.

Z daleka dom wyglądał jak zwykła, przeciętna jednopiętrowa willa. Sprawiał wrażenie wyrzuconego w płaską okolicę o pożółkłych łąkach. Dalej widniała płytka zatoka z pływającymi w niej łabędziami.

Kiedy okrążyło się dom, można było zauważyć, że jest większy, niż się wydaje. Dwie identyczne bryły przybudówek otaczały taras jedwabście posiwiałymi deskami i murowanym

paleniskiem. Od tej strony budynek wyglądał na znacznie bardziej otwarty i zachęcający, z wieloma oknami i drzwiami.

Jens przeszedł przez taras i lekko zastukał do jednych z drzwi. Firanka w oknie obok nieznacznie się uchyliła. Zobaczyłam ją na wpół zasłoniętą białym bawełnianym materiałem. Może to przez kontrast między białą firanką a czernią jej włosów i skóry. Albo właśnie przez to zawoalowanie. Ale twarz, którą zobaczyłam za szybą, wydała mi się niesamowicie egzotyczna i obca. W moich wspomnieniach nie była tak ciemna.

Jedno jej oko obserwowało nas. Drugie znikło w cieniu za firanką. Pomyślałam o popsutych plastikowych okularach, które nosiła, gdy ją widziałam ostatni raz i w których miała to samo jednookie spojrzenie.

Po chwili firanka opadła z powrotem i całkiem ją ukryła. W środku usłyszałam zbliżające się do drzwi kroki. Niesformułowane pytanie, które drażniło mi koniec języka po drodze, teraz z nagłą wyrazistością stanęło w mojej świadomości: Czyba nie jest niebezpieczna? Agresywna? Rzuciłam pośpieszne, pytające spojrzenie na Jensa. Odpowiedział mi mrugnięciem i powściągliwym rozumiejącym uśmiechem. Następnie spojrzał w stronę drzwi i rzekł:

- Cześć, Maju.

Spojrzałam w tę stronę. Otworzyła drzwi niemal bezgłośnie. Stała przed nami, bardzo szczupła i delikatna, ciemnoskóra jak Afrykanka. Grube, lekko falujące włosy zebrała w kucyk, sięgający jej do pasa. Miała na sobie džinsy i czerwoną bluzę z białym nadrukiem. Bluza była tania i brzydka, prawdopodobnie kupiona w jakimś supermarkecie, ale jej własne ciemne kolory sprawiały, że czerwony materiał żarzył się, a głupie białe litery lśniły jak tajemnicze znaki. Na nogach nosiła tenisówki. Nie wyglądała na dwadzieścia osiem lat. Była drobna jak czternastolatka.

- To Ulrika - powiedział Jens. - Pamiętasz ją pewnie z Tångevik?

Niepewnie wyciągnęłam rękę. Trzymałam ją przed nią tylko przez chwilę, ale miałam wrażenie, że minęła wieczność, zanim powoli podniosła swoją. Dłoń wystająca z za długiego rękawa była najszczuplejszą dłonią, jaką kiedykolwiek widziałam. Chwyciłam ją delikatnie. Miałam wrażenie, że mogłabym ją uszkodzić, gdybym ją ścisnęła zbyt mocno. Prawie się roześmiałam, kiedy pomyślałam o moim strachu przed jej ewentualną agresją.

Jens przywitał się, bardzo delikatnie kładąc jej rękę na ramieniu.

- Możemy na chwilę wejść? - zapytał.

W jej twarzy nic nie wskazywało ani na niezadowolenie, ani na radość. Wydawało się, że nie słyszała pytania. Ale Jens go nie powtórzył, czekał tylko cierpliwie. A Maja otworzyła

drzwi na oścież i miękko odsunęła się na bok, żebyśmy mogli przejść.

- Dziękuję - rzekł Jens.

Weszliśmy wprost do jej pokoju. Był prosto i ładnie umeblowany, jasnym drewnem i blad różowymi, słoneczno-żółtymi oraz zielonkawymi jak kwiat lipy tkaninami. Znajdowała się tam kuchenka oraz łazienka z prysznicem i toaletą. Pokój był duży. Spodziewałam się, że pomieści najwyżej łóżko i biurko, ale znalazło się też miejsce na stół, zestaw kanapowy i - co mnie zaskoczyło - półkę z książkami, biegnącą od podłogi do sufitu i tak wypełnioną książkami, że wiele z nich leżało poziomo na innych z braku miejsca.

- Czyt... - szukałam właściwej formy. Mówienie o Mai w trzeciej osobie mogło być nieuprzejme. Z drugiej strony to Jens na dobrą sprawę odpowiadał. Zwróciłam się jednak do Mai: - Czytasz?

Maja stała przede mną, jakby słuchała, nie robiła uniku, ale jej twarz była zupełnie bez wyrazu.

- Pochłania książki - odparł Jens.

- O - powiedziałam zaskoczona.

Odczytywałam tytuły na półce. Sporo literatury pięknej, znane książki, które można znaleźć na większości półek.

- Ale tu u ciebie ładnie - zauważyłam.

Naprawdę tak myślałam. Wszystko w pokoju było urządzone gustownie, harmonijne i przyjemne. Na komodzie stał cynowy puchar z suszonym wrzosem. Na ścianie wisiły akwarele z motywami z Bohus. Jedyne, co wskazywało, że nie jest to zwykły dom, a uderzyło mnie to po chwili, to brak dywanów. Podłoga była pokryta inkrustowaną plastikową wykładziną we wzór jak śmietankowobiały marmur. Nadawało to pokojowi południowego charakteru, który kontrastował z nordyckim umeblowaniem.

- Jak leci, Maju? - zapytał Jens. - Dobrze?

Pytanie wpadło w nią jak kamień w studnię.

- Maja - włączyłam się. - Czy byłaś kiedyś w domu u kobiety, która nazywała się Kristina? Która robiła rzeczy z muszli, kości i piór?

Zmarszczka na powierzchni?

- Długowłosa kobieta - ciągnęłam. - Czy mieszkałaś w jej domku, gdy byłaś mała? Czy zabrała cię swoim kajakiem?

Z jej nozdrzy dobiegł słaby dźwięk, kiedy wypuszczała powietrze w długim wydechu. Przez chwilę wyobraziłam sobie, że to wstęp do wypowiedzi. Kiedy zaczerpnęła powietrza, obserwowałam ją w napięciu. Wypuściła je nosem tak samo powoli. Jak człowiek, który śpi.

Głęboko i spokojnie. Ale oczy miała otwarte i nie uciekała wzrokiem. Patrzyła prosto na mnie. Wyglądała na zasluchaną, wyczekującą. Tak jakby to ona zadała pytanie, a ja miałam odpowiedzieć.

Sekundy mijały, a cisza stawała się coraz cięższa, w końcu wręcz nie do zniesienia. Poczułam wdzięczność, kiedy Jens ją przerwał.

- Ulrika nigdy tu przecież nie była. Pewnie chce się trochę rozejrzeć. Jak sądzisz, możemy się przejść?

Dał Mai trzy sekundy na pokazanie niechęci albo na powstrzymanie nas od wyjścia. Potem uznał jej milczenie za zgodę.

- Idziemy więc. Chodź, Ulriko.

Wyszliśmy przez inne drzwi i znaleźliśmy się na korytarzu. Maja została w swoim pokoju.

- Kiedy nauczyła się czytać? - zapytałam.

- Miała chyba jedenaście, dwanaście lat. Mama zabrała ją do domu ze szkoły specjalnej, bo tam nigdy nie było jej dobrze. Sama ją uczyła. Próbowwała różnych metod nauki czytania. Mai to nie interesowało. Nie chciała przepisywać literek. Trzymała się swojego języka rysunkowego.

- No i?

- Potem mama odkryła po prostu, że potrafi. Że siedzi z książkami i gazetami przed sobą. Najpierw myślała, że to blef. Testowała ją, pisząc krótkie wiadomości o rzeczach, które ma przynieść. A Maja wracała z właściwymi rzeczami.

- Pisać też umie?

- Ani słowa. Dokładnie tak jak z mówieniem. Tylko input. Output nie.

Stanął w progu otwartych drzwi. Przed komputerem siedział miody mężczyzna. Obok niego stał jeszcze jeden komputer, którego nikt nie używał.

- Chcieli ją skłonić do korzystania z tych komputerów - wyjaśnił Jens. W jednym z programów trzeba pisać komunikaty, żeby komputer wykonał zadanie. Nie jest szczególnie zainteresowana, ale potrafi grzebać przez chwilę i sprawdza, co się dzieje na ekranie. Ale jak tylko musi coś napisać, daje sobie spokój. Nawet z komputerem nie chce rozmawiać.

- Ale Jens, wszystkie te książki, czy ona naprawdę je przeczytała?

- Na pewno większość.

- A czy w takim razie rozumie, co czyta?

Wzruszył ramionami.

- Musi mieć przecież z tego jakiś pożytek. Tak, myślę, że rozumie. Właściwie wydaje

mi się, że doskonale rozumie wszystko, co czyta, i wszystko, co słyszy. Tak jakby myślała „Okej, znam wasz świat i akceptuję, że muszę w nim żyć. Ale nie żądajcie, że będę uczestniczyć w tym spektaklu”.

Przeszliśmy dalej do kuchni, przestronnej i dobrze wyposażonej we wszystkie możliwe urządzenia gospodarstwa domowego. Przy zlewie stała gruba, nadąsana niewiasta i pędzlowała ciastka drożdżowe na blasze. Rudowłosa kobieta wyciągała naczynia ze zmywarki. Jens skinął głową na powitanie. Rudowłosa, najwyraźniej z personelu, zamieniła z nim parę słów. Gruba gapiła się posepnie.

Kontynuowaliśmy zwiedzanie domu i weszliśmy do wyłożonej kaflami pralni, gdzie pracowała duża pralka. Coś różowego wirowało za okrągłym okienkiem. Jens przyciągnął mnie do siebie, pocałował delikatnie w czoło i stał obejmując mnie ramionami, zupełnie bez ruchu.

Pod perfumowaną wonią proszku do prania wyczuwałam jego zapach.

- Kto tu mieszka? - zapytałam w jego sweter.

- Młodsze osoby, to znaczy między osiemnastym a czterdziestym rokiem życia. Czterech mężczyzn i dwie kobiety. Jest tu autystyczny chłopak, Andreas, ale przez ostatnie lata bardzo mu się polepszyło. Jako dziecko był zupełnie zamknięty w sobie. Teraz jest prawie normalny. Świetny artysta. Zobaczysz jego prace w atelier.

Mówił przy moich włosach i przekręcał nas powoli z boku na bok. Wdychałam go, wciągałam go z powstrzymaną zachłannością, jak kokainista wciąga swoją działkę.

- Pozostali cierpią pewnie na psychozy. Ale wszyscy są spokojni i ułożeni. To warunek, żeby tu trafić. Nie można mieć napadów szału ani nic w tym rodzaju. Chociaż przypuszczam, że są pod wpływem leków.

Weszliśmy do dużego salonu z oknami wychodzącymi na taras. Był tam bielony wapnem kominek i sofy z tkaniną w stylu Josefa Franka. Rozumiałam, dlaczego nikt nie chce tu żadnych napadów szału.

Sądziłam, że pokój Mai umeblowała Karin, a może ona sama. Ale teraz zauważyłam, że to ta sama osoba urządziła salon i być może też wszystkie inne pokoje w mieszkaniu. Ściany zdobiły akwarele podobne do tych u Mai. Dekorator wnętrz. Trochę mnie to rozczerowało. Sądziłam, że pokój Mai coś o niej mówił. Więc nawet obrazów na ścianach sama nie wybrała. A jej ubrania - prawdopodobnie były pierwszymi, które zobaczyła po wejściu do supermarketu. Nie zależało jej nawet, żeby znaleźć odpowiedni rozmiar. Jeśli w ogóle to ona je kupiła. Może ktoś ją wyręczył. Kiedy się zastanowiłam, uderzyło mnie, że nic w jej pokoju nie było osobiste. Właściwie książki też nie. Światowe bestsellery, które wybrał dla niej jakiś

klub czytelniczy.

Na sofie siedział chłopak o ogolonej głowie oraz z kolczykiem w uchu i oglądał telewizję. Wyglądał na zniecierpliwionego i kierował pilota w stronę telewizora, gotowy w każdej sekundzie zmienić kanał. Był wysoki i umięśniony i czułam się przy nim trochę nieswojo.

- Hej, Andreas. To Ulrika, stara znajoma Mai i moja. Masz ochotę pokazać nam atelier?
- zapytał przyjaźnie Jens.

Andreas szybko wstał i udał się z nami, nie wypuszczając z ręki pilota.

Atelier okazało się dużym jasnym pokojem. Tył pomieszczenia był przeznaczony do słuchania muzyki, z poduszkami na podłodze i sprzętem nagłaśniającym. W pozostałej części stał duży stół, najwyraźniej warsztat dla różnych zajęć: stolarstwa, malarstwa, ceramiki. Dwóch mężczyzn pracowało wspólnie nad modelem żaglowca.

- Zrobiłeś od ostatniego razu coś ciekawego? - zapytał Jens, a Andreas wyszperał kilka naciągniętych płócien, które stały oparte o ścianę.

Były to surrealistyczne motywy, wykonane z dużą techniczną zręcznością. Ludzie w tunelach, na krętych schodach i w wysokich wieżach. Wyraziliśmy podziw.

- A Maja coś zrobiła? - zapytał Jens.

Andreas się roześmiał.

- Ma tam chyba trochę rzeczy - odrzekł.

Podszedł do półki pod ławą i wyciągnął mnóstwo kartek. Jens powoli przerzucał je i podawał mi po obejrzeniu. Były to ptaki. Takie same ptaki, które rysowała jako dziecko. „Maczkim”, jak nazwała to kuratorka. Ale zupełnie wyraźne ptaki. Rząd po rzędzie. Kartka po kartce. Tysiące ptaków.

- Aha - powiedział Jens. - Czyli nic się nie zmieniło.

Andreas roześmiał się głośno. Miał nieprzyjemny, huczący śmiech.

- Robi trzydzieści takich kartek dziennie, serio.

- Rysuje tak, odkąd skończyła cztery lata - ciągnął Jens. - Zastanawiam się, ile to papieru. Przypuszczalnie cały las.

- I nie ma dwóch identycznych ptaków - zauważył Andreas.

Ponowie przekartkowałam rysunki, przyglądając się im uważniej. Na pierwszy rzut oka wszystkie wydawały się takie same, jakby zostały odcisnięte stemplami. Ale przy bliższym przyjrzeniu się było widać, że zawsze odróżnia je jakiś detal. Andreas miał rację. Nie dało się znaleźć dwóch identycznych. Ptaki stały wyprostowane, leżały w zgiętej, wysiadującej pozycji, unosiły się, trzepotały skrzydłami. Różnie trzymały skrzydła, szyje, różnie

przekręcały głowy.

Niektóre wydawały się małe i słodkie, mogły to być rybitwy albo mewy śmieszki, inne wyglądały na silniejsze, może mewy srebrzyste albo kaczki edredonowe.

Podalam Jensowi plik papierów, a on wetknął je z powrotem pod ławkę. Rudowłosa kobieta zajrzała i zapytała, czy mamy ochotę na świeżo upieczone ciastka.

W kuchni wokół dużego sosnowego stołu zebrali się mieszkańcy domu. Maja przysła ostatnia. Zanim usiadła, podeszła do lodówki, wyjęła dzbanek z czerwonym sokiem i nalała do szklanki. Najwyraźniej nie piła kawy jak inni.

Poczęstunek złożony z ciastek drożdżowych przebiegał spokojnie do momentu, kiedy Andreas zaczął droczyć się z grubą kobietą o twarzy jak chmura gradowa. Im bardziej się złościła, tym bardziej go to bawiło. Pozostali prosili, żeby przestał. W końcu kobieta zerwała się, wyrzuciła z siebie zadziwiająco długą wiązkę przekleństw, nazw narządów płciowych i zniewag, po czym poczłapała na korytarz. Chwilę później rozległo się trzaśnięcie drzwiami.

Andreas leżał na stole, dławiąc się ciastkami i śmiechem. Z komentarzy pozostałych domyśliłam się, że to nie po raz pierwszy. Inni próbowali nakłonić go, żeby przestał się śmiać, ale Andreas dostał jakiegoś patologicznego ataku, którego nie umiał przerwać.

- Jest zacofany o dziesięć lat - wyjaśnił mi jeden z mężczyzn.

Zrozumiałam, że chodziło mu o to, że Andreas jest dziesięć lat młodszy od swojego ciała. Miał może dwadzieścia dwa lata, więc wewnątrz mógł liczyć dwanaście. Złośliwy młodszy brat. Zastanawiałam się, w jakim wieku mentalnie jest Maja. Czy myśli jak dwudziestoośmiolatka?

Maja podniosła wzrok ze szklanki z sokiem i spojrzała ponad stołem na Andreasa. W jej oczach nie było nagany. Obserwowała go tylko, otwarcie, bez wyrazu i długo. A śmiech Andreasa umilkł, jakby ktoś wyłączył go pilotem, leżącym obok niego na stole. Wyglądał na zmieszanego i sennego. Przeciągnął się, uronił łzę ze śmiechu i pospiesznie strząsnął z ust okruszki ciastka.

Atmosfera się uspokoiła i ktoś zapytał, czym się zajmuję. Był to dla mnie pretekst, żeby opowiedzieć kilka historii, a rudowłosa pracownica zakładu dodała coś od siebie, opowiadając lokalną wersję mitu o śladach paznokci na parapecie.

Podziękowaliśmy za ciastka, pożegnaliśmy się z Mają i opuściliśmy ośrodek.

Pogoda się zmieniła. Nie było już tak ciepło i przyjemnie, jak w ostatnich dniach, kiedy można było wyjść bez kurtki i siedzieć na leżaku na werandzie. Nadal świeciło słońce, ale bledsze, bardziej metaliczne, a powietrze miało ukłucie zimy. Przyjemnie było wsiąść do samochodu.

- No - odezwał się Jens, kiedy wjechałam na główną drogę. - Poznałaś Maję?
- W jakimś sensie się przecież nie zmieniła.
- Pewnie nigdy nie będzie w lepszym stanie niż teraz. Nie ma co liczyć na rozwój, jak u Andreasa.

- Czasami lepsza jest cisza - powiedziałam.

- Zauważyłaś, jak łatwo Maja go uciszyła?

- Tak. Wystarczyło spojrzenie.

- Myślałem o tym - mówił Jens. - Na nią nikt nie ma wpływu. Ale sama ma dziwną zdolność wpływania na innych. Chociaż nigdy nic nie robi. Albo właśnie dlatego. Kiedyś odwiedziłem w Prowansji stary nieczynny klasztor zakonnic. Można było popatrzeć, jak kiedyś żyły. W jednej z celi po zewnętrznej stronie szyby był rozciągnięty kawałek czarnego materiału. Przewodnik opowiadał, że zakonnicom zabroniono posiadania luster, bo uważano, że zachęcają one do grzesznej próżności. Jedna z zakonnice wpadła jednak na pomysł z materiałem za szybą. W czarnej, lśniącej powierzchni udawało się przejrzeć. Nie mogły stać się szczególnie próżne od tego lustrzanego odbicia. Wiesz, jak człowiek wygląda w odbiciu w ciemnych oknach, podwójnie naświetlony i dziwny.

Pomyślałem, że Maja działa jak takie czarne lustro. Drugi człowiek jest zazwyczaj oknem, patrzy się przez niego na inny świat. Ale Maja to tylko ciemna, lśniąca powierzchnia i wszystko, co się w niej widzi, to własne odbicie. Kiedy się ją o coś zapyta, otrzymuje się z powrotem swoje pytanie. Właśnie zauważyłaś, jakie to nieprzyjemne. A kiedy się ją przytula, nie odczuwa się czułości i bliskości, tylko swoją własną tęsknotę. Jeśli jest się na nią złym, napotyka się własną wściekłość i bezradność.

Kiedy widzi się Maję, widzi się tylko swoje lustrzane odbicie, ale nie jasne, jak w zwykłych lustrach, tylko ciemne, nieostre. Odbicie zjawy. To niesamowite przeżycie, które oddziałuje na każdego.

Sądzę, że to przydarzyło się naszej rodzinie. Wszyscy przejrzeni się w czarnym lustrze. I każdy zareagował na to inaczej.

Wjechałam na stację benzynową Shella. Dotarliśmy za wcześnie. Wsiadłam, żeby zatankować, a Jens został w samochodzie. Zimne i dżdżyste poddmuchy wiatru szarpały banknotami. Kiedy próbowałam je wsunąć do automatu - wybrzydzał jak małe dziecko i wypływał je raz za razem - po drugiej stronie zatrzymał się samochód i wysiadł z niego mężczyzna. Niemal jednocześnie odjęliśmy pistolety dystrybutorów. Spojrzał na mnie i przywitał się wesoło:

- Widzę, że trolle jeszcze pani nie zabrały.

To był Jan-Erik Liljegen, policjant, z którym byłam w Mickey's Inn.

- Nie - odparłam. - Uważam na siebie. A co u pana?

- Fantastycznie. Życie jest cudowne. Nigdy nie czułem się tak dobrze - wrzeszczał, nalewając benzynę.

Z przodu siedziała kobieta. Zastanawiałam się, czy to żona, która przyjęła go z powrotem, czy nowa kobieta. Może jedna z żalonych postaci z Mickey's Inn.

- Miło słyszeć - musiałam krzyzczeć, żeby pokonać brzęczenie dystrybutorów. - Jest pan rzeczywiście radosny. Czy wydarzyło się coś nowego?

- Taaak... Czy raczej nie. Właściwie nie. - Jego odpowiedź wydawała się zaskakiwać jego samego. - W zasadzie nic nowego, raczej... - wzruszył ramionami i odwiesił pistolet.

- Człowiek zdmuchuje tylko warstwę kurzu z tego, co stare - powiedziałam.

Skinął głową potakująco i gorliwie, zakręcając wlew paliwa.

- Ma pani rację. Najważniejsze już się przecież wydarzyło. Zdmuchuje się tylko kurz z tego, co stare. Tak to jest.

Śmiejąc się i machając, wskoczył do samochodu, zapalił silnik i potoczył się dalej w swoje cudowne życie.

Nadal pozostawało dużo czasu do przyjazdu żony Jensa, więc zjechałam na bok i stanęłam na pustej przestrzeni stacji benzynowej. Zgasiałam silnik. Spojrzeliśmy na swoje zegarki, a potem na siebie.

- Co teraz? - zapytał.

- Siedzimy w samochodzie na stacji Shella w Stenungsund. O ile mi wiadomo, to wszystko, co się teraz dzieje - powiedziałam.

- A potem?

- Potem przyjedzie po ciebie twoja żona i zawiezie do Sztokholmu. A ja pojedę do Göteborga i odbiorę moich chłopców ze świetlicy.

- A potem?

- Tego nie wiem. A czego byś chciał?

Westchnął i spojrzał na sufit samochodu.

- Nie pojechałem do Tångevik tylko po to, żeby pisać. Pojechałem tam, żeby pomyśleć. W moim życiu jest wiele do przemyślenia. Stoję na jakimś rozdrożu.

Znowu westchnął i wyglądał na zmartwionego. Próbowaliśmy go trochę rozweselić:

- To chyba stałe miejsce. „Mieszkam na rozdrożu całe swoje życie”. - Zanuciłam piosenkę Edvarda Perssona, a on uśmiechnął się krzywo.

- Cieszę się, że tam pojechałam - ciągnęłam. - Dziękuję ci, że mogłam przeczytać twoją opowieść o Kristinie. Te tygodnie, gdy Maja zaginęła, były jak dziura w moim życiu. Twoje opowiadanie ją wypełniło.

- Tak, to właśnie próbowałam zrobić. Ale nie wiem, czy mi się udało.

Nachyliłam się do niego i powąchałam jego szyję.

- Bosko pachniesz. Ale przecież sam to wiesz - powiedziałam.

- Nie - zaśmiał się. - Czym?

- Sobą.

Pogłaskał mnie po policzku.

- Nikt ci tego nie powiedział? - zapytałam. - Że pachniesz tak ładnie?

- Nie. Tego akurat nie.

Czy to mogła być prawda? A może tylko ja wyczuwałam ten zapach.

Znów spojrzał na zegarek. Następnie wyciągnął portfel i wygrzebał z niego wizytówkę ze swoim adresem i numerem telefonu. Otworzyłam torebkę i wyszperałam swoją. Spojrzeliśmy na siebie i na te wizytówki. Trochę niepewnie wręczyliśmy je sobie, jak dwoje dzieci wymieniających się ukochanymi zakładkami do książek.

Kiedy wkładał moją wizytówkę do portfela, zauważył coś i rozpromienił się.

- O, musisz to zobaczyć.

Wręczył mi amatorską fotografię. Przedstawiała niesamowicie grubą blondynkę, stojącą obok grilla ogrodowego. Była ubrana w szorty i podkoszulek, tłuszcz wylewał się na wszystkie strony. Ciałem zwracała się w stronę grilla, ale przekręciła głowę i patrzyła prosto w obiektyw.

- Wiesz, kto to jest? - zapytał Jens.

- Nie mam pojęcia.

- Anne-Marie.

- Co?

Zaśmiał się z mojego zaskoczenia.

- Niemożliwe.

- A jednak. Nie poznajesz jej?

Pochyliłam się do przodu i przysunęłam zdjęcie bliżej okna. Przyjrzałam się twarzy. Ładnie wykrojona górna warga. Tak, to usta Anne-Marie. W lekkim grymasie, jakby trzymała w nich trzy wiśnie i w każdej chwili chciała wypluć pestki. Miała chytne oczy. Wyobraziłam sobie, że bawi się z obserwatorem w chowanego i droczy. Z tej potężnej kobiety patrzyła na mnie Anne-Marie. Moja złota Anne-Marie. Miodowa Anne-Marie. Uprawdzona w swoją

tuszę.

- Mój Boże, to ona - powiedziałam.

- Mówiłaś przecież, że chcesz pojechać do USA i zrobić wywiady z ludźmi porwanymi przez UFO. Jeśli dotrzesz do Nowego Meksyku, możesz ją odwiedzić. Bardzo by się ucieszyła, jestem tego pewien. Zadzwoń do niej, jeśli będziesz się tam wybierać, mogę ci dać numer. Nie ma sensu pisać, nigdy nie odpowiada. Ale zadzwoń. Albo po prostu pojedź tam, tak będzie najlepiej. Na pewno cię ugości. Ma sporo miejsca.

- Ma rodzinę?

- Troje dzieci. Nie wiem, czy ma kogoś. Wychodziła za mąż, rozwiodła się i mieszkała z różnymi tyle razy, że nie nadążam. Ale to zawsze faceci z dużymi pieniędzmi. Duże domy i dużo samochodów.

- I dużo jedzenia - dodałam.

- Nieodpowiedniego jedzenia. Trudno ją rozpoznać, prawda?

- Widać jednak, że to ona. Wokół niej promienieje - powiedziałam.

Teraz to widziałam. Nawet na tym kiepskim zdjęciu, nawet w tym tłustym ciele miała jakiś promieniujący blask, spojrzenie, zarys ust, coś bezczelnego, kuszącego i niedostępnego. A może tylko to sobie wyobraziłam? Dlatego, że Jens powiedział, iż to Anne-Marie? Wcześniej widziałam przecież jedynie kobietę w średnim wieku, z nadwagą, pozbawioną blasku. Czy promieniało tylko imię Anne-Marie, wspomnienie, które budziło?

- Anne-Marie promienieje, a ja bosko pachnę - wymamrotał Jens i schował zdjęcie.

- Tak to jest - powiedziałam. - Należycie do pachnącej, lśniącej rodziny. Rodziny o miodowo-jabłkowym blasku.

Pocałowałam go i właśnie wtedy zajechał obok nas mały japoński samochód.

- To Susanne. Nie, siedź, sam zabiorę moje rzeczy.

Wysiadł w tej samej chwili co kobieta z samochodu obok.

Otworzyła bagażnik i pomogła mu przenieść rzeczy z mojego auta. Była ubrana w rdzawoczerwoną wełnianą marynarkę i miała krótkie, ufarbowane na czarno włosy wystrzępione w pazurki na czole i skroniach. Poruszała się szybko i oszczędnie. Energicznie przesunęła własny bagaż i zapakowała rzeczy Jensa tak, że wszystko pomieściło się na minimalnej przestrzeni. Była szczupła jak górską kozicą.

Jens dał znak, żebym opuściła szybę. Zrobiłam to, a on nachylił się, wsunął rękę i lekko przeciągnął wierzchem palca wskazującego po moim policzku i ustach. Spojrzeliśmy na siebie, ale żadne z nas nic nie powiedziało.

Następnie odwrócił się i wrócił do samochodu Susanne. Wskoczyła już na miejsce

pasażera, a Jens usiadł za kierownicą i przestawił fotel. Ta zmiana za kierownicą wydawała się dla nich oczywista. Ale nie było w tym nic dziwnego, jechała przecież aż z Kopenhagi i mieli jeszcze spory kawałek do Sztokholmu.

Uruchomiłam silnik, wyjechałam ze stacji i ruszyłam za nimi.

Przez całą drogę do Göteborga dotrzymywaliśmy sobie towarzystwa na autostradzie. Czasem ja wyprzedzałam Jensa, czasem on mnie. Na początku przypadkowo, potem dla zabawy. Nie jechaliśmy szybko, to nie była jazda na wyścigi. Po prostu mijaliśmy się od czasu do czasu i przez sekundę patrzyliśmy na siebie w przelocie przez szyby samochodów.

Przy wjeździe do Göteborga ich samochód prześlizgnął się na inny pas i złął z gęstym strumieniem aut, które na zjeździe zostały skierowane na drogę E20 na Sztokholm.

Nad miastem unosiła się lekka pokrywa chmur, ale ponad zbiornikiem gazu białe niebo połyskiwało jak wnętrze muszli. Była za dwadzieścia czwarta. Mogłam wcześniej odebrać Maxa i Jonatana ze świetlicy. Tęskniłam za nimi.